

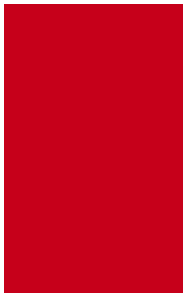
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Żakowski drażni młodzież
- Kolejny etap upokarzania Morawieckiego
- Żołnierze zostaną psychopatami
- Alfabet Urbana
- Zadbaj o swoją nerwicę



**WYSOKIE
OBCASY**
Agnieszka Szpila:
Mam dość błagania
o pieniądze na dzieci
z niepełnosprawnością

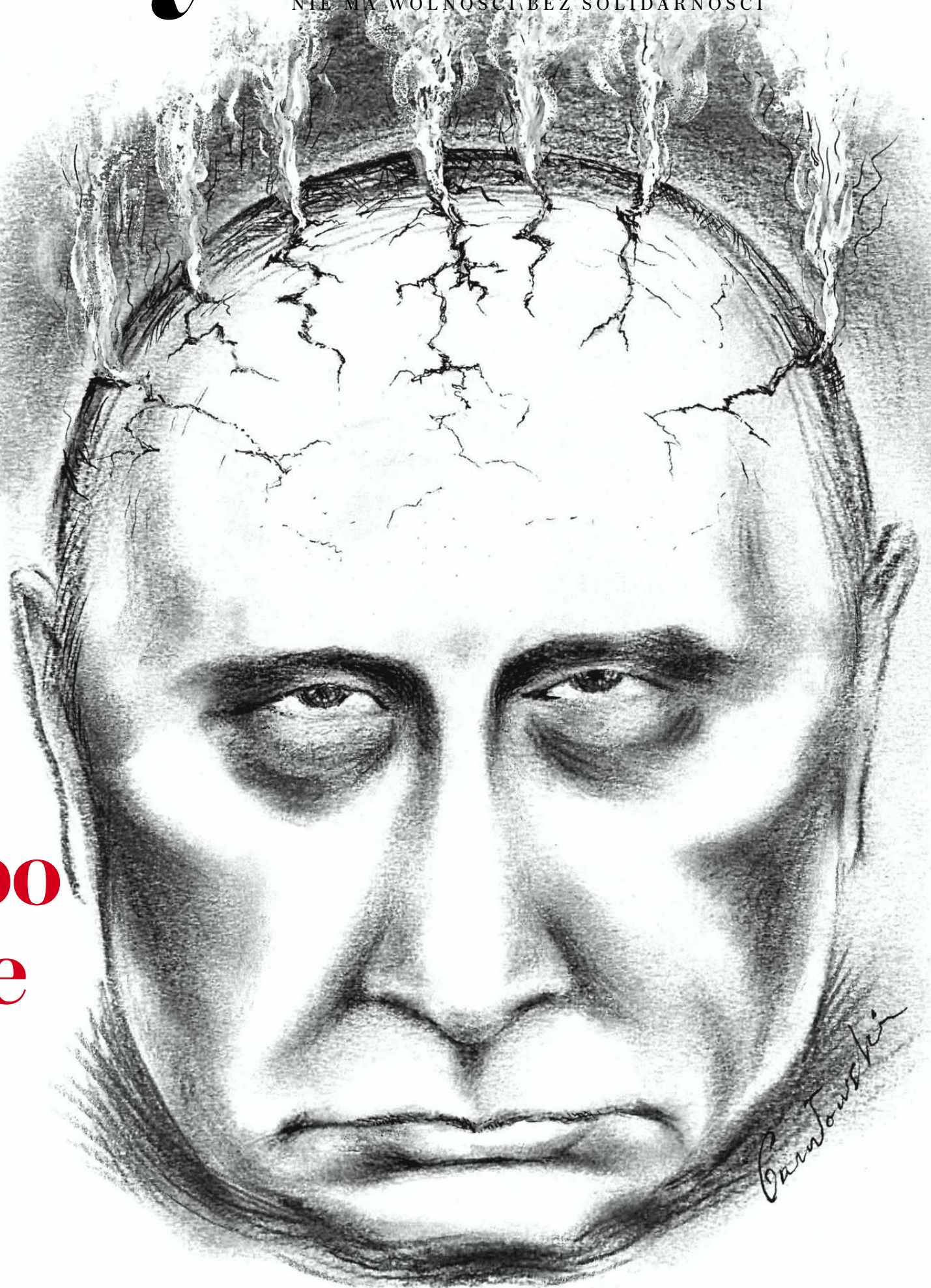


GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

**Jaka
będzie
Rosja po
Putinie**

**Prognozują
Krastev,
Friedman,
Nawalny**



FOT. JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

40>

9 770860 908167



**My
z Donbasu**
Czyli właściwie
skąd?

Dziadek Kurskich
Wsiadł do pociągu
jako Polak, wysiadł
jako Żyd

**Click w RNA, genom
prehisteryczny i kwanty**

Wszystko o tegorocznych Noblach
► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)

Agnieszka
KublikPo Niemcach
Ukraińcy?

Michał Dworczyk już nie kieruje kancelarią premiera, ale jego poczta nadal kompromituje jego szefów. Np. mail o „politycznym złocie”. Czy przed ujawnieniem tych wiadomości największy cynik podejrzewałby ten rząd o to, że dramat Białorusinów ich tak uraduje? „Z całym szacunkiem dla walki Białorusinów to też jest polityczne złoto dla nas” – pisał Mateusz Morawiecki. Ekipa Kaczyńskiego marzyła po prostu, by dramat wykorzystać do partyjnych gier.

Wybory parlamentarne za rok (chyba). PiS już w panice, bo w sondażach przegrywa z opozycją, nawet niedogadaną. Dogadana miałaby szanse na większość konstytucyjną, co byłoby gwarancją odwrócenia deform i posadzenia ich autorów.

Kaczyński, by się ratować, atakuje już naszych zachodnich sąsiadów i to w sytuacji, gdy na wschodzie wojna. Opluwa Tuska, kiedy tylko może, nadal naśmiewa się z osób trans.

Żenujący starszy pan (rocznik 1949), który jest zorientowany w otaczającym go świecie na tyle, na ile pozwolą mu ci, którzy na co dzień podsuwają mu informacje. Zabawna wpadka z „eNBeA” zamiast „enbiej” pokazuje, że Kaczyński nie miał okazji osłuchać się z tym skrótem. Czyżby w ogóle sam nie oglądał telewizji, nie słuchał radia? Skąd i jak czerpie wiedzę? Własne doświadczenie, intuicja starego politycznego wyjadacza? To już nie blaha sprawa.

Oby Kaczyński w przedwyborczej panice nie uznał, że wojna w Ukrainie może być dla niego „politycznym złotem”

Najnowsze sondaże CBOS pokazują, że w Polakach maleje entuzjazm wobec uchodźców z Ukrainy. Jest najniższy od wybuchu wojny. Przybywa tych, którzy sądzą, że nasza pomoc jest „nadmierna” (jakby można było pomagać

„w nadmiarze” tym, którzy przed wojną uciekają z dziećmi i kilkoma torbami).

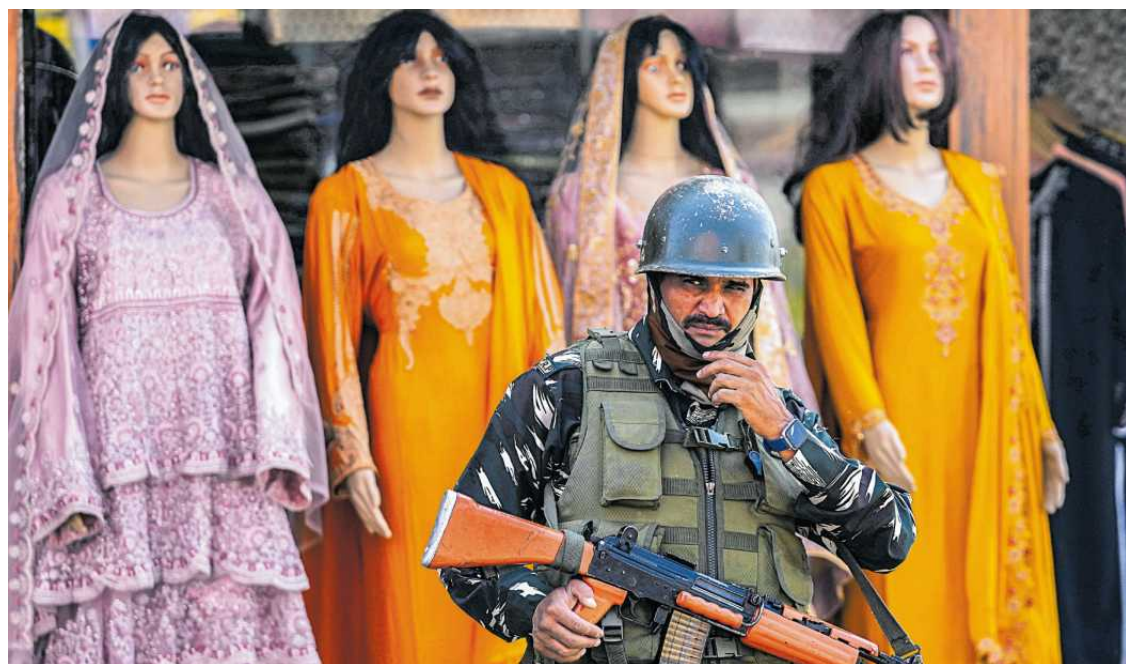
To ludzkie. Boimy się wojny, lękamy się jej konsekwencji. We wrześniu Konfederacja Korony Polskiej w Warszawie manifestowała pod hasłem „Stop ukrainizacji Polski”. Padaly hasła, że np. Ukraińcy mają pierwszeństwo w kolejce do lekarza. Stare i nieprawdziwe, ale to buduje antyukraińskie nastroje.

A jeśli ta widoczna w badaniach CBOS tendencja będzie się pogłębiać? Czy Kaczyński uzna, że opłaca mu się ugrać kapitał na antyukraińskich hasłach?

Dzięki temu „politycznemu złotu” mógłby zadeklarować, że nie jest głuchy na opinię publiczną. I zgarnąć głosy tych, którzy za swoją fatalną sytuację winią Ukraińców. Podebrać wyborców Konfederacji, osłabić ją, a potem wchłonąć w myśl własnej zasady, że na prawo od PiS jest tylko mur.

Political fiction? Oby! Ale gdy jutro ci umiera, dziś możesz zrobić coś niewybacznego.

Zwykły niemądry człowiek to po prostu niemądry człowiek. Spanikowany człowiek u władzy to już niebezpieczny głupiec. ●

Indie
Zapomniana wojna

FOT. MUKHTAR KHAN/AP

Checkpoint w Śrinagarze, stolicy stanu Dżammu i Kaszmir. Konflikt o Kaszmir, ciągnący się praktycznie od uzyskania przez Indie i Pakistan niepodległości, niedawno przygasał – w ostatnich latach w zamieszkach i atakach kaszmirskiej partyzantki giną nie setki, lecz dziesiątki ludzi. Teraz Indie wzmacniają środki bezpieczeństwa w związku z wizytą ministra spraw wewnętrznych. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez
cały weekend**

SWK22JJ

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Nika Szahkarami
Była jak wszystkie nastolatki

Na nagraniu, które trafiło do sieci, widać, że lubi się wygłupiać – trochę śpiewa, trochę recytuje, nie przestaje się śmiać.

Jest też inne nagranie – na którym krzyczy, że „goni ją bezpieka!”. Wysła je do przyjaciół z jednego z protestów organizowanych w Iranie po śmierci 22-latkii zabitej przez obyczajówkę za brak hidżabu.

Potem kontakt z Niką się urwał. Dziesięć dni później bliscy odnaleźli ją w kostnicy stołecznego więzienia. Przez kilka sekund pozwolono im zobaczyć jej twarz. Koszmar trwał dalej. Choć zabrali ją do domu, bezpieka wykradła ciało i pochowała kilkadziesiąt kilometrów od rodzinnej miejscowości, po czym aresztowała jej bliskich, grożąc, że ich pozabija.

Już w kilkudziesięciu prowincjach trwają protesty, w starciach z policją zginęło ponad 150 osób. Do protestujących dołączają licealistki, które identyfikują się z Niką. „Zjednoczmy się albo pozabijają nas jedną po drugiej!” – krzy-



FOT. Z TWITTER/SCREENGAB

czą na demonstracjach, przeganiają ze szkoły urzędników, blokują drogi, krzycząc: „Śmierć dyktatorowi!”. Fotografują się z odsłoniętymi włosami, kierując środkowy palec w stronę zdjęć ajatollahów. Są bardzo dzielne – w ich kraju za słowo sprzeciwu można stracić życie, nawet kilka dni przed siedemnastymi urodzinami. Jak Nika.

Joe Biden ma rację – młode Iraniki inspirują dziś cały świat. ●

Marta Urzędowska

Andrzej rysuje



Duży Format



DOSTAŁEŚ JUŻ LANIE?

Zamknęła pokój na klucz i kazała mi się rozebrać. Zaczęła odliczać. Doszła do zera i zaczęło się bicie. Biła siostra Marianna, franciszkanka służebnica krzyża. Oskarżenia o przemoc w Ośrodku dla Dzieci Nieświadomych. **Reportaż Aleksandry Szyłło**
► Czytaj w poniedziałek

Rosjanie nie mają czym latać

500

WŁASNYCH ODRZUTOWCÓW PASAŻERSKICH

• **chce wyprodukować Rosja do 2030 r. Jedyny obecnie wytwarzany nowoczesny model – Suchoj Superjet ▼ – bazuje na zachodnich podzespołach. A i tak w ciągu 15 lat udało**

się zbudować tylko 228 superjetów. Na razie przewoźnicy, łącznie z Aeroflotem, latają zachodnimi samolotami z maszyn wycofanych z użytku



FOT. SHUTTERSTOCK

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Pogadajmy o lepszzej szkole

1 W pobliżu gmachu Ministerstwa Edukacji i Nauki staje miasteczko edukacyjne. Dyżurujący w nim nauczyciele będą przez tydzień prowadzić debaty. Pierwsza, sobotnia, ma dotyczyć sytuacji młodych nauczycieli. Na podstawie rozmów z ekspertami, rodzicami i uczniami powstaną rekomendacje, jak stworzyć „dobrą, powszechną, bezpłatną edukację”. Uczestnicy protestu zaprezentują je 15 października podczas pikiet, które odbędą się w całej Polsce.



FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL, DOBREV ALEXNADR, THERESA WEY/AP

Od niedzieli

Unsound Festival

2 Jednemu z najważniejszych festiwali w naszej części Europy stuknęło 20 lat. Krakowska impreza jak zwykle ma ambicje komentowania rzeczywistości – brytyjski producent Kode 9 w projekcie „Escapology” inspirowany s.f. i kolonialną historią Szkocji, ukraińska megagwiazda hip-hopu Alyona Alyona łączy absurdalny humor z aktywizmem społecznym i politycznym, a brazylijska didżejka i tancerka Slim Soledad walczy o prawa osób LGBTQIA+.



Niedziela

Zielony prezydent walczy o reelekcję

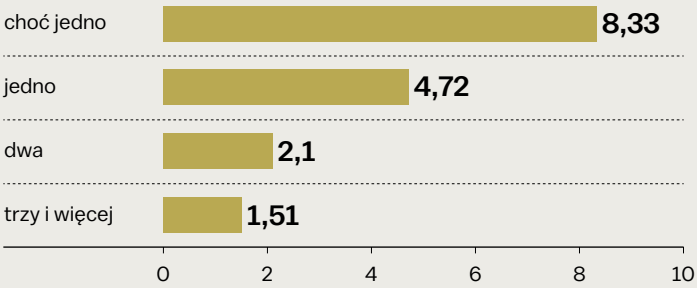
3 Austriacy głosują w wyborach prezydenckich. Faworytem jest urzędujący prezydent Alexander Van der Bellen z partii Zielonych – sondaże wskazują na wygraną w pierwszej turze. Jego głównym rywalem jest Walter Rosenkranz ze skrajnie prawicowej FPÖ (13-18 proc. w sondażach), na trzecim miejscu (7-14 proc.) plasuje się punkowy muzyk Dominik Włazny, założyciel kontestatorskiej Partii Piwa.



Wykres tygodnia
Te choroby to nie wstyd

Co najmniej 8,3 mln Polaków cierpiało z powodu zaburzeń psychicznych

Osoby, które w ciągu całego życia dotknęły zaburzenia psychiczne, według liczby tych zaburzeń (w mln osób)



ŹRÓDŁO: RAPORT Z BADAŃ „KOMPLEKSOWE BADANIE STANU ZDROWIA PSYCHICZNEGO SPOŁECZEŃSTWA I JEGO UWARUNKOWAŃ – EZOP II”

© GAZETA WYBORCZA

Lęki, depresja, bezsenność – to tylko początek długiej listy. Jak sobie radzić w świecie, który nas w ostatnich czasach nie rozpieszcza?

• Dowiedz się podczas Tygodnia Zdrowia Psychicznego – od 10 do 16 października na Wyborcza.pl



A czy ja wziętem uchodźcę do domu?

Palce zdarte od kopania w twardej ziemi

Chłopak z Senegalu pochował przy granicy polsko-białoruskiej dwóch braci

Mikołajewski

Kiedy tylko próbuję spełnić pisarską – jak mi się wydaje – powinność i przypomnieć o istnieniu zapomnianych lub wykluczonych, z ostatnią kropką odzywają się głosy: A ja? A ja?

Tak dzieje się w Piekło i Czyśćcu Dantego, gdzie jedyną otuchą dla potępionych bywa szansa, że poeta opowie żyjącym o ich pośmiertnym losie.

A ja? A ja?...

Opowiem ci, wędrowcze, o moim martwym losie, ale pod warunkiem, że przekażesz rodzinie...

Ostatnio zaprosiłem do Nowego Świata dr Joannę Talewicz, kulturoznawczynię, Romkę, która poinformowała Pawła Smoleńskiego, a potem mnie, o szpetnej wyrwie w ładnym obrazku polskiej pomocy dla Ukraińców: o ukraińskich Romach, których rzadko kto chce przyjmować. I zaraz po audycji znalazłem na Facebooku post o chłopcu, może młodym mężczyźnie, Senegalczyku, który próbując przejść przez Białoruś do Polski, pochował własnoręcznie dwóch braci. A teraz czeka na ekstradycję.

Dzwonię do dr Pauliny Bownik z Grupy Granica, bohaterki ratującej granicznych ludzi, laureatki Nagrody im. Marka Edelmana, żeby spytać, czy to prawda. Lekarka potwierdza. I dodaje, że chłopak miał palce zdarte od kopania w twardej ziemi końca ubiegłego roku. Że w Senegalu on nie ma już nikogo i podjął kilkakrotnie próby samobójcze.

Doktor Bownik jest nie tylko Sprawiedliwą, lecz także Świadkiem. To dzięki jej opowieści poznałem los ciężarnej Kongijki, która poroniła po tym, gdy Straż Graniczna przerzuciła ją przez druty kolczaste.

Istnieje stan, który dla własnego użytku nazwałem sobie prześcieradłem na

gumce. Są takie prześcieradła, których brzegów nie wciska się pod materac, nie spuszcza się z łóżka, tylko zakłada się gumkami na krawędzie. I wtedy – jeśli gumka jest trochę za ciasna – często zsuwa się ona z czwartego rogu. Tak samo jest z rzeczywistością, nadobitą w tragiczne zdarzenia. Patrzysz na nią jak Bóg albo bóg, pisany wielką albo małą literą, wydaje się, że ogarniasz wszystko, i wtedy – puf! Okazało się, że współczującą myślą pokryłeś tylko część łóżka. Naciągasz gumkę, a wtedy strzela na innym rogu. I tak dalej, jak ze stołkiem, któremu wyrównujesz nogi.

Jak w wierszu Apollinaire’a:

Jest wojna w Ukrainie

Są śmierci w Puszczy

Knyszyńskiej...

Suche zestawienie mnożących się faktów. Można na nich poprzestać, i tak lista jest straszna. Lecz można pociągnąć, pogłębić:

Jest okrucieństwo Putina

Jest okrucieństwo systemu, państwa, funkcjonariuszy...

Nie myśl jednak, że lista jest wyczerpana i dopowiedziana:

Jest nikczemna próba upokorzenia LGBT

Jest obojętność wielu kapłanów katolickich, zwłaszcza na północ od granicy ukraińsko-polskiej. Jest ofiarność wielu kapłanów prawosławnych. Nie: wszystkich. Wielu i niewiele, tu i tam.

Podczas prezentacji przekładu „Boskiej komedii” w Poznaniu podchodzi do mnie Agnieszka, studentka, którą anonsuje prof. Piotr Śliwiński. Agnieszka mówi, że pisze pracę o zaangażowaniu artystów w ludzkie tragedie na granicach. Wie, że sporo o tym piszę, lecz co myślę o ich praktycznej pomocy.

Owszem, piszę wiersze albo inne formy literackie wokół migracyjnych



FOT. GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

■
Dzięki doktor Paulinie Bownik poznałem los ciężarnej Kongijki, która poroniła po tym, gdy Straż Graniczna przerzuciła ją przez druty kolczaste

dramatów. I nie jest tak, że piszę „na temat”. Wskutek intensywnego wgrzania się w sytuację, przeżywania ich na poziomie wzruszenia, poszerza się pejzaż, z którego rodzi się pisarstwo. Kiedy wyjeżdżałem na dłużej do Rzymu, nie używałem w poezji słowa „płania” czy „mewa”. Po kilku latach znalazłem je we własnych wierszach. Wzbogaciły się o nie nawet moje sny. Jeszcze dziesięć lat temu nie pisałem o łódkach, migrantach. Lecz obserwacja i współczucie poszerzyły świat,

który się wdziera do sztuki. Wprowadziły je we mnie na tyle, że ich obecność w pisarstwie wydaje się oczywista jak obecność matki czy miłości.

A ja? A ja? – pytają wykluczeni.

Czy to wystarczy? – pyta poznańska studentka.

Nie, nie wystarczy. Nigdy dość – odpowiadam ludziom, którzy w komentarzach do moich tekstów pytają, często obcesowo: A czy pan osobiście przyjął do własnego domu uchodźców?... Nie odpowiadam ani tak, ani nie. Jeśli nie, muszę się zastanowić dlaczego. Jeśli tak, to nie robiłbym tego, żeby się z tym obnosić. Ale rozmawiałem potem z panią Agnieszką kilkakrotnie. Zastanawialiśmy się razem. I chyba jesteśmy zgodni, że każdy przypadek jest inny, ale stawianie pisarzom pytań o konkretną pomoc ma sens, bo każe się zastanowić, zmierzyć z siłami. Bo to, że goszczenie wiąże się również z sytuacjami trudnymi, już wiemy. Podobnie jak wiemy, że nie wystarczą tu same dobre intencje.

Tak więc mówimy: wojna w Ukrainie, i zaczynają krzyczeć pytania. Kto winny, czy robie wystarczająco dużo, czy traktujemy ukraińskich Romów jak innych uchodźców, czy nie ulegamy rutynie pomagania, czy nie otwieramy się na antyukrainizm itd., itp. Ale w tej chwili najgłośniejsze, bo najcięższe, wybrzmiewa: a co z uchodźcami z granicy polsko-białoruskiej? Dlaczego karzemy ich okrucieństwem, obojętnością, zapomnieniem za to, że do swoich planów wciągnął ich Łukaszenka? Dlaczego nie walczymy o każdego człowieka – żeby nie tracił nadziei skazany na brak przewidywalnej przyszłości. Żeby nie był bity, okradany. Żeby był pochowany jak Polinejes, brat Antygony, wbrew zakazom zimnych głupców. ●

Jarosław Mikołajewski

MY CZY ROSJANIE. KTO PIERWSZY MRUGNIE

A jeśli Putin serio w to wszystko wierzy?

Z IVANEM KRASTEVEM*
ROZMAWIA KATARZYNA WĘŻYK

Walka z neokolonializmem, obrona wartości przed zachodnim nihilizmem i „satanizmem”, a dzieci przed nauczaniem w szkołach, że „istnieją płcie poza mężczyzną i kobietą” – takie powody podał Putin, uzasadniając aneksję wschodniej Ukrainy. Uważa wojnę w Ukrainie za wojnę kulturową prowadzoną militarnymi środkami czy to po prostu cynizm?

– Zazwyczaj uważamy, że druga strona podziela nasze rozumienie rzeczywistości: Putin musi wiedzieć, jak absurdalnie brzmią jego zapewnienia, że Rosja walczy z kolonializmem, kiedy sam rekolonizuje Ukrainę. Rzadko jednak pytamy: a co, jeśli ludzie naprawdę wierzą w to, co mówią? Mam wrażenie, że Putin wierzy. Wierzył, że Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród, że mieszkańcy Ukrainy powitają jego wojska jako wyzwolicieli, a „specjalna operacja” potrwa dwa tygodnie.

Dlatego kiedy jego przewidywania się nie spełniły, zamiast uznać, że nie miał racji, Putin ogłosił, że wcale nie chodzi o Ukrainę, że nie walczy z Kijowem, tylko z Zachodem jako całością. Że chodzi o egzystencjalne zagrożenie dla Rosji. A to już zupełnie inna wojna.

Niektórzy mówią, że nowa zimna wojna.

– Sytuacja jest dużo bardziej niebezpieczna. Zimna wojna była starciem dwóch optymizmów: zarówno komuniści, jak i Zachód mieli poczucie, że przyszłość należy do nich. Radzieccy liderzy, od Lenina po Gorbaczowa, wierzyli w historyczną konieczność zwycięstwa komunizmu, w to, że ich system, mimo błędów i wypaczeń, jest lepszy. A jeśli uważasz, że w ostatecznym rozrachunku to ty będziesz górą, nie masz interesu w zniszczeniu świata. Dziś po stronie rosyjskiej nie widzę tego optymizmu. Wręcz prze-

ciwnie, przemówienia Putina – „nie jestem zainteresowany światem bez Rosji” – bywają wręcz apokaliptyczne. A kiedy zaczynasz myśleć w takich kategoriach, ryzyko, że spróbujesz zrobić coś radykalnego, rośnie.

Druga rzecz, równie ważna. Już von Clausewitz powiedział, że od czasów wojen napoleońskich wszyscy udają, że to ta druga strona jest agresorem. Można obecną wojnę różnie interpretować, ale faktem jest to, że to rosyjska armia najechała Ukrainę. Tymczasem według Kremla po aneksji wschodnich obwodów dalsze operacje wojskowe Ukrainy będą atakiem na rosyjską ziemię. I Rosja nie tylko ma konstytucyjne prawo do broniienia jej za pomocą wszelkich środków, ale też nagle to ona staje się stroną pokojową. Wysłała komunikat: OK, możemy siadać do stołu negocyjacyjnego, ale aneksja jest nie-negocjowalna. Musicie to zaakceptować.

Ukraina tego nie zaakceptuje.

– Tak. A negocjacje wymagają kompromisów: ja dam ci to, ty oddasz tamto. Tylko nie bardzo wiadomo, co Rosja mogłaby oddać. Putin wybrał referendum, żeby postawić sprawę jasno: te tereny nigdy nie wrócą do Ukrainy. I to jest komunikat nie dla Kijowa, ale dla całego Zachodu. Bo Ukraina nie jest w stanie toczyć tej wojny bez zewnętrznego wsparcia.

Bez zachodniej broni.

– Bez pieniędzy. Zachód daje Ukrainie między 5 a 7 mld dol. miesięcznie, żeby podtrzymać działanie podstawowych instytucji. Nie licząc wydatków na uzbrojenie.

Dlatego strategia Rosji jest następująca: będziemy tak bardzo eskalować, aż europejska i amerykańska opinia publiczna zrozumieją, że ta wojna jest ważniejsza dla nas niż dla nich. I to oni pierwsi mrugną. Po naszej stronie też zresztą uważamy, że im

większa eskalacja, tym bardziej problematyczna staje się sytuacja wewnątrz Rosji. Obserwujemy bierny, a czasem i nie taki bierny opór wobec mobilizacji. Widzimy słabość systemu, którą najlepiej pokazuje zachowanie żołnierzy na polu bitwy.

Jako że porażka rosyjskiej broni konwencjonalnej jest jednym z powodów tej eskalacji, a Rosja właśnie zaanektowała terytorium, którego nie kontroluje i które może stracić, mamy sytuację, w której obie strony zwycięstwo definiują jako złamanie drugiej strony.

To kto pierwszy mrugnie?

– Kluczowy jest czas. Rosyjskie przywództwo bacznie przygląda się nie temu, co się dzieje w Ukrainie, ale jak zmienia się opinia publiczna w różnych europejskich krajach, i szacuje ekonomiczne koszty zachodniego wsparcia. Z kolei nasi liderzy zbierają informacje o tym, ile mężczyzn ucieka w Rosji przed wojskiem i jakie sygnały wysyłają elity i biurokracja.

Ukraińskie wojsko dokonuje cudów, robi rzeczy, w które rok temu byśmy nie uwierzyli. Jednocześnie w pewnym sensie to przedstawienie teatralne, które ma wpłynąć na opinię publiczną po obu stronach.

Moim zdaniem Rosja kalkuluje, że w krótkim okresie – przez najbliższe pół roku – jest na silniejszej pozycji. Bo nawet jeśli straci trochę terytorium, to w listopadzie walki zostaną zamrożone, a do gry wkroczy zima. Jak wiemy, generał Mróz był zawsze najsukcesywniejszym rosyjskim dowódcą, ale zazwyczaj operował tylko w Rosji. Teraz Moskwa będzie go eksportować. I pytanie brzmi, jak na to zareagują Europejczycy i amerykańscy wyborcy. Nagle dużo ważniejsze od postępów ukraińskich wojsk jest to, co dzieje się w Europie i Stanach.

A Ukraina wie, że dla żadnego europejskiego społeczeństwa ta wojna nie jest taka znowu ważna, więc będzie się starać zradycalizować sytuację, tak by Zachód nie mógł się cofnąć. Jej wniosek o wej-



ście do NATO nie był konsultowany z USA. W sytuacji kryzysowej każda ze stron próbuje zrobić z pozostałych zakładnika, tak by ograniczyć im pole manewru. A Ukraińcy się boją, że europejskie poparcie się załamie. Takie sygnały zresztą już są, bo jak inaczej interpretować deklarację Orbána, że planuje referendum w kwestii sankcji?

Na dłuższą metę najważniejsze będzie to, jak długo obie strony zdołają utrzymać społeczne poparcie dla wojny. To dużo bardziej pojedynek woli niż starcie dwóch armii. Sprawdzanie, ile jesteśmy w stanie znieść. I tu bardzo interesująca będzie Polska.

Polska?

– Kiedy wybuchła wojna w Syrii, turecki rząd i społeczeństwo przywitały uchodźców z otwartymi ramionami, bo, podobnie jak dziś Polacy, uważały, że mają wspólnego wroga. Ale sześć lat później, mając w kraju – kraju, dodam, znacznie większym niż Polska – 3,5 mln Syryjczyków i trudną sytuację ekonomiczną, ci sami ludzie zwracają się przeciwko przybyszom. Zobaczmy, czy to nie powtórzy się w Polsce, która już ponosi duże koszty pomocy Ukrainie. A ten konflikt może przerodzić się w długotrwałą konfrontację niezależnie od tego, ile potrwa sama wojna.

Ale na krótką metę poparcie Zachodu dla Ukrainy i losy samej wojny zależą od tego, jak mocno zaatakuje generał Zima – czyli od czynnika, na który nie mamy wpływu.

– Nie tylko. Jeśli Europa w marcu albo kwietniu wyjdzie z tego ekonomicznego kryzysu dostatecznie zjednoczona i niezbyt poturbowana, dynamika sytuacji zmieni się diametralnie. Bo w perspektywie średnio- i długoterminowej Rosja jest na słabszej pozycji. OK, jeśli zdecyduje się zniszczyć świat, w tym siebie, nikt jej nie powstrzyma, ale czas działa na jej niekorzyść.

Na razie sytuacja ekonomiczna Rosji nie jest najgorsza, bo w przeciwieństwie do Zachodu Rosja się do tej wojny przygotowała: zgromadziła zasoby finansowe, ma zapasy mikroczipów, pomógł jej wzrost cen energii. Ma dość pieniędzy, by wytrzymać jeszcze z pół roku bez poważnych niepokojów społecznych. Ale nie dłużej.

Po pierwsze, rosyjski przemysł jest zależny od zachodnich technologii i nie będzie tego łatwo zmienić, zwłaszcza że Chiny nie wydają się szczególnie zainteresowane współpracą.

Po drugie, Moskwa zaczęła tę wojnę z podzielnym przez otoczenie przekonaniem, że jest potęgą. Teraz status Rosji się obniżył, wyraźnie to było widać na niedawnym spotkaniu Szanghajskiej Organizacji Współpracy – grupy państw obejmującej byłe republiki radzieckie plus Chiny i Indie – kiedy nawet państwa przyjazne Rosji mówiły jej, żeby zakończyła wojnę. A im dłużej potrwa ta wojna, tym bardziej Moskwa będzie izolowana.

Trzecim ważnym czynnikiem są Rosjanie. Jednym z powodów, dla których jest znacznie więcej protestów przeciwko mobilizacji na peryferiach niż w stolicy, jest to, że w pierwszych miesiącach wojny zginęło znacznie więcej Dagestańczyków niż moskwiian. Nie wierzę, że Putin utrzyma poparcie dla wojny, jeśli coraz więcej chłopaków będzie wracać w trumnach.

Jedyną szansą dla Rosji jest więc przełamanie jedności Zachodu w ciągu następnych sześciu mie-

Jeśli Europa w marcu albo kwietniu wyjdzie z kryzysu dostatecznie zjednoczona i niezbyt poturbowana, Rosja przegra

sięcy. Bo jeśli on do końca marca pozostanie skonsolidowany, jeśli ludzie uwierzą, że Zachód wytrzyma – Putin przegra. Oczywiście, nasze problemy magicznie się nie skończą. Kolejna zima będzie jeszcze trudniejsza, bo dziś jeszcze mamy zapasy gazu w magazynach, a za rok będzie trudniej je wypełnić. Ale przetrwamy to, o ile nikt się nie wylamie.

Putin o tym wie i dlatego w najbliższych miesiącach należy się spodziewać eskalacji na każdym poziomie, w tym ataków na ukraińską cywilną infrastrukturę. Będzie udowadniał Zachodowi, że jest gotowy na wszystko: niszczenie rurociągów, broń atomową, wszystko. Pytanie brzmi, czy my też jesteśmy gotowi na wszystko. Czy Portugalczyk będzie chciał cierpieć za Donbas? Niekoniecznie.

Problemem Europy jest to, że najtrudniej jest wygrać tę wojnę, z której nie zdajesz sobie sprawy.

To znaczy?

– Wojna Rosji z Zachodem jest asymetryczna, bo tylko jedna strona, rosyjskie przywództwo, zdaje sobie sprawę, że ją toczy. Długo zresztą była asymetryczna na samym froncie, bo o ile od 24 lutego każdy Ukrainiec wiedział, że jego kraj jest w stanie wojny, to wcale nie wiedział tego każdy Rosjanin. Dowiedzieli się dopiero po ogłoszeniu mobilizacji. A to dawało Ukrainie sporą przewagę. Dziś natomiast przewagę ma Rosja, bo Rosjanie zaczynają rozumieć, że są na wojnie z Zachodem, natomiast nie każdy Europejczyk czy Amerykanin zdaje sobie z tego sprawę.

A postępy tej wojny należy śledzić nie tylko na polach bitwy, ale też w decyzjach podejmowanych przez zachodnich polityków i w sondażach opinii publicznej.

Jeśli kluczem jest odporność i wytrwałość, to jak Zachód może je zwiększyć?

– Idea, że w reakcji na kryzys najważniejsza jest odporność społeczeństwa, pojawiła się już przed woj-

• **4 września, Kupiańsk, poległy rosyjski żołnierz dostał w sorcie mundurowym pas Armii Radzieckiej**

FOT. ANDRII MARIENKO/AP

ną, wraz z pandemią. I Europejczycy okazali się dużo bardziej odporni, niż wielu się spodziewało. Kiedy pojawiły się pierwsze zachorowania, Europa przecież nie była w ogóle przygotowana. Nie było masek, nikt nie wiedział, co robić, ludzie naprawdę się bali. Ale dziś, kiedy porównać Europę z USA czy Chinami, widać, że poradziła sobie całkiem nieźle.

Stany co prawda opanowały kryzys, ale liczba nadmiarowych śmierci, podobnie jak panika, była tam dużo wyższa. Pandemia okazała się bardziej traumatyczna dla Amerykanów niż Europejczyków. Chińczycy z kolei początkowo byli prymusami: natychmiast zaprowadzili ścisłe lockdowny i wydawało się, że sytuacja jest pod kontrolą. Tyle że ich szczepionki nie są skuteczne – są gorsze nawet od rosyjskich – a Chiny nie mogą przecież kupić amerykańskich, bo przyznałyby, że zachodnie rozwiązania są lepsze. Efekt jest taki, że Chiny wciąż w wielu miejscach są zamknięte, a to poważnie odbija się na gospodarce.

Zaletą chińskiego systemu jest to, że może wdrażać niepopularne rozwiązania: żaden inny kraj nie miał tak surowych lockdownów. Ale też jeśli okażą się nieskuteczne, nie mogą ich zmienić, bo nie mogą przyznać, że się mylili.

Omyłność to ogromna zaleta demokracji. Oczywiście, nie przesądza o tym, że demokracje na pewno wygrają. Ale w demokracji nawet słaby rząd wciąż ma pewną społeczną legitymację: ludzie może i ci nie ufają, ale nie chcą cię obalić, bo wiedzą, że niedługo będą wybory, mogą wybrać nową ekipę, a ta zmieni kurs. Jeśli jednak jesteś autorytarnym liderem, zawsze musisz mówić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

W kwestii trzymania kursu reżimy wyglądają na silniejsze i dużo bardziej sztywne. Ale sztywność ma w sobie kruchość. Autorytarne systemy nie są elastyczne. I są nieprzewidywalne: bardzo trudno jest przewidzieć kolejny ruch Putina, co mu służyło, ale nie zawsze jest zaletą. Demokracje bywają z kolei zbyt przewidywalne: pewnych rzeczy w państwie demokratycznym nie można zrobić, na przykład użyć broni nuklearnej. No i na dłuższą metę trudno utrzymać mobilizację obywateli.

Ale musimy próbować ją utrzymać. Jak?

– Putin powinien być przedstawiany jako absolutne zło – z absolutnym złem się nie negocjuje. Zachodnie rządy muszą też przekonać obywateli, że to nie my jesteśmy główną przeszkodą do zakończenia tej wojny. To ważne, bo już pojawiają się głosy, że zawieszenie broni jest możliwe, ba, Ukraińcy są na to gotowi, tylko Zachód, a zwłaszcza Ameryka, blokuje porozumienie. „To wojna USA, wojna Bidena, nie wojna Putina” – nie wierzę, że ten komunikat zadziała w Polsce czy republikach bałtyckich, ale już Włosi, jak popatrzeć na sondaże, obwiniają o wojnę tak samo obie strony.

Paradoksalnie jednak, strasząc wojną atomową i używając bardzo konfrontacyjnego języka, Putin może stracić część poparcia. Żeby przestraszyć zachodnich liderów, próbuje ich przekonać, że jest dostatecznie szalony. Z drugiej jednak strony, jeśli europejska prasa i obywatele mają naciskać na przywódców, by usiedli z nim do rozmów, muszą uważać, że jest racjonalny.

A jest?

– Nie chcę psychologizować, bo psychologizowanie rzadko kiedy jest produktywne, ale zawsze mi się wydawało, że jest jedna rzecz, którą Putin się zadrećza: jak to możliwe, że nuklearna potęga mogła przegrać, skoro militarnie nie została pokonana? Uznał, że liderzy późnego ZSRR byli głupi – po prostu zapomnieli przypomnieć światu, że mają bomby atomowe. Nikt nimi nie straszył. Dla Putina możliwość zniszczenia świata stała się podstawowym źródłem suwerenności.

Po drugie, demografia. Ludzie naprawdę nie doceniają, do jakiego stopnia demograficzne lęki kształtują jego wizję przyszłości Rosji. Wielokrotnie wracał do prognozy Mendelejewa, że w 2000 roku będzie 500 mln Rosjan, tymczasem mamy 2022 i jest ich raptem 144 mln. Głównym powodem, dla którego tak się upierał, że Ukraińcy i Białorusini to właściwie Rosjanie, był fakt, że jest zbyt mało Rosjan. Bo z czego zawsze była słynna rosyjska armia? Z tego, że było w niej więcej żołnierzy niż karabinów. Dziś po raz pierwszy jest odwrotnie.

Wreszcie zmiany kulturowe. Jego obsesja na punkcie zachodnich wpływów to strach przed tym, że pewnych rzeczy w społeczeństwie nie da się kontrolować – zwłaszcza tego, jak twoje dzieci postrzegają świat. W rosyjskiej tradycji władca jest ojcem dla swojego ludu – a on został ojcem w czasach, gdy

rodzicielska władza wszędzie przechodzi kryzys. Widać to choćby na przykładzie mobilizacji. Młodzi Ukraińcy też przed nią uciekają, ale nie są z tego dumni ani nie mówią, że to nie ich wojna, tylko próbują zniknąć. A Rosjanie przekraczający granice Gruzji i Kazachstanu uśmiechają się, machają do zdjęcia i oznajmniają wprost: to nie moja wojna.

Putin zaczyna zdawać sobie sprawę, że zbudował naród kibiców. Kibice będą bić brawo. Gdy zajął Krym – to tak, jakby twoja drużyna nieoczekiwanie zdobyła mistrzostwo. Ale problem z kibicami jest taki, że nie wychodzą na boisko.

Ale czy kibice aby nie powinni być lojalni wobec klubu niezależnie od tego, czy wygrywa, czy przegrywa?

– W przypadku Rosji niekoniecznie. Około jednej trzeciej Rosjan wierzy, że to ich wojna. Że zwycięstwo jest ogromnie ważne, bo jeśli Rosja zostanie pokonana, to będzie koniec wszystkiego. Problem polega na tym, że ta jedna trzecia to głównie emeryci, a ich nie da się powołać do wojska. Kolejne 20 proc. też zasadniczo kibicuje rosyjskiemu zwycięstwu – lepiej my niż oni – ale popierają nie wojnę, tylko operację specjalną. Wojna to coś, co jest daleko, jak w Syrii – OK, to pewnie dobrze, że ratujemy tych ludzi, ale jeszcze lepiej, że ja nie muszę tego robić. I oni dziś uważają, że Putin nie dotrzymał słowa.

Wreszcie jakieś 20 proc. Rosjan się tej wojnie sprzeciwia. Wiele osób mówi: zamknijcie granice dla Rosjan, niech walczą z Putinem, zamiast przyjeżdżać do nas. Tyle że tego samego argumentu używano wobec niemieckich Żydów w 1933 roku. Nie mówiąc już o tym, że będzie to prezent dla Putina – bo przecież nie można prowadzić skutecznej mobilizacji, jeśli poborowi mogą uciec.

Mówi pan, że Rosja straciła optymizm. A Zachód?

– Dobre pytanie, na które nie jest łatwo odpowiedzieć. Też oczywiście trochę obawiamy się przyszłości. Nasze lęki wynikają po trosze z tego, że w momencie największego optymizmu – w 1989 roku – Zachód był po prostu zbyt potężny. I nigdy już tak silny nie będzie: po pierwsze, z powodów demograficznych, po drugie, stracił przewagę technologiczną. Dziś Zachód doświadcza relatywnego regresu – ale to regres, a nie, jak uważa część jego mieszkańców, totalny upadek. To obawa skrajnej prawicy, która jest przekonana, że powinniśmy dziś walczyć z Rosją i Chinami, bo jutro będziemy

na słabszej pozycji. Ale takie apokaliptyczne myślenie to domena mniejszości. Większość zachodnich społeczeństw nie ma takich lęków, bo, po prostu, mamy dobre życie. Lepšie od większości mieszkańców globu. Zachód nie jest więc może w tak optymistycznym nastroju jak w 1945 czy 1989 roku, ale też daleko nam do myśli samobójczych.

Ukraina będzie się starać zradyzalizować sytuację, by Zachód nie mógł się cofnąć

Jeśli więc Zachód jest umiarkowany optymistyczny...

– Może nie aż optymistyczny, ale przynajmniej niepozabawiony nadziei.

...więc jeśli Zachód nie stracił nadziei, a Rosja jest zafiksowana na odzyskaniu dawnej wielkości, to dlaczego bycie ofiarą jest tak popularne? I to nie tylko wśród tropiącej przywilej zachodniej lewicy, ale i wśród autorytarnych prawicowych liderów?

– W czasie zimnej wojny nasza ideologiczna tożsamość opierała się na przyszłości. Bycie bolszewikiem oznaczało marzenie o życiu w obiecany królestwie wolności, które było dużo lepsze od socjalizmu realnego. Zachód, odpowiadając ZSRR, też patrzył w przyszłość: życie dziś jest dobre, ale jutro będzie jeszcze lepsze. Po 1989 roku przyszłość zniknęła, a my zaczęliśmy patrzeć wstecz i tam szukać naszej tożsamości.

A najsilniejszą tożsamością jest tożsamość ofiary. Bo tylko opowieść ofiary ma moralną siłę i tylko ofiary mogą obwiniać innych. I, jasne, niektóre mają dobre powody: Afroamerykanie naprawdę przez stulecia byli niewolnikami, a Polska napraw-

dę została zniszczona, najpierw przez nazistów, potem przez Sowietów. Tylko co jest w tym paradygmacie przyszłością? Reparaacje. Przyszłość jest naprawianiem dawnych krzywd.

Poza tym bycie ofiarą daje ci prawo do bezwzględności. Prawo do traktowania innych źle. Wreszcie najważniejsze we współczesnym świecie prawo...

Nietykaność?

– ...też, ale przede wszystkim prawo do bycia źle zrozumianym. To dziś największy przywilej, nawet jeśli Putin go nieco nadużywa.

To może takie nadużycie pojęcia ofiary wskazuje, że ten koncept się jednak wyczerpuje?

– Być może, bo mam wrażenie, że ten język faktycznie osiągnął przesilenie. Weźmy na przykład, dla mnie najbardziej moralnie niepokojące, przemówienia prezydentów Zelenskigo i Putina. Wystarczy, że zamienię Ukrainę na Rosję, a Rosję na Zachód, i to będzie ta sama mowa: o walce z kolonializmem i narodowej godności. To nie może być świat, w którym zamieniając tylko słowa, nie jesteśmy już w stanie odróżnić atakującego od atakowanego. ●



FOT. EAST NEWS

***Ivan Krastev**

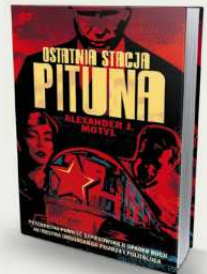
• szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii, jeden z najbardziej cenionych europejskich politologów i filozofów polityki. Niedawno nakładem Krytyki Politycznej ukazała się jego i Stephena Holmesa książka „Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców”

„Ciągłe nie mogę się zdecydować, co było bardziej niezwykle – widzieć Rosję w ruinie czy spotkać jej byłego władcę na Riwerze” – zaczyna swój dystopijny kryminał Alexander Motyl. Pachnie Glukhovskym i jego słynnym postapokaliptycznym cyklem „Metro” (albo świeższym „Outpostem”)? Słusznie i nie.

Słusznie, bo ceniony akademik (Alexander Motyl może brzmieć jak literacki pseudonim, coś w rodzaju „Severski”, ale Mr Motyl istnieje, od kilkudziesięciu lat wykłada historię, m.in. na Harvardzie i Columbii, i jest jednym z najlepszych amerykańskich sowietologów) wyobraża sobie Rosję pogrążoną w chaosie. Niestusznie, bo w przeciwieństwie do wizji Glukhovsky’ego, w których wszyscy są przegrani, z kart „Ostatniej stacji Pituna” wieje optymizmem. Oto Ukraińcy przełamują front i odzyskują wszystkie zajęte ziemie (jak on to przewidział kilka lat temu?), Chińczycy przystają z okazji i wbijają na Syberię, a w wynędzniałej Rosji wybucha ludowe powstanie.

I tylko jedno wkurza – Władimir Władimirowicz na dyktatorskiej emeryturze. Zważywszy na to, jak potoczyły się losy Iraku czy Libii, jak obalenie tamtejszych satrapów zdestabilizowało na dekady pół świata i zrujnowało życie milionów ludzi, można by kibicować wizji Kaddafiego spędzającego starość w otoczeniu wnucząt i hurys z jego słynnej kobiecej gwardii przybocznej w Malibu, nawet wizji Saddama sączącego drinki (w końcu był tyranem arabskim, ale świeckim) na Mauritiusie. Ale Putin?

„Ostatnia stacja Pituna”, Alexander J. Motyl, przeł. Waldemar Piasecki, wyd. Insignis



RELACJA Z PIERWSZEJ RĘKI Z GABINETU WOŁODYMYRA ZEŁENSKIEGO

”

Kim jest Wołodymyr Zełenski? Niewiele osób, które piszą o ukraińskim prezydencie i jego zaskakującym awansie, najpierw na szczyt ukraińskiej polityki, a potem do rangi najpopularniejszego w Ameryce zagranicznego przywódcy, zna go tak dobrze jak Julia Mendel. Lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce zrozumieć dzisiejszą Ukrainę i wartości, o które walczy naród ukraiński.

SERHII PLOKHY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

NASZA EUROPA

„The New York Times” o decyzjach Kremla

Zaczęła się północnokoreanizacja Rosji

Putin próbuje oszołomić Zachód. A Zachód nie może teraz mrugnąć pierwszy.

Thomas L. Friedman

Wraz z ogłoszeniem aneksji części Ukrainy Putin uruchomił procesy, które zamienią Rosję w gigantyczną Koreę Północną. Będzie to równie paranoiczne, wściekle i odizolowane państwo, ale w przeciwieństwie do Korei Północnej rosyjska wersja będzie rozpięta na II strefach czasowych, od granicy wolnej Europy po granicę Alaski – i wyposażona w tysiące głowic nuklearnych.

Znałem Rosję, która była silna, groźna, ale stabilna – nazywała się Związek Radziecki. Znałem Rosję, która była pełna nadziei, z potencjałem przekształcenia się w demokrację, za Gorbaczowa, Jelcyna, a nawet młodszego Putina. Znałem Rosję, która pod rządami już starszego Putina chuliganiła, hakowała amerykańskie instytucje, trula opozycjonistów – ale wciąż była stabilnym eksporterem ropy naftowej i od czasu do czasu partnerem USA w dziedzinie bezpieczeństwa, gdy potrzebowaliśmy pomocy.

Ale nikt z nas nie miał do czynienia z taką Rosją, którą teraz zdesperowany, przyparty do muru Putin zaciekle formuje – Rosją pariasem; Rosją o nadal wielkim cielsku, ale upokorzoną; Rosją, która skłania swoich najbardziej utalentowanych inżynierów, programistów i naukowców do ucieczki przez jakiekolwiek uchylone jeszcze drzwi. To będzie Rosja, która wobec utraty wielu partnerów handlowych przetrwa jedynie jako naftowo-gazowa kolonia Chin; Rosja, która będzie państwem upadłym, rozsiewającym niestabilność przez każdą swoją szczylinę.

Taka Rosja nie będzie wyłącznie zagrożeniem geopolitycznym. Będzie także ludzką tragedią o ogromnych rozmiarach. „Północnokoreanizacja” Rosji zamieni kraj, który dał światu wielkich pisarzy, kompozytorów i naukowców, w miejsce zdolne raczej do produkowania ziemniaczanych chipsów niż mikroczipów, bardziej znane z nasyczonej nowiczkami bielizny niż z haute couture i bardziej skoncentrowane na odbloko-

waniu podziemnych rezerwuarów surowców niż na wykorzystaniu łatwo dostępnego potencjału ludzkiego geniuszu i kreatywności. W efekcie cały świat zostanie przez Putina pomniejszony o Rosję.

Trudno dostrzec inny scenariusz, dopóki Putin jest u władzy. Dlaczego? Słynna jest teza teoretyka gier Thomasa Schellinga dotycząca rozgrywki typu „kto stchórzy pierwszy”: jeśli grasz w to z innym kierowcą, jadącym na zderzenie z tobą, to najlepszym sposobem na wygrana – czyli na to, by to przeciwnik pierwszy zjechał z drogi – jest demonstracyjne wyrwanie swojej kierownicy i wyrzucenie jej przez okno. Bo wtedy jasna wiadomość dla rywala brzmi: „chętnie zjechałbym, ale już nie kontroluję mojego samochodu – więc lepiej skrócić ty!”.

Ta technika to specjalność Korei Północnej. Teraz przejął ją Putin, ogłaszając z pompą, że Rosja anektuje cztery ukraińskie regiony: Ługański i Donieck, gdzie separatyści sponsorowani przez Moskwę walczą z Kijowem od 2014 r., oraz Chersoń i Zaporże, które są okupowane od początkowego etapu lutowej inwazji. W bombastycznych wnie- trzach Kremla Putin oświadczył, że mieszkańcy tych czterech regionów stają się „na zawsze” obywatelami Rosji.

Do czego zmierza? Można tylko spekulować. Zacząć należy od jego polityki wewnętrznej. Bazą Putina nie są studenci Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Jego bazą są ultraprawicowi nacjonaści, w których wzbiera coraz większy gniew na militarne upokorzenia Rosji. Aby utrzymać ich poparcie, Putin mógł czuć się zmuszony do pokazania, że ogłaszając mobilizację rezerwistów i dokonując aneksji dużej części Ukrainy, na serio prowadzi prawdziwą wojnę o Matuszkę Rosję, a nie tylko jakąś pokątną „specjalną operację wojskową”.

Może to być jednak również próba uzyskania jak najkorzystniejszej pozycji negocjacyjnej. Nie zdziwiłbym się, gdyby wkrótce ogłosił gotowość do zawieszenia broni – oraz jednocześnie do naprawy rurociągów i wznowienia dostaw gazu do każdego kraju gotowego uznać nowe aneksje Rosji.

Putin mógłby wtedy pokazać swojemu nacjonalistycznemu zapleczu, że jed-

nak zdobył coś w wyniku rozpętanej wojny – nawet jeśli stało się to olbrzymim kosztem – więc już może ją w poczuciu spełnionego obowiązku zakończyć. Ale jest szkopuł: Putin nie kontroluje nawet tego terytorium, które anektuje.

Oznacza to, że nie może zgodzić się na żaden układ, dopóki nie wypędzi Ukraińców z całego tego obszaru; w przeciwnym razie rezygnowałby dokładnie z tego, co właśnie niby włączył do Rosji. Tymczasem jego pokieroszowana armia nie tylko nie wydaje się zdolna do zajęcia większego obszaru, ale wręcz traci go z dnia na dzień. Putin, roszcząc sobie prawo do terytorium, którego nie kontroluje, sam wpędza się w kozi róg, w którym, pewnego dnia, może dojść do wniosku, że ostatnią pozostałą mu opcją jest użycie broni jądrowej.

W każdym razie Putin, poprzez słabość swojej armii, wydaje się ośmielać Kijów i jego zachodnich sojuszników do kontynuowania pełnoskalowej wojny do zimy – kiedy dostawy gazu w Europie będą ograniczone, a ceny energii skoczą jeszcze wyżej – i do skutecznego odzyskania także tych terytoriów, które de facto znajdują się pod kontrolą Rosji już od 2014 r.

Czy Ukraina i Zachód się powściągną? Czy zatkają nosy i przystąpią do cuchnącego układu z Putinem, aby zatrzymać jego brudną wojnę? Czy też nie odpuszczą mu, dokładając starań, by nie uzyskał żadnych terytorialnych korzyści – a więc podtrzymamy zasadę niedopuszczalności zmieniania granic siłą?

Nie miejcie złudzeń: w Europie będą naciski, by uskoczyć przed czołowym zderzeniem i przyjąć powyższą ofertę Putina. Taki zresztą jest z pewnością jego aktualny cel: podzielić zachodni sojusz i uzyskać „zwycięstwo”, okrojone, ale ratujące mu twarz.

Ale jest jeszcze jedno, i to krótkoterminowe ryzyko dla Putina. Jeśli Zachód nie pójdzie na żadne porozumienie, a zamiast tego podwoi ilość broni i pomocy finansowej dla Ukrainy, istnieje prawdopodobieństwo, że armia Putina po prostu się załamie.

W tym wszystkim tylko jedna rzecz wydaje się przesądzona: że już istnieje dynamika, która popycha Rosję jeszcze bardziej

w kierunku modelu północnokoreańskiego. A zaczęło się to od decyzji Kremla o odcięciu większości dostaw gazu do Europy Zachodniej. W biznesie energetycznym obowiązuje tylko jedna kardynalna zasada: nigdy, prze-nigdy nie kwestionuj swojej wiarygodności jako dostawcy. A Putin właśnie uczynił Rosję niewiarygodnym dostawcą w oczach wielu swoich najstarszych i najlepszych klientów, począwszy od Niemiec i dużej części Unii Europejskiej.

Miną od dwóch do trzech lat, zanim nowe sieci gazociągów ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego oraz skroplony gaz ziemny z USA i Afryki Północnej zaczną trwale zastępować rosyjski gaz. Ale kiedy to się już stanie i kiedy światowe dostawy ogólnie wzrosną, aby zrekompensować utratę surowca z Rosji – i kiedy pojawi się więcej wydajniejszych źródeł energii odnawialnej – wtedy Putin stanie przed prawdziwym wyzwaniem. Starzy klienci mogą nadal kupować trochę energii od Rosji, ale nigdy już nie będą na niej polegać. Co da Chinom okazję, by żądać od Kremla olbrzymich rabatów.

Krótko mówiąc, Putin niszczy największe źródło zrównoważonego, długoterminowego dochodu swego kraju. Jednocześnie jego nielegalna aneksja gwarantuje, że zachodnie sankcje staną się jeszcze dotkliwsze, co tylko przyspieszy przechodzenie Rosji do kategorii państwa upadłego, a coraz więcej Rosjan z globalnie atrakcyjnymi umiejętnościami będzie szukać szczęścia poza granicami.

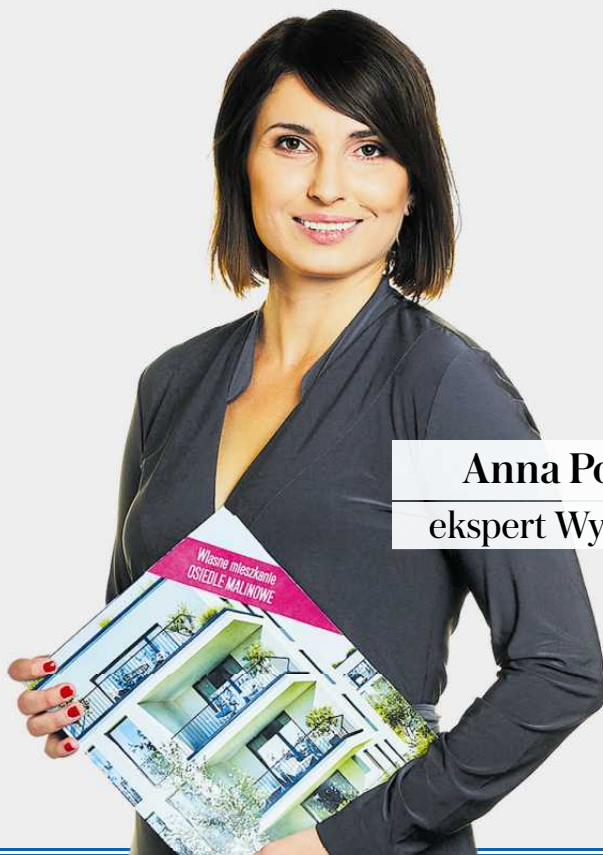
Nie świętuję tego upadku. To ryzykowny czas, w którym zachodni przywódcy muszą być zarówno twardzi, jak i sprytni. Muszą wiedzieć, kiedy należy zjechać na pobocze, a kiedy zmusić przeciwnika do zjechania na pobocze i jak wtedy pozostawić mu odrobinę godności, nawet jeśli całkowicie lekcewa-ży innych.

Być może Putin nie pozostawił nam innego wyboru, jak tylko nauczyć się żyć z rosyjskim wariantem państwa Kimów. Jeśli tak, będziemy musieli wykrzesać z tego najlepszy możliwy rezultat, choć i tak będzie to oznaczało znacznie bardziej niestabilny świat. ● tłum. Łukasz Grzymiśławski

© 2022 The New York Times Company

Niższa rata kredytu,
więcej pieniędzy
dla Ciebie

OSZCZĘDNIK
wyborcza.biz



Anna Popiolek
ekspert Wyborcza.biz

NASZA EUROPA

Aleksiej Nawalny:

TAK POWINNA
WYGLĄDAĆ ROSJA
PO PUTINIE

Strategiczny cel tej wojny? Sytuacja, w której Rosja w sposób naturalny, bez przymusu, nie będzie już chciała rozpętywać wojen, bo nie będzie uważała ich za atrakcyjne

Jak wygląda pożądaný i realistyczny koniec zbrodniczej wojny rozpętej przez Władimira Putina przeciwko Ukrainie?

Jeśli przeanalizujemy podstawowe komunikaty zachodnich przywódców na ten temat, to zasadnicza linia wygląda tak: Rosja (czytaj: Putin) nie może wygrać tej wojny. A Ukraina musi pozostać niezależnym demokratycznym państwem zdolnym do obrony własnych granic i ludności.

To prawda, ale to są cele taktyczne. Strategiczny cel natomiast powinien polegać na tym, by doprowadzić do sytuacji, w której Rosja i wszelkie jej kolejne rządy w sposób naturalny, bez przymusu, nie będą już chciały rozpętywać wojen, bo nie będą uważały ich za atrakcyjne. Jest to niewątpliwie możliwe. Już w tej chwili pęd do agresji dotyczy mniejszości w społeczeństwie rosyjskim.

Moim zdaniem problem z obecną taktyką Zachodu leży nie tylko w niejasnym określeniu celu i drogi do niego, ale przede wszystkim w tym, że Zachód ignoruje zasadnicze pytanie: jak ma wyglądać Rosja po osiągnięciu tego naszego celu taktycznego? Nawet jeśli uda się osiągnąć sukces w trwającej wojnie, to jaka jest gwarancja, że świat nie stanie w obliczu jeszcze bardziej agresywnego reżimu w Rosji, targanego resentymentami i imperialnymi ideami, które będą nadal oderwane od rzeczywistości? Z dotkniętą sankcjami, ale wciąż wielką gospodarką w stanie permanentnej mobilizacji wojskowej? I z bronią jądrową, która gwarantuje bezkarność dla wszelkiego rodzaju międzynarodowych prowokacji i awantur?

Łatwo przewidzieć, że nawet w przypadku bolesnej porażki militarnej Putin i tak oświadczy, że przegrał nie z Ukrainą, ale z „NATO i kolektywnym Zachodem”, który tak naprawdę rozpętał tę agresję, aby zniszczyć Rosję.

A potem, uciekając się do swojego tyłu rutynowego, co eklektycznego repertuaru symboli narodowych – od cerkiewnych ikon po czerwony sztandar, od Dostojewskiego po balet – przyrzeknie stworzyć armię tak silną i broń o tak niespotykanej mocy rażenia, że Zachód będzie żałował dnia, w którym się nam przeciwstawił, a honor naszych wielkich przodków zostanie wreszcie należycie uczczony.

A wtedy będziemy świadkami kolejnego cyklu wojen hybrydowych i prowokacji, ostatecznie eskalujących w nowe konflikty zbrojne.

Aby tego uniknąć, należy uczynić z kwestii kształtu powojennej Rosji zagadnienie



centralne – a nie tylko jedno z wielu – dla wszystkich, którzy dążą do pokoju. Nie da się osiągnąć żadnych długofalowych celów bez planu, który sprawi, że źródło problemów wygaśnie. Rosja musi przestać stanowić źródło agresji i niestabilności. Jest to możliwe – i to właśnie należy uznać za strategiczne zwycięstwo w tej wojnie.

Z Rosją dzieje się kilka ważnych rzeczy, które trzeba zrozumieć.

Po pierwsze, zazdrość o Ukrainę i jej ewentualne sukcesy jest niezbywalną cechą postsowieckiej władzy w Rosji; była ona również charakterystyczna dla pierwszego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna. Ale od początku rządów Putina, a zwłaszcza po

Lider rosyjskiej opozycji **Aleksiej Nawalny** odbywa dziesięcioletni wyrok w putinowskiej kolonii karnej o zaostrowym rygorze. Ten tekst został nam przekazany przez jego prawników.

porażkowej rewolucji, która rozpoczęła się w 2004 roku, nienawiść do europejskiego wyboru Ukrainy i chęć przekształcenia jej w państwo upadłe stały się trwałą obsesją nie tylko Putina, ale też wszystkich polityków rosyjskich jego pokolenia.

Kontrola nad Ukrainą jest najważniejszym punktem w credo wszystkich Rosjan o poglądach imperialnych, od urzędników po zwykłych ludzi. W ich oczach Rosja w połączeniu z podporządkowaną Ukrainą równa się „odrodzonemu ZSRR i imperium”. Bez Ukrainy, w tym ujęciu, Rosja jest tylko zwykłym państwem bez szans na globalną dominację. A wszystko, co osiąga Ukraina, jest czymś odebrany Rosji.

Po drugie, uznanie wojny nie za katastrofę, ale za niesamowity środek rozwiązywania wszelkich problemów, nie jest tylko filozofią elit wokół Putina, ale praktyką potwierdzoną przez życie. Od drugiej wojny czeczeńskiej, która uczyniła mało znanego Putina najpopularniejszym politykiem w kraju, poprzez wojnę w Gruzji, aneksję Krymu, wojnę w Donbasie i wojnę w Syrii, rosyjska elita w ciągu ostatnich 23 lat nauczyła się zasad, które nigdy dotąd jej nie zawiodły: wojna nie jest aż tak kosztowna, jak się zdaje, rozwiązuje wewnętrzne problemy polityczne, niebotycznie podnosi poparcie opinii publicznej, nie szkodzi szczególnie gospodarce i co najważniejsze – zwycięzcy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Prędzej czy później któryś z ciągle zmieniających się zachodnich przywódców sam poprosi nas o podjęcie negocjacji. Nie ma znaczenia, jakie motywy będą nim kierowały – presja wyborców czy chęć otrzymania Pokojowej Nagrody Nobla – ale jeśli wykażemy się odpowiednim uporem i determinacją, Zachód w końcu przyjdzie zawrzeć pokój.

Nie zapominajmy, że w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i innych krajach zachodnich jest wielu polityków, którzy ponieśli porażkę z powodu poparcia dla takiej czy innej wojny. W Rosji to nie do pomyślenia – tu wojna to zawsze zysk i sukces.

Po trzecie więc, nadzieje, że zastąpienie Putina przez innego członka obecnych kremlowskich elit zasadniczo zmieni ten pogląd na wojnę, a zwłaszcza na wojnę o „dziedzictwo ZSRR”, są co najmniej naiwne. Te elity po prostu wiedzą z doświadczenia, że wojna działa – lepiej niż cokolwiek innego.

Być może najlepszym przykładem jest tu Dmitrij Miedwiediew, były prezydent, w którym Zachód swego czasu pokładał tak wiele nadziei. Dziś ten dowcipny Miedwiediew, którego kiedyś zabrano na wycieczkę po siedzibie Twittera, wygłasza w tweetach oświadczenia tak agre-

NASZA EUROPA

sywne, że wyglądają wręcz jak karykatura słów Putina.

Po czwarte, dobra wiadomość jest taka, że krwiożercza obsesja na punkcie Ukrainy wcale nie jest powszechna poza elitami władzy, bez względu na kłamstwa prorządowych socjologów.

Wojna podnosi wskaźniki aprobaty dla Putina poprzez mobilizację imperialnie nastawionej części społeczeństwa. Wojna pochłania całą agendę informacyjną, a problemy wewnętrzne schodzą na dalszy plan: „Hura, wracamy do gry, jesteśmy wielcy, liczą się z nami!”. Jednak agresywni imperialiści nie stanowią solidnej większości wyborców i nawet oni wciąż potrzebują stalego zastrzyku propagandy, by podtrzymać swoje przekonania.

W przeciwnym razie Putin nie musiałby nazywać wojny „operacją specjalną” i wysyłać za kraty tych, którzy po prostu używają słowa „wojna” (niedawno członek moskiewskiej rady rejonowej otrzymał za to wyrok siedmiu lat więzienia). Nie bałby się przez tak długi czas wysyłania poborowych na front i nie byłby zmuszony do szukania rekrutów w więzieniach o maksymalnym rygorze, jak to robi teraz (wielu skazanych zostało „zaciągniętych” bezpośrednio z kolonii karnej, w której jestem).

Owszem, propaganda i pranie mózgu przynoszą efekty. Jednak można z całą pewnością powiedzieć, że większość mieszkańców dużych miast, takich jak Moskwa i Petersburg, a także w ogóle młodych Rosjan jest krytycznie nastawiona do wojny i imperialnej hysterii. Horror, którego doznają niewinni Ukraińcy z rąk brutalnej rosyjskiej armii, rezonuje w duszach tych wyborców.

Jakie płyną z tego wnioski?

Wojnę z Ukrainą rozpoczął i prowadzi, oczywiście, Putin, próbując rozwiązać swoje wewnętrzne problemy polityczne. Ale prawdziwą partią wojny jest cała elita i sam system władzy, który jest powielającym się bez końca rosyjskim autorytaryzmem typu imperialnego. Agresja w każdej formie, od retoryki dyplomatycznej po otwarte działania militarne, jest preferowanym sposobem działania, a Ukraina jest jej ulubionym celem. Ten samoreprodukujący się imperialny autorytaryzm jest prawdziwym przekleństwem Rosji i przyczyną wszystkich jej problemów. Wciąż nie możemy się go pozbyć, pomimo wielu okazji, jakie regularnie oferuje nam historia.

Rosja miała ostatnią taką szansę po upadku ZSRR, ale zarówno demokratycznie my-

ślący obywatele w kraju, jak i zachodni przywódcy popełnili wówczas potworny błąd, zgadzając się na model – zaproponowany przez ekipę Borysa Jelcyna – republiki prezydenckiej z ogromnymi uprawnieniami zgromadzonymi w ręku lidera.

Oddanie dużej władzy jednemu, ale właściwemu człowiekowi wydawało się wtedy logiczne. Jednak wkrótce stało się to, co nieuniknione: dobry lider stał się zły. Najpierw sam rozpoczął wojnę (czeczeńską), a potem, bez normalnych wyborów i z pominięciem przejrzystych procedur, przekazał władzę cynicznym i skorumpowanym posowieckim imperialistom z Putinem na czele. Wywołali

parlamentarnej. To jedyny sposób na zatrzymanie w tym kraju niekończącego się cyklu imperialnego autorytaryzmu.

Ktoś powie, że republika parlamentarna nie jest lekiem na całe zło. Któż bowiem miałby w niej zapobiec, by Putin lub ktoś podobny do niego wygrał wybory i uzyskał pełną kontrolę nad parlamentem?

Oczywiście nawet republika parlamentarna nie daje stuprocentowych gwarancji. Może się okazać, że jesteśmy świadkami przejścia do takiego autorytaryzmu, jaki występuje dziś w parlamentarnych przecież Indiach. Także turecka republika parlamentarna wskutek uzurpacyjnej polityki Erdoga-

Rosyjska elita nauczyła się, że wojna nie jest aż tak kosztowna, rozwiązuje wewnętrzne problemy polityczne, niebotycznie podnosi poparcie, nie szkodzi szczególnie gospodarce i – co najważniejsze – zwycięzcy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności

oni kilka kolejnych wojen i niezliczone prowokacje międzynarodowe, a teraz dręczą sąsiedni naród, popełniając straszne zbrodnie, których nie wybaczą nam ani całe pokolenia Ukraińców, ani nasze własne dzieci.

W ciągu 31 lat od upadku ZSRR byliśmy świadkami realizacji wyraźnego schematu: kraje, które wybrały model republiki parlamentarnej (Bałtowie), prosperują i z powodzeniem dołączyły do Europy; kraje, które wybrały model prezydencko-parlamentarny (Ukraina, Mołdawia, Gruzja), zmagają się z ciągłą niestabilnością i poczyniły niewielkie postępy. Te natomiast, które wybrały silną władzę prezydencką (Rosja, Białoruś, republiki Azji Środkowej), padły ofiarą sztywnego autorytaryzmu, większość z nich jest stale zaangażowana w konflikty z sąsiadami, marząc o własnych małych imperiach.

Jeszcze raz zatem: co da się nazwać strategicznym zwycięstwem w trwającej dziś wojnie Rosji Putina z Ukrainą? Zawrócenie Rosji do tego kluczowego momentu historycznego i pozwolenie narodowi rosyjskiemu na dokonanie lepszego wyboru.

Przyszły model dla Rosji to nie „silna władza” i „twarda ręka”, ale harmonia, porozumienie i uwzględnianie interesów całego społeczeństwa. Rosja potrzebuje republiki

na przekształciła się de facto w prezydencką. A serce europejskiego fanklubu Putina bije paradoksalnie na Węgrzech, będących republiką parlamentarną, ale pod całkowitą kontrolą „silnego człowieka”, Orbána.

A jednak uważam, że to lekarstwo oferuje nam zasadnicze korzyści: radykalne ograniczenie władzy jednej osoby na samej górze, tworzenie rządu przez większość parlamentarną, niezależny system sądownictwa, znaczne zwiększenie kompetencji władz lokalnych. Te instytucje nigdy w Rosji nie istniały – a my ich rozpaczliwie potrzebujemy.

Co zaś do ewentualnej całkowitej kontroli parlamentu przez partię Putina odpowiedź jest prosta: kiedy prawdziwa opozycja zostanie dopuszczona do wyborów, będzie to niemożliwe. Duża frakcja? Tak. Większość koalicyjna? Może. Całkowita kontrola? Zdecydowanie nie. Zbyt wielu ludzi w Rosji jest teraz zainteresowanych normalnym życiem, a nie fantomami zdobyczy terytorialnych. I takich ludzi jest z każdym rokiem więcej. Po prostu nie mają teraz na kogo głosować.

Z pewnością zmiana reżimu w Rosji i wybór jej drogi rozwoju to nie są sprawy, o których ma decydować Zachód, tylko zadanie dla obywateli Rosji. Niemniej jednak Zachód, który nałożył sankcje zarówno na Ro-

sję jako państwo, jak i na część jej elit, powinien jasno przedstawić swoją strategiczną wizję Rosji jako demokracji parlamentarnej. W żadnym wypadku nie należy powtarzać błędu cynicznego podejścia z lat 90., kiedy to elitom postsowieckim oznajmiono: „Róbcie u siebie, co chcecie; tylko pilnujcie swojej broni jądrowej i dostarczajcie nam ropę i gaz”. Nawet teraz słyszymy równie cyniczne głosy mówiące podobne rzeczy: „Niech po prostu wycofają wojska, a potem urządzają się u siebie, jak chcą. Gdy tylko wojna się skończy, misja Zachodu będzie wypełniona”. Ale przecież skutkiem takiego podejścia była już m.in. aneksja Krymu przez Rosję w 2014 roku, a teraz jest pełnowymiarowa wojna w Europie w 2022 roku.

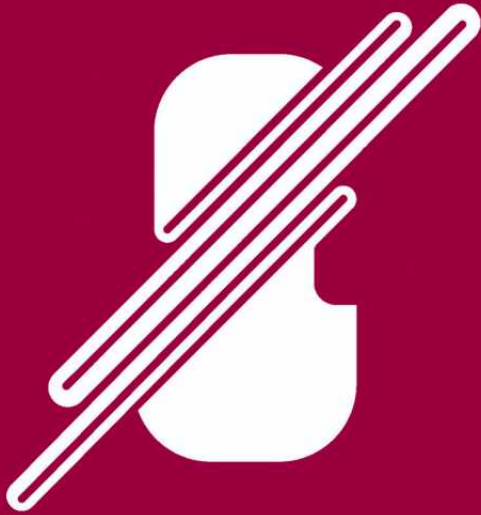
To jest proste, uczciwe i sprawiedliwe podejście: naród rosyjski ma oczywiście swobodę wyboru własnej drogi rozwoju – ale kraje zachodnie mają prawo wybrać format swoich relacji z Rosją, znieść lub utrzymać sankcje i określić kryteria takich decyzji. Naród rosyjski i rosyjskie elity nie potrzebują zewnętrznego przymusu, tylko jasnego sygnału i wyjaśnienia, dlaczego jeden ich wybór jest – dla nich samych i świata – lepszy niż inny.

Co ważne, demokracja parlamentarna jest również racjonalną i pożądaną opcją dla wielu koterii politycznych skupionych dziś wokół Putina. Daje im bowiem możliwość utrzymania wpływów i walki o władzę, a jednocześnie zapewnia, że nie zostaną zniszczeni przez nowe, bardziej agresywne grupy.

Wojna to nieustanny strumień kluczowych, pilnych decyzji, na które wpływają stale zmieniające się czynniki. Dlatego też, choć pochwalam europejskich przywódców za ich nieustające wspieranie Ukrainy, wzywam ich, by nie tracili z oczu podstawowych przyczyn tej wojny.

Zagrożeniem dla pokoju i stabilności w Europie jest agresywny imperialny autorytaryzm, który Rosja sama sobie bezustannie wymierza. Rosja powojenna i postputinowska będzie skazana na recydywę dopóty, dopóki utrzymany zostanie obecny model polityczny w tym kraju. Tylko republika parlamentarna może temu zapobiec. Jest to pierwszy krok w kierunku przekształcenia Rosji w dobrego sąsiada, który pomaga rozwiązywać problemy, zamiast je nieustannie tworzyć. ●

tłum. Łukasz Grzymistawski



16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

POZNAŃ | 7-21.10.2022

www.konkurs.wieniawski.pl

WIENIAWSKI SOCIETY

W Rosji sprzedaż antydepresantów wzrosła kilkukrotnie. Ten projekt to mój antydepresant

Z **IGOREM SAWIELIEWEM***, ROSYJSKIM PISARZEM I OPOZYCJONISTĄ, ROZMAWIA **ANDRZEJ GOWORSKI**

Na czym polega akcja „Miasto bez Z”, której sens opisujesz jako „metodykę walki w sposób paradoksalny”?

– Na pisaniu skarg na organizacje, które zawieszają „Z” na fasadzie. Powodem mogą być naruszenia praw pracowników, ustawy o ochronie przyrody i ogólnie wszystko, co nie jest bezpośrednio związane z „Z”. Wymyśliłem algorytm, wykonałem kilka przykładowych kejsów z możliwymi naruszeniami, przykładami listów ze skargami. Strony WWW nie robiłem, bo władze czy zwolennicy wojny mieliby powód, żeby mnie docisnąć – usunąć witrynę i zamknąć projekt. Akcja, opatrzona hasztagiem #городбезz, funkcjonuje tylko w mediach społecznościowych. Wymyśliłem to trochę po to, by nie zwariować. Statystyki podają, że w Rosji sprzedaż antydepresantów w pierwszej połowie 2022 roku wzrosła kilkukrotnie. Ten projekt to mój antydepresant, choć za walkę z „Z”, próbę zamalowania znaku na ścianie grożą w Rosji zatrzymania i grzywny. Ale to „Z” przekroczyło już wszelkie granice, stało się zbyt podobne do swastyki.

Obawiasz się konsekwencji?

– Nie jestem bohaterem, boję się tortur. Kiedy zacząłem akcję, byłem pewien, że przyjdą po mnie, ale nie przyszli, zacząłem żyć po staremu.

Jak wielu Rosjan, czytam Meduzę i muszę przyznać, że to moralnie trudne. Strasznie jest patrzeć na zniszczone domy, zamordowane dzieci.

A przyjaciele?

– Wszyscy, z wyjątkiem dwóch, są przeciwko wojnie. Jedna dziewczyna wypisuje rzeczy typu „Wielka Patriotyczna Operacja Specjalna”, a drugi to pisarz, ale nasza znajomość skończyła się jeszcze przed wojną. Zobaczyłem jego podpis pod listem rosyjskich literatów popierających wojnę i usunąłem go – i wszystkich, którzy sygnowali ten list – z moich znajomych.

W 2019 roku z hukiem wyrzucili mnie z mediów, bo poparłem śledztwo sztabu Aleksandra Nawalnego dotyczące wynagrodzenia rodziny prezydenta Baszkirii Radija Chabirowa. Wziąłem kredyty, więcej pracowałem, pandemia wywróciła wszystko do góry nogami, pogoń za pieniędzmi, a potem wybuchła wojna... Ostatni raz byłem za granicą w 2020 roku w Paryżu na targach książki. Nie sądzę, że w najbliższych latach wyjadę.

Uważasz, że literatura ma dziś znaczenie dla rosyjskich mas?

– I tak, i nie. Przez 15 ostatnich lat uważano, że straciła społeczne znaczenie, ale sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z tężeniem cenzury, która z mediów rozlała się na kino i teatr. Wtedy, jak mi się wydaje, zadziałał odruch epoki sowieckiej. Gdzie w ZSRR szukano prawdy? Nie w gazecie, nie w telewizji, nie na ekranie, tylko między wierszami w książkach. Małe niezależne wydawnictwo wydało książkę „Leto w pionierskom galstukie” (Lato w pionierskiej chuście), taki romans dla hipsterów, opowieść o miłości dwóch chłopaków w obozie pionierskim. Ale książka wpadła w oko upojonym wojną konserwatywom i najpierw zmiażdżył ją pisarz Zachar Prilepin, potem reżyser Nikita Michalkow. A cóż to – zakrzyknęli – my prowadzimy świętą „operację specjalną”, ludzie wracają do swoich duchowych korzeni, a tu LGBT wspięło się na radzieckiej tematyce i w biały dzień parady w księgarni?!



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ZADZIAŁAŁ ODRUCH SOWIECKI

Dzięki takiej kampanii małe wydawnictwo z książką, o której nikt by nie usłyszał, sprzedawało ją w kosmicznym nakładzie. To sygnał, że społeczeństwo chce widzieć w literaturze alternatywną płaszczyznę opinii.

Korzystasz z rosyjskich grantów dla pisarzy?

– Nie. W Rosji państwo nie wspiera literatów i wydawców. To obszar czysto komercyjny, w przeciwieństwie do kina czy teatru.

■
*Nie słyszałem,
żeby nasza propaganda
w jakiś szczególny sposób
wyróżniała Polskę*

W naszym ustawodawstwie istnieje takie pojęcie – „inostrannyj agent” (ino-agent), a niebawem zmieni się definicja określająca, kto nim jest. Teraz, aby zostać „inoagentem”, wystarczy otrzymać dowolne pieniądze zza granicy. Znam przypadek, kiedy ktoś przekazał kwotę 5-10 euro i na tej podstawie osoba, która je przyjęła, została uznana za „inoagienta” i usunięta, np. z wyborów samorządowych. Według nowego prawa pieniądze nie będą potrzebne, ponieważ „zagranicznym agentem” będzie mógł zostać każdy, kto znajdzie się „pod obcym wpływem”. To bardzo niejasna definicja, ale stosując ją, można ograniczyć prawa każdego. Mnie można uznać za „inoagienta” już teraz, w końcu otrzymywałem honoraria za książki i artykuły wydawane za granicą. Jednak to wciąż bardzo wybiórcze narzędzie i dotyczy głównie dziennikarzy, choć zdarzają się i literaci, np. Dmitrij Bykow. Widziałem artykuł, w którym pisano „Dmitrij Bykow*”. Gwiazdka w rosyjskich mediach oznacza właśnie „inoagienta” i ma się pojawiać wraz każdym użyciem danego nazwiska. To jak żółta gwiazda Dawida w Trzeciej Rzeszy.

Dlaczego Rosja zaatakowała Ukrainę, suwerenny kraj?

– Bo to jest polityczna awantura Putina, a stało się to możliwe, bo znaczna część ludności podświadomie oczekiwała i pragnęła przywrócenia ZSRR.

Mój znajomy przekonuje, że nie warto rozmawiać z Rosjanami, więc poprosiłem go o kilka pytań. A zatem, czy czujesz się odpowiedzialny za tę wojnę?

– Oczywiście wstydę się przed Ukraincami, ale czy jestem gotów przyjąć koncepcję odpowiedzialności zbiorowej, nie wiem. Mam 39 lat, kiedy miałem 16, Putin został wybrany na prezydenta. Nie głosowałem na niego, uczestniczę w wiecach i protestach, wspierałem opozycję publicznie. Wśród moich przyjaciół są tacy, którzy zostali uwięzieni, zwolniono mnie z pracy – będzie mi trudno przekonać siebie, że odpowiadam osobiście.

A jak postrzegasz Ukraińców?

– Szanuję ich za to, że zbudowali tak silne i demokratyczne państwo, i za ich dzisiejszą odwagę. W moim środowisku nie ma ludzi, którzy uznaliby Ukrainę za kraj gorszy, a naród za niepełnowartościowy, jak można usłyszeć w rosyjskiej telewizji lub od rosyjskich polityków. Mam nadzieję, że Ukraina przetrwa, za to przyszłość Rosji jest niewiadoma. Stanie się pariasem pod butem Chińczyków? A może powstanie nowe państwo, które jakoś zostanie zrehabilitowane, lub kilka.

Czy Rosjanie wiedzą, że wielu Polaków ich nienawidzi?

– Znaczna część tych, których oglupia propaganda w telewizji, uważa, że cały świat jest przeciwko Rosji. Nie słyszałem jednak, żeby propaganda w jakiś szczególny sposób wyróżniała Polskę.

Wielu Polaków mówi, że to nie Putin napadł na Ukrainę, ale właśnie Rosjanie.

– Nie mogę oskarżać mojego narodu o to, że jest przestępcą. Chciałbym oprzeć się na tej jego części, która jest przeciw wojnie, a sama Rosja jest mentalnie podzielona

mniej więcej po połowie. Oczywiście głos tej połowy demokratycznej jest prawie niesłyszalny, bo poddana została represjom. Ci ludzie są tak uciskani, że muszą kłamać nawet w sondażach, z których pochodzą te fantastyczne liczby, jakoby 80 proc. Rosjan popierało operację wojskową.

W Polsce przecież też znaczna część społeczeństwa jest konserwatywna. Echa tego dochodzą i do nas, na przykład wasza dyskusja o aborcji. Pomyśl, co by się stało, gdyby Polska nie była częścią Europy i gdyby jakaś siła polityczna doszła do władzy i utrzymała ją przez 20-30 lat. Co by się stało, gdyby rząd celowo wzmacniał najgorsze cechy tej konserwatywnej części społeczeństwa, jej fobie. Gdyby pozwolił sobie na homofobię, antysemityzm itp., poddając demokratyczną część społeczeństwa represjom. Jesteś w stanie sobie wyobrazić, czym stałaby się Polska po 20-30 latach takiej polityki?

A artyści?

– Ci, którzy wyemigrowali – pisarze, muzycy, filmowcy – prawie wszyscy są przeciw wojnie, a przynajmniej jej nie popierają. O tych, którzy opowiadają się za wojną, zapewne zagraniczny czytelnik czy widz wie – od Nikity Michalkowa do Michajła Piotrowskiego, dyrektora Ermitażu.

Zespół Shortparis niby występuje przeciw wojnie, ale śpiewają o Rosji jak o wielkim kraju bez granic. Taka postawa konserwuje imperializm. Czy kultura rosyjska mogłaby funkcjonować bez wielkiej Rosji nawet jako antywzorca?

– Teraz w kulturze rosyjskiej, jej antywojennej części, toczy się wiele dyskusji na temat kolonializmu i imperializmu. Załączki myślenia imperialnego dostrzegane są zarówno u Aleksandra Puszkina, jak i u współczesnych pisarzy. Na przykład zmieniła się reputacja Josifa Brodskiego, choć 10 lat temu mało kto by pomyślał, że to możliwe. Jednak trudno mi się zgodzić, że cała kultura rosyjska została zatruta myśleniem imperialnym. Nie widzę tego w większości współczesnych książek, piosenek czy filmów.

A ludzie w metrze rozmawiają o wojnie czy jednak o bułkach i truskawkach?

– To zbyt sielankowy obraz: bułeczki, truskaweczki... Oczywiście w kuchni, przy garnkach wojna nazywana jest wojną i dyskutuje się o niej, przydając różne odcienie goryczy, od „Oni (Putin) wiedzą lepiej” do „Po co to wszystko?”. W domach Rosjan nie są na ogół dość krytyczni wobec władz, zawsze tak było, ale prawie nigdy nie wychodzi to na ulicę. O samej wojnie mówi się głównie jak o przyczynie pogorszenia się poziomu życia. Nie słyszałem, aby w codziennych dyskusjach omawiano np. zniszczenie Mariupola czy egzekucje w Buczy. ●

*Igor Sawieliew

• ma 39 lat, mieszka w Moskwie, jego książki są tłumaczone i nagradzane w Europie, ale w Polsce nieznane. Po agresji Rosji na Ukrainę zainicjował akcję „Miasto bez Z”, a wkrótce potem projekt pod hasztagiem #музейподарковпутину, czyli „muzeum prezentów dla Putina”, z okazji zbliżającej się siedemdziesiątki prezydenta (7 października). Ta druga nawiązuje do akcji organizowanej w 1948 roku na 70. urodziny Stalina. Wśród prezentów dla Putina znalazł się już m.in. model rządowej Czajki GAZ-13 w wersji długiej, przypominającej karawan i służącej do przewożenia decydentów do klinik.

Rumuński urzędnik uśmiecha się tajemniczo

Zasługa Putina: Ukraińcy i Rumuni zaczynają się w końcu rozumieć

*
Luft

Przez kilka miesięcy z Ukrainy napłynęło do Rumunii około miliona uchodźców. 20 razy więcej niż Polaków, którzy po 17 września 1939 szukali schronienia w ówczesnej Rumunii.

Polaków przyjęli wtedy Rumuni, rząd i społeczeństwo, z wielką serdecznością, bo Polskę i Rumunię łączył w latach 30. ścisły sojusz, a oba narody znały się i lubiły bardziej niż dziś. Teraz Rumuni przyjęli Ukraińców nie mniej przyjaźnie niż wtedy Polaków i z nie mniejszym zaangażowaniem, niż Ukraińców przyjęli dziś Polacy.

Uchodźcy znaleźli schronienie u wielu tysięcy rodzin, organizacje obywatelskie roztoczyły nad nimi opiekę, a rząd zapewnił warunki pobytu zbliżone do tych, które zapewnił im rząd polski. I choć większość z nich powędrowała do bardziej zachodnich krajów, przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy znalazło w Rumunii dom i pracę. Już 4 kwietnia prezydent Zelenski podziękował za to wszystko w przemówieniu online wygłoszonym przed rumuńskim parlamentem.

Przemówienie poprzedziły wystąpienia przewodniczących Senatu i Izby Deputowanych: Rumunia potępia stanowczo rosyjską agresję, oczekuje rozliczenia sprawców zbrodni wo-

gach delty Dunaju, w tym z ukraińskiego portu rzecznego Izmail.

Rząd rumuński uruchomił starą linię kolejową do Rumunii z moldawskiego portu dunajskiego Giurgiulești. W lipcu na drogach na rumuńskim wybrzeżu Morza Czarnego tworzyły się korki powodowane przez ciężarówki z ukraińskim zbożem zmierzające do rumuńskiego portu Konstanca.

Rumunia przekazała dotąd Ukrainie amunicję, kamizelki kuloodporne, paliwo i opatrunki o łącznej wartości zaledwie 3 mln euro. Co nieco ważniejsze – udziela pomocy w tranzycie broni amerykańskiej do Ukrainy.

Jaką jeszcze i jak dużą pomoc nieśie, trudno ustalić, bo Rumuni są powściągliwi w dzieleniu się informacjami. Pytany o to wysoki urzędnik rumuńskiego rządu uśmiechnął się tajemniczo i przeszedł na inny temat. Dodał tylko, że – jak dobrze wiem – Rumuni mają do Rosji duży dystans.

Dobrze wiem. Dystans Rumunów wobec słowiańskiego Wschodu ma długą tradycję. Już w połowie XIX wieku ojcowie założyciele powstającego wówczas państwa podkreślali zachodni, łaciński charakter rumuńskiego języka i kultury, kształtujących się od średniowiecza w gospodarstwach Mołdawii i Wołoszczyzny oraz w Siedmio-

munistyczne atakowali sporadycznie. Oczekiwali na III wojnę światową i nadejście Amerykanów. Owi mityczni Amerykanie stali się dla Rumunów symbolem wolności.

– Chwała Bogu, nasz rząd robi dziś to, co mu mówią Amerykanie – mówi bez ogródek mój przyjaciel Alex, urzędnik niskiego szczebla jednego z ministerstw. Alex uległ w ostatnich miesiącach „ukrainizacji”: – Przed 24 lutego myślałem, że jeśliby wybuchła wojna, to z Rumunii po prostu ucieknę. Ale dziś wiem, że jeśli tu przyjdą Rosjanie, to wyślę żonę do Stambułu, pod opiekę szwagra Turka, a sam pójdę na front.

Dzisiejsza postawa rządu i większości społeczeństwa podoba się mojemu przyjacielowi Gabrielowi, który w czasach Ceaușescu był więźniem politycznym. Jego zdaniem rumuńska klasa polityczna działa zdecydowanie na rzecz Ukrainy, a społeczeństwo nie daje się zwieść internetowej propagandzie antyukraińskiej, która tu i ówdzie się pojawia.

Nie jest jednak pewne, czy wszyscy Rumuni opierają się podszeptom internetu oraz swoich telewizji orędujących przede wszystkim „za pokojem” i wyczuwających – z nieomylnym instynktem – nastroje tej części społeczeństwa, która przede wszystkim boi

wią po prostu po rosyjsku. A niektórym przyjaciółom Ukraińcom tłumaczyłem, że Rumuni nie są spadkobiercami faszyzmu, jak im wtoczyła do głów propaganda sowiecka. Jeśli wreszcie dziś Ukraińcy i Rumuni odkrywają się nawzajem, to jest w tym paradoksalnie zasługa Putina.

Tymczasem Zelenski czyni przyjazne gesty. W końcu sierpnia Vasile Dîncu (rumuński minister obrony) i pani Adina Vălean (komisarz europejski ds. transportu) dostają od niego ukraińskie odznaczenia w grupie zachodnich urzędników i dziennikarzy uhonorowanych za wyjątkowe wspieranie Ukrainy. A wcześniej, 16 czerwca, przyjmuje prezydenta Rumunii Klausa Iohannisa, który przybywa do Kijowa obok prezydenta Francji, kanclerza Niemiec i premiera Włoch. W Warszawie dało się odczuć zdziwienie, dlaczego do tej nieco kontrowersyjnej europejskiej trójcy nie doproszono Polaka, tylko właśnie Rumuna.

Jednak to chyba nie przypadek. Waga geostrategiczna Rumunii rośnie, bo jest ona dla NATO zaskakująco wiarygodnym sojusznikiem z nie małym potencjałem w regionie Morza Czarnego. I nie tylko dla USA, ale i dla sojuszników europejskich, którzy okazują dziś Rumunii szczególną sympatię. Paryż wysłała spore oddziały wzmacniające stacjonujące tam siły NATO, a Rumunia negocjuje zakup francuskich okrętów.

Na rumuńskim wybrzeżu Morza Czarnego jest rozbudowywana od ponad 20 lat amerykańska baza lotnicza Mihail Kogălniceanu. Drugą budują Amerykanie w okolicy miasta Cămpia Turzii. Od kilku lat na południu Rumunii, w miejscowości Deveselu, pozostaje już w pełnej gotowości baza amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Jej drugi komponent, baza w polskim Redzikowie, wciąż jest w budowie.

A Mircea Geoană, były ambasador Rumunii w Waszyngtonie i były szef MSZ, jest od 2019 roku zastępcą sekretarza generalnego NATO. ●

Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)



***Bogumił Luft** – publicysta, ambasador RP w Rumunii w latach 1993-99. Autor książki „**Rumun goni za happy endem**”, wydawnictwo Czarne, Wołowiec, trzecie wydanie 2021.



• **Granica rumuńsko-ukraińska**
FOT. WIKIMEDIA
COMMONS

jennych i pełnej izolacji Rosji, wyraża podziw dla walki Ukraińców o suwerenność oraz o wspólne wartości: wolność, prawa człowieka i demokrację. Obiecuje Ukrainie pomoc we współpracy z partnerami z Unii i NATO oraz wspiera bez żadnych zastrzeżeń wszelkie sankcje wobec Kremla.

To zmasowanie radykalnej retoryki antyrosyjskiej było czymś wyjątkowym. Na co dzień rumuńscy politycy unikają eskalacji antyrosyjskiej narracji, choć Ukrainie pomagają. Wielu moich rozmówców w Bukareszcie twierdzi, że więcej robią, niż mówią.

Formą pomocy trudną do zaoferowania przez większość innych krajów ma się okazać udział w eksporcie ukraińskiego zboża, zablokowanym przez Rosję wokół ukraińskich portów na Morzu Czarnym. W końcu maja państwowe spółki transportu rzeczno-ukrainy, Rumunii i Republiki Mołdawii podpisały porozumienie przewożące radykalne ułatwienia w transporcie zboża drogą lądową i po odno-

godzie. Zaprzeczyli związkowi kulturowym, które ich łączyły ze wschodnią Słowiańszczyzną w poprzednich wiekach. Język rumuński porzucił cyrylicę i przyjął alfabet łaciński, a Rumuński Kościół Prawosławny odrzucił słowiański język liturgiczny.

W XX wieku na stosunku Rumunów do Rosji położył się cieniem spór o Besarabię (wschodnią część dawnego Gospodarstwa Mołdawskiego, dziś niepodległą Republikę Mołdawii), którą carska Rosja przejęła za zgodą Turcji w XIX wieku, a Rosja sowiecka znów zaanektowała w 1940 roku na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. A także fakt, że komunizm został przywieziony do Rumunii w latach 40. na sowieckich czołgach.

W latach 40., 50. i 60. rumuńscy „żołnierze wyklęci” – antykomunistyczni partyzanci – ukrywali się w Karpatach dzięki wsparciu góralskich wiosek. Na nikogo nie musieli napadać w celu rekwirowania żywności lub załatwiania etnicznych porachunków. Nawet lokalne władze ko-

BORN IN THE USA

Ach, żeby nasi chłopcy byli jak ich chłopcy

Kiedys hejtowali demokratów, że chodzą na pasku Rosji, teraz hejtują, że stawiają się Rosji.

Maciej Jarkowiec



Kilka miesięcy przed atakiem Rosji na Ukrainę hitem w prawicowych mediach w Stanach był klip zestawiający dwie reklamy: rosyjskich i amerykańskich sił zbrojnych.

Pierwszy film z pomocą dynamicznego montażu i dramatycznej muzyki w kilkadziesiąt sekund opowiada historię rekruta szkolonego do zabijania w obronie ojczyzny. Muskularny młodzian o napiętej twarzy zrywa się z pryczy. Jego głowa zostaje ogolona. „To pierwszy dzień twojego nowego życia” – słowa lektora strzelają jak karabin. W ostatnim kadrze żołnierz oddaje śmiertelny strzał do wroga.

Drugi film jest animowany. W pastelowych kolorach maluje rzewną historię dziewczynki wychowanej przez dwie mamy, która „chodziła na marsze w obronie równości”, a gdy dorosła, znalazła powołanie: wstąpiła do marines.

Klip jest znakiem czasów: amerykańskie wojsko otwiera się na mniejszości. Joe Biden kilka dni po inauguracji podpisał dekret znoszący wszelkie ograniczenia dla służby osób trans w siłach zbrojnych.

– Mamy przerąbane – podsumował Dave Rubin, popularny publicysta prawicy (prawie 400 mln odsłonek jego monologów na YouTube). – Nie przeszkadza mi ta dziewczyna, jej matki lesbijki i marsze, ale gdy rzucisz armię dziewczetek z East Village [hipsterska dzielnica Nowego Jorku] przeciw chłopakom Putina, to kto wygra? Kto w tych filmach pokazuje, że serio podchodzi do obronności?

Republikański senator Ted Cruz lamentował, że inkluzywność osłabia i ośmiesza armię. Gwiazdor Fox News Tucker Carlson porównał Pentagon do wydziału antropologii na uniwersytecie (ponoć antropologowie są Niemcy).

Kulturowa niezłomność Putina, który żelazną ręką zgina wszelkie załączki zachodniej obyczajowej zgnilizny, od lat przysparza mu w Stanach miłośników. Ta fascynacja nabiera nowego kontekstu w czasach wojny. W pierwszych dniach inwazji Trump nazywa Putina geniuszem. Przed tygodniem doroczny, wpływowy kongres konserwatywnych polityków i działaczy z całego kraju (Conservative Political Action Conference) wypuszcza tweeta, w którym wzywa Demokratów do zaprzestania wysyłania „darów” dla Ukrainy i mówi o tajemniczych „terytoriach okupowanych przez Ukrainę”. Po kilku godzinach wpis – okraszony rosyjską chorągiewką – zostaje usunięty.

Jednocześnie toczy się debata, jak reagować na nuklearne groźby Moskwy. Trump swój pomysł zgłosił już kilka miesięcy temu: wysłać nad Rosję amerykańskie myśliwce oznakowane chińskimi flagami. Rosjanie z Chińczykami się pozabijają. Ameryka zatrumfuje. W kręgach pozostających w bliższym kontakcie z rzeczywistością pomysły są nudniejsze i ciągle takie same: więcej sankcji i więcej broni dla Ukrainy. Biden powtarza, że USA obronią każdy centymetr terytorium NATO. Jego doradca Jake Sullivan ostrzega: w przypadku użycia przeciw Ukrainie taktycznej broni jądrowej odpowiedź USA będzie dla Rosji „katastrofalna”. Punkt widzenia wierszuchki Pentagonu wyraża były dowódca wojsk sojuszników w Iraku generał David Petraeus: promieniowanie radioaktywne, które dotrze do państw NATO graniczących z Ukrainą, uruchomi artykuł piąty Sojuszu zobowiązujący aliantów do reakcji

militarnej. Armia rosyjska zostanie rozbita w drobny mak.

Trzeźwiące spojrzenie zaproponowała Fiona Hill, ekspertka od Rosji, była dyrektorka ds. Europy w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Według niej III wojna światowa już trwa i nie ma się co oszukiwać, że jest inaczej. Takie postawienie sprawy prowokuje do rewizji dotychczasowej polityki administracji.

Oficjalnie Biden dąży do dwóch celów: za wszelką cenę obronić Ukrainę i za wszelką cenę nie doprowadzić do otwartej konfrontacji Ameryki z Rosją. Hill nie jest jedyną, która twierdzi, że to priorytety wzajemnie się wykluczające. Nie da się uniknąć doprowadzenia do czegoś, w czym już się uczestniczy. W takim kontekście tym ciekawsze stają się tweety Radosława Sikorskiego. Były szef MSZ twierdzi, że to Amerykanie wysadzili rury z rosyjskim gazem pod Bałtykiem. Taki pogląd łączy go z trumpistowską prawicą w Stanach – ona też bałtycki sabotaż zvaliła na amerykańskie służby.

Różne są jednak wnioski. Sikorski sugeruje, że Biden słusznie działa bardziej zdecydowanie, niż przedstawiają to oficjalne komunikaty. Trumpiści, pod rękę ze skrajną lewicą, uważają, że Biały Dom jest winien eskalacji.

Trump i spółka cierpią na schizofrenię: z jednej strony amerykańska armia ma być męska jak z rosyjskiej reklamówki, a z drugiej ułożyć się potulnie ze zbrodniarzem. Opowieść o „chłopakach Putina”, którzy rozniosą „dziewuszki z East Village”, rozsypuje się, gdy ukraińska armia – z wydatną pomocą amerykańskiej technologii, wywiadu i szkolenia – przełamuje kolejne pozycje równo ogolonych, lecz intelektualnie zapóźnionych wojsk rosyjskich. Do symbolicznego urasta mało znany fakt, że w szeregach ukraińskich oficjalnie walczą osoby LGBT. Nie ukrywają się – na mundurach pod flagą Ukrainy noszą naszywki z jednorożcem.

Prawicy pozostaje więc często stosowana przez nią taktyka: kreowanie alternatywnej rzeczywistości. Kilka tygodni temu, kiedy ukraińska kontrofensywa odnosiła sukcesy, Tucker Carlson zapewniał miliony widzów, że Putin wygrywa, a kto twierdzi inaczej, jest idiotą. Nie pierwszy raz został jednym z głównych bohaterów serwisów informacyjnych w Rosji.

Jednak prorosyjski sentyment nie ogranicza się do populistów i oszołomów. Podzielają go tak wpływowi lobbyści jak Henry Kissinger czy – ostatnio – technologiczno-popkulturowa instytucja, jaką mieni się Elon Musk. Republikańska kongreswoman Marjorie Taylor Greene mówi: – Przecież Zelenski nie kieruje naszym rządem, nie jest naszym prezydentem. Dlaczego Biden we wszystkim mu ustępuje? Amerykanów ta wojna nie obchodzi.

Zła wiadomość jest taka, że tym razem słynąca z zamilowania do teorii spiskowych Greene nie rozmija się z faktami. Według sondaży „pokój” kosztem oddania najeźdźcy części ukraińskiego terytorium popiera większość Amerykanów. Zmęczenie społeczeństwa tematem Ukrainy prędzej czy później wpłynie na polityczne i wojskowe decyzje USA. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”,

Maciej Jarkowiec, Agora, 2021



Niemcy postawią Franciszka pod ścianą

Czytając o tym, co się dzieje w niemieckim episkopacie, z depresyjnym niemal smutkiem patrzę na nasz polski episkopat.

Magdalena Czyż

No, no... i pomyśleć, że biskupi pokłócili się o d...y, znaczy się o kobiety! Za zachodnią miedzą mamy awanturę jak ta lala, ku mojej i mojej, że wielu innych kobiet uciesze. Podczas plenarnej sesji niemieckiego episkopatu odbywającej się w Fuldzie bp Georg Bätzing stwierdził: „Jesteśmy zgodni co do tego, że panuje wśród nas niezgoda. I to nie jest niestosowne”, bowiem zdaniem przewodniczącego niemieckiego episkopatu „biskupi odzwierciedlają społeczeństwo, w którym także nie wszyscy ze wszystkim się zgadzają”.

Tomasz Kycia w serwisie Vatican News donosi, że bp Bätzing, nawiązując do ostatniego posiedzenia drogi synodalnej, powiedział, że „nikt nie spodziewa się, że w ciągu najbliższych pięciu lat kobiety zostaną księżmi. Ale podajemy dobre argumenty teologiczne za taką opcją i chcemy je wnieść do Kościoła powszechnego”.

Do tych dobrych argumentów teologicznych odniósł się kard. Kurt Koch, przewodniczący Dykasterii ds. Popierania Jedności Chrześcijan: „Drażni mnie, że oprócz źródeł objawień z Pisma Świętego i tradycji przyjmowane są nowe źródła; i jestem zszokowany, że dzieje się to – znowu – w Niemczech. Ponieważ to zjawisko miało już miejsce podczas dyktatury narodowosocjalistycznej, gdy tak zwani „niemieccy chrześcijanie” zobaczyli nowe, Boże objawienie we krwi, ziemi i postępie Hitlera”.

No i się zaczął! Za porównanie niemieckiej drogi synodalnej do chrześcijan Trzeciej Rzeszy bp Bätzing zażądał od kard. Kocha przeprosin i zaszantażował go, że jeśli te nie padną, wystosuje oficjalne zażalenie do papieża. Jak komentuje Kycia: „Wszystko wskazuje na to, że biskupi chcą poczekać do najbliższej wizyty ad limina. Zdaniem bp. Bätzinga papież Franciszek powinien bezpośrednio usłyszeć o treściach drogi synodalnej, bo „wyobrażenie papieża o drodze synodalnej nie pokrywa się z tym, czym faktycznie ona jest”. Przewodniczący niemieckiego episkopatu przyznał też, że sprawozdawcami przygotowującymi to spotkanie z papieżem są zarówno liberalni, jak i konserwatywni biskupi, którzy „mają pełne prawo przedstawiać własny punkt widzenia”.

W moich uszach brzmi to wszystko z jednej strony szalenie podniecająco, a z drugiej strony wprowadza w melancholijny nastrój. Bowiem czytając o tym, co się dzieje w niemieckim episkopacie, z depresyjnym niemal smutkiem patrzę na nasz polski episkopat. Wielu polskich katolików i katoliczek wiele by dało, żeby być świadkiem jakichkolwiek żywszych debat czy choćby dyskusji, o otwartych sporach już nie wspominając, przy skwerze Wyszyńskiego. A tu nic. Cisza jak w kostnicy. (Skojarzenie nieprzypadkowe). I na zmartwychwstanie tych naszych rodzimych zombi raczej nie ma co liczyć.

Wizyta ad limina niemieckiego episkopatu ma się odbyć już w listopadzie i wygląda na to, że Franciszka, w sumie Bogu ducha winnego, Niemcy postawią pod ścianą. Będzie musiał się określić, a to będzie miało bardzo poważne konsekwencje dla całego Kościoła, bo postulat niemieckiej drogi synodalnej to nie tylko kapłaństwo kobiet, ale również błogosławieństwa par jedнопłciowych, wpływ świeckich na wybór biskupów czy problem celibatu. Zatem akcja się zagęszcza, a my czekamy na następny odcinek do listopada. ●

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik
WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



LIBERAŁ MUSI UMIEĆ SIĘ BIĆ

Musimy znaleźć sposób, żeby pogodzić rozwój z ochroną klimatu

Paweł Rutkiewicz

Błażej Lenkowski, dyrektor Igrzysk Wolności i prezes zarządu Fundacji Liberté!, kładzie na stole cukier do herbaty. Żartuje, że na to starcza, ale tegoroczne Igrzyska zapowiadają się jako najbardziej karkołomne w historii. Na rekordową liczbę ponad 400 prelegentów nakładają się rosnące ceny prądu i żywności. Pomagają sponsorzy. W tym roku m.in. do Google, Amazona, FWG, Ikei, Orange, Incredibles, Velux czy Golem po raz pierwszy dołączył Facebook/Meta.

Rozmawiamy w 6. Dzielnicy. To klub, który w kamienicy przy ul. Piotrkowskiej prowadzi z Leszkiem Jażdżewskim – redaktorem naczelnym czasopisma „Liberté!” i drugim organizatorem Igrzysk.

– Kiedy skończyła się zeszłoroczna edycja [temat: „Nowa umowa społeczna”], stwierdziliśmy, że następne Igrzyska chcemy zrobić „zielone”. Zamierzaliśmy rozmawiać o zmianach klimatu, transformacji energetycznej, ekologii i lasach, lecz kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, było dla nas jasne, że „zielony” temat trzeba połączyć z wątkiem geopolitycznym – mówi Lenkowski.

NIEPODLEGŁOŚĆ JEST EKO

Jażdżewski łączył się ze mną on-line z Oxfordu, gdzie studiuje. Zapytałem go, czy „zielona niepodległość” oznacza, że ekologia i inwestycje w odnawialne źródła energii stały się kwestią politycznej suwerenności. I jaka to suwerenność – na poziomie państwa narodowego czy europejskiej wspólnoty?

– Słowo „niepodległość” jest bardzo dobrym słowem. Ja bym się nie odżegnywał od wspólnoty narodowej i od myślenia o narodowej suwerenności, bo widzimy, jak bardzo ograniczoną suwerenność mają w tym momencie Niemcy. Jak bardzo uzależnienie od rosyjskiego gazu zawęża im pole gry. I tutaj trzeba pochwalić naszą klasę polityczną, że i Piotr Naimski, i ekipa Platformy twardo walczyli choćby o gazoport w Świnoujściu. „Zielona niepodległość” to jest w jakimś sensie nasza przyszłość. Państwo polskie dzisiaj nie jest w stanie przetrwać we wspólnocie europejskiej bez zielonej energii. Po prostu nie będziemy konkurencyjni i będziemy płacić gigantyczne kary – odpowiedział Jażdżewski.

Zza ściany dał się słyszeć płacz mojej półrocznej córki, kiedy Jażdżewski mówił o swoim sześciolletnim synu, któremu chciałby pokazywać rzeki i lasy. Również Lenkowski mówi o swojej kilkuletniej córce. O zieleni, którą chciałby, żeby widziała w miastach, i powietrzu bez smogu. Mówi też o problemach, jakie zmiany klimatyczne mogą wywołać w niedalekiej przyszłości, m.in. za sprawą migracji z najsilniej dotkniętych nimi krajów tzw. globalnego Południa.

– Ale straszenie katastrofą ekologiczną jest przeciwskuteczne, bo wywołuje raczej panikę i bezradność. Nie możemy powiedzieć: „Teraz jest wam ciężko, będzie jeszcze ciężiej, musicie płacić trzy razy więcej za wszystko. Macie zakaz jedzenia mięsa, zakaz latania samolotem”. Musimy znaleźć jakiś sposób – i to nie jest tylko kwestia polska – żeby pogodzić rozwój z ochroną klimatu – stwierdził Jażdżewski. – Nie może być tak, że Europejczycy przyjdą teraz do mieszkańców Azji Południowo-Wschodniej i powiedzą, że np. ludzie w Bangladeszu mają zatrzymać się na tym poziomie życia, na którym są, bo my za bardzo nagrzaliśmy planetę.

ZIELONI KONTRA ATOM

Na czym polegać ma jednak wyzwanie „na miarę roku ’89”, przed którym – zdaniem organizatorów Igrzysk Wolności – stoi teraz Polska? Z jednej strony, ich zdaniem, problemem jest przestarzała polska infrastruktura ener-



FOT. MAŁGORZATA KUJAWKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

IGRZYSKA WOLNOŚCI WRACAJĄ!

Mamy przyjemność ogłosić, że forum odbędzie się już w dniach 14–16 października, a towarzyszącym tegorocznej edycji hasłem będzie **„Zielona niepodległość”!**

Wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. dr Jane Goodall, Etgar Keret, Martyna Wojciechowska, Janina Ochojska, Adam Michnik, Krystyna Kurczab-Redlich, Karolina Korwin Piotrowska, Joanna Ostrowska, Karol Radziszewski, Mariusz Szczygieł, Magda Motek, Mark Lilla, Johan Norberg, Anna Dziewit-Meller, John Keane, Witold Szabłowski i inni.

Bilety na wydarzenie dostępne na stronie: **sklep.liberte.pl/bilety/**

Atak Rosji na Ukrainę sprawił, że europejskie poczucie względnego bezpieczeństwa dobiegło końca. Geopolityka wróciła z całą swoją brutalnością. Wojna to alarm dla całego wolnego świata, który musi być gotowy militarnie bronić swoich wolności oraz wartości. To również ostatni dzwonek dla zielonej transformacji, która uniezależni państwa demokratyczne od dostaw surowców energetycznych z krajów autorytarnych. Dziś zielona transformacja to „zielona niepodległość”, a nasze cele klimatyczne i ekologiczne są tożsame z geopolitycznymi jak nigdy wcześniej. W jaki sposób przebyć w przyspieszony sposób drogę do „zielonej niepodległości”? Na to pytanie spróbujemy odpowiedzieć podczas Igrzysk Wolności 2022.

Igrzyska Wolności to dyskusja o najważniejszych wyzwaniach, przed jakimi stoją społeczeństwa Zachodu w XXI wieku.



getyczna, a z drugiej, konieczność wypracowania nowego miksu energetycznego: OZE plus atom. Uważają, że paradoksem jest deklaratywna chęć budowy elektrowni atomowej ze strony PiS (a wcześniej PO) przy jednoczesnym braku konkretnych działań w tym kierunku. Zgoda co do potrzeby elektrowni atomowej w Polsce panować ma również wśród partii opozycyjnych – z wyjątkiem Zielonych.

Czy negatywny stosunek do atomu może być jedną z przyczyn, dla których Zieloni pozostają w Polsce partią planktonową – pomimo że tematy ekologiczne stają się coraz ważniejsze w tzw. debacie publicznej? A jeśli nie to jest powodem, to co?

Jażdżewski: – Nie rozumiem ludzi, którzy mają „zielone” poglądy i są przeciwni energii atomowej. Istotny jest natomiast argument ekonomiczny. Trzeba zważyć, czy nas na to stać, a jeśli nie, to czy nie ma do wyboru jakiegos innego ekologicznego miksu. Tak naprawdę jakikolwiek rząd, który rozpocznie budowę elektrowni atomowej w Polsce, musi mieć świadomość, że buduje ją dopiero dla następnego rządu.

NIE MARNOWAĆ WOLNOŚCI

Igrzyska Wolności są areną idei. Okazją do ścierania się antagonistycznych poglądów. Zdaniem organizatorów liberalizm nie oznacza jednak, że z dialektycznego starcia nie powinny wynikać konkluzje. Zdaniem Lenkowskiego i Jażdżewskiego obowiązkiem liberała patrioty jest wybrać pogląd zwycięski. Dlatego – jak podkreśla Jażdżewski – „liberał powinien umieć się bić”. Nie w sensie dosłownym, ale zabierając głos w imieniu swoim i wspólnoty – lokalnej, narodowej, europejskiej. – Żyć w kraju, który w przeszłości był zniewolony, a od ponad trzydziestu lat jest wolny, to niesamowita przygoda. Moim zdaniem nie wolno jej zmarnować – mówił Jażdżewski.

W roku 2012 – dwa lata przed pierwszymi Igrzyskami Wolności – Jażdżewski stał się w Łodzi z narodowcami, gdy w pojedynkę stanął na drodze ich pochodu w rocznicę zabójstwa Gabriela Narutowicza z transparentem „16 XII 1922: Zachęta – Pamiętamy”.

– W sytuacji, w jakiej znalazła się Europa, w tym Polska, niezwykle jest, że to, co „zielone”, łączy lewicę i prawicę. Lewicę, bo tradycyjnie jest bardziej ukierunkowana klimatycznie, a prawicę, ponieważ to ona najczęściej odwołuje się do idei suwerenności – dodaje Lenkowski. ●



ZBUNTUJJCIE SIĘ TAK NA SERIO

Zamieniliśmy konflikt klasowy w wojnę pokoleń

Z **JACKIEM ŻAKOWSKIM***
ROZMAWIA **EWA KALETA**

– Wie pani, popękaliśmy jako społeczeństwo.

Brzmi efektownie, ale co to znaczy?

– Jeden z najważniejszych podziałów – choć w do-
rażnej polityce przykryty przez polaryzację na „Pol-
skę liberalną” i „Polskę pisowską” – to ten na pokole-
nia transformacyjne i potransformacyjne. Jeśli wy-
ewoluuje w złą stronę, może spowodować, że część
młodszej generacji uzna, że to nie jest jej kraj, i wyje-
dzie. Albo wycofa się z udziału w życiu publicznym,
np. z głosowania. I tak jest z tym problem.

**Może ta młodsza generacja nie ma swojego re-
prezentanta?**

– Gdyby tak uważała, toby nie było źle, bo może
by sobie wymyśliła własną reprezentację. Boję się
głębszego odrzucenia – „dziadersom, boomerom
i wszystkim po trzydziestce dziękujemy”. Wybory
pokażą, czy np. partia Razem jest już dla tej grupy
partią starych ludzi.

Ale to nie jest tylko polski problem. Mówimy
o generacji, która raczej się skrzykuje, niż organizu-
je. Nie narzekam. Przyjmuję to do wiadomości.

A inne różnice między generacjami?

– Pierwszą jest silna świadomość odrębności. My
zwykle chcieliśmy „być jak...”. Dzieci III RP raczej
chcą „nie być jak...”.

Druga to traktowanie kategorii generacyjnych ja-
ko kluczowej różnicy. Hasło „dziaders” oddaje wiarę,
że kluczem podziałów jest metryka. To nie jest ewe-
nement. Pokolenie ‘68 roku też tak sądziło. Ale za
buntem ‘68 stało marzenie o innym społeczeństwie.
Che, wolna miłość, pacyfizm, komuny i inne równo-
ściowe wspólnoty. Teraz jest bunt typu „socjalizm
tak – wypaczenia nie”. Czyli żeby było w zasadzie,
jak jest, ale lepiej.

Bunt bez projektu koncentruje się na tym, kogo
wymienić, a nie na tym, co zmienić. Przerabialiśmy
to w PRL: „Gomułka musi odejść”. To dawało chwi-
lową ulgę, ale nie zmieniało systemu. Teraz jest po-
dobnie. Wszystkie partie już w Polsce rządzą poza
Razem, a problemy ciągle są podobne. Praca wciąż
jest mniej czy bardziej śmieciowa – teraz trochę
mniej. Aborcja wciąż jest nielegalna – teraz trochę
bardziej. Mniejszości i kobiety są dyskryminowane,
relacje z szefami są przeważnie folwarczne i od cza-
su do czasu wywołują bunt.

**Ale to wszystko z pańskiej wyliczanki, co zastygło
i się nie zmienia, to są właśnie postulaty młode-
go pokolenia.**

– Tylko czy te postulaty nie spalają się w gównobur-
zach rozpętywanych przez niewielką grupę osób
głęboko zanurzonych w społecznościach twittero-
wych, gdzie wszystko jest radykalne? Bo na Twit-
terze można wygłosić dowolny sąd, nie trzeba go
uzasadniać i nawet nie ma miejsca. Można się obu-
rzyć i na tym poprzestać.

**Prawdopodobnie internet to jedyne narzędzie,
które pozwala coś powiedzieć ludziom takim jak
pan. Dzięki gównoburzy w twitterowym bąblu
staje się pan osiągalny.**

– Nie używam Twittera, ale jestem osiągalny, jak
każdy. Na ulicy, pod redakcyjnymi mailami. Nie mia-
ła pani kłopotu, żeby mnie osiągnąć.

A mówiąc o gównoburzy w twitterowym bąblu,
nie bagatelizuję jej. Jest ważna, bo biorą w niej
udział osoby, którym na czymś zależy. Lepsze to
niż milczenie.

**Na dobrą sprawę ta gównoburza, niezależnie od
bieżącego wątku, obraca się wokół konstatacji,
żeście – w sensie polityczne, dziennikarskie, eko-
nomiczne autorytety – źle nam świat urządziły.
Mobbingujecie, płacicie mało i jeszcze poucza-
cie.**

– To wiadomo od lat. Nieraz pisałem w „Wyborczej”
i „Polityce” o okropnych boomerach. Nieraz mó-
wiłem, że jest to najgorsze pokolenie na przestrze-
ni stuleci. Pierwsze, które przeżarło dziedzictwo po-
przednich pokoleń, a potem ogryzło młodszych. Nie
tylko w Polsce. Dokonaliśmy skoku jakości życia, ale
w ogromnej mierze kosztem zasobów gromadzo-
nych przez pokolenia i kosztem kolejnych pokoleń,
czyli gigantycznego długu – ekologicznego, demo-
graficznego, finansowego, kulturowego.

Skąd się wzięła ta zachłanność w pana pokoleniu?

– Najlepszą odpowiedź daje Daniel Bell w „Kulturo-
wych sprzecznościach kapitalizmu”. To pokolenie,
które dopełniło trwający od początku modernizmu
proces wymiany etyki obowiązkowej, czyli użyteczno-
ści, na etykę samorealizacji. Jako narzędzie samore-
alizacji i jej wyraz boomerzy wybrali konsumpcję.
Połączenie tych dwóch elementów uczyniło z kon-
sumpcji – już nie z zasług wobec innych – jądro, cel,
sens życia dużej części tego i paru następnych po-
koleń.

W odróżnieniu od pokoleń poprzednich zaczęli-
śmy się definiować poprzez style konsumpcji, a nie
przez role społeczne. Konsumpcja stała się środ-
kiem twórczej ekspresji, przynajmniej wśród wiel-
komijskich boomerów, tak jak malowanie by-
ło środkiem ekspresji modernistów z Montmar-
tre’u. Samorealizującą konsumpcją stało się wszyst-
ko – spędzanie wolnego czasu, dobra materialne, re-
lacje z ludźmi. To jest kulturowy wir, który w spira-
lę długów wciągnął całe pokolenie Zachodu, a więc
także Polski.

Ale nie uleglibyśmy tak szybko po ‘89, gdyby na-
sze indywidualne skłonności nie napędzały się wza-
jemnie z nastrojami władzy i z poglądami intelek-
tualistów takich jak Fukuyama, którzy założyli, że
ludzką agresywną naturę można okiełznać metodą
merkantylną. Czyli że lepiej, by ludzie zamiast mie-
czami walczyli kartami kredytowymi. Bo uwikła-



ni w konsumpcję, materialne pragnienia, kredyty nie pozwalamy sobie na radykalny sprzeciw. Relacje międzynarodowe też miały się spacyfikować dzięki współzależności – głównie handlu i kooperacji.

W Polsce to pokolenie miało podobne objawy co na Zachodzie, ale wyrosło raczej z braku. Z apetytu, z powojennych historii o degradującej biedzie.

– Nasi rodzice to było pokolenie wojenne. Mieli straszne dzieciństwo. Dostarczenie nam konsumpcji było ich ambicją. Ale należeli do etyki użyteczności. Jeszcze emeryturkami chcieli się dzielić z dorosłymi dziećmi. A my uwierzyliśmy, że wszystko się nam należy. Od kiedy boomerzy stali się dorośli, poziom długu prywatnego i publicznego wystrzelił bezprecedensowo, jak na okres pokoju.

A pan? Też konsumował za cudze?

– Dom na kredyt, samochód na kredyt. Cała Polska jest na kredyt. Cały Zachód jest na kredyt. Jak już państwa się nie mogą zadłużać, to się zadłuża Unia Europejska. Całe życie mojej generacji jest na kredyt. Bardzo dużo zrobiliśmy, mamy ogromne osiągnięcia, ale skonsumowane powyżej wartości.

Z drugiej strony, kiedy już tak się biję w swoje i cudze piersi, myślę sobie: kurczę, to jednak jest pokolenie, które obaliło komunizm, dało ludziom wolność. Tylko że wiele osób usprawiedliwia swoje uprzywilejowanie w kategoriach mniemanej użyteczności, podczas gdy zasługi były raczej zbiorowe, natomiast przywileje dzielono indywidualnie.

Ale jednak była pewna grupa, środowisko, jeśli nie towarzyskie, to generacyjne, które zbiorowo podjęło decyzję o tym, jak my teraz żyjemy. Wie pan, jak żyją młodzi dziennikarze? Piszą po pięć tekstów dziennie, wynajmując mały pokój. Oczywiście nie każdy ma zdolności, nie każdy by się przebił nawet w sprzyjających okolicznościach. Ale obiecywano im, że będą tacy jak wy.
– Mamy się licytować na cierpienia?

Tak.

– To proszę. Jak w 1986 miała się urodzić moja córka, pojechałem do Anglii pracować na budowie, żeby kupić mebelki i utrzymać rodzinę, kiedy żona nie będzie pracowała. I żeby sfinansować pisanie czwartej książki, która miała być doktoratem.

Nie mówię, że tak powinno być. Ale z drugiej strony nie ma nic dziwnego w tym, że jest ciężko. Czasami niektórym idzie lekko, bo los i ludzie sprzyjają. Ale jak ktoś ma aspiracje, chce robić coś wartościowego i nie chce się świnii, to zwykle jest ciężko.

Jednak to wy strzeżecie kapitału. Moglibyście zrobić coś, żeby nam było łatwiej. Powojenne pokolenie chciało dla was lepszego życia, wy moglibyście chcieć go dla nas.

– Ja się z tym zgadzam tym łatwiej, że żadnego kapitału nie strzegę. Ale jest w tym też rola przypadku. Moja generacja trafiła na wielką transformację i ci, którzy wygrali, dostali wielką premię. Jak konkwistadorzy. System polegał na tym, że zakładało się coś, czego wcześniej nie było – na przykład „Wyborczą” – i odkrywało się kopalnię złota. Ale potem to coś powszedniało, pojawiała się konkurencja, normalny rynek i zatykało się.

Skonsumowaliście potencjał, który stworzyliście.

– Część z nas skonsumowała. A spora część przebie-dowała, marząc o konsumpcji.

Kluczowe pytanie brzmi, co poszło źle i w którym momencie. Już w 1994 napisałem tekst „Coś w Polsce pękło”.

A potem do tych słusznych, nie tylko moich, diagnoz przełom tysiącleci dołożył globalną rywalizację cierpień i wyścig ofiar. Zaczęło się dociekanie, kto jest większą ofiarą i z czyjej winy – postniewolnicza społeczność Ameryki czy Żydzi? Polacy czy Irlandczycy? Kobiety czy ludzie z PGR-ów? To są niekończące się rywalizacje ofiar, które się przenoszą na relacje młodzi – starzy. Młodzież opowiada, że straszne są te śmieciówki. Zgadza się, są straszne. A starsze pokolenie odpowiada – my cierpieliśmy pod jarzmem komunistycznym. Też prawda. Młodzież mówi – przejedliśmy i zatruliście nam świat. To prawda. A starsze odpowiada – dzięki temu żyjecie na poziomie, na jakim nie żyło żadne wcześniejsze pokolenie. To również jest prawda.

Ja nie licytuję się z panem, żeby moje było górą, tylko żebyśmy mogli siebie usłyszeć i lepiej zrozumieć.

– To miłe. Ale czy wiara, że się możemy zrozumieć, nie jest naiwna i pyszna? Może wystarczy, żebyśmy się lubili i szanowali? Skoro nie jestem pewien, czy rozumiem sam siebie, to jak mogę przypuszczać, że rozumiem panią?

Jeśli polskie pokolenie boomerów czymś różni się od zachodniego, to tym, że nasze jest bardziej egoistyczne. Polska jest krajem, w którym człowiek z klasy średniej bez skrępowania pyta, po co ma płacić podatki na służbę zdrowia, z której nie korzysta, bo leczy się prywatnie. To nie jest specyfika naszego pokolenia. I Rzeczpospolita upadła, bo szlachta nie chciała płacić podatków. Powstania padały, bo szlachta dręczyła chłopów, więc chłopci woleli dalekiego cara od własnego pana. Wartości demokratyczne, socjaldemokratyczne, socjalistyczne są w Polsce tak słabe i ludzie są tak beznadziejnie sa-

motni w zderzeniu z instytucjami, bo to jest kraj samolubów.

Z tego samego powodu, z egoizmu, nasze pokolenie Polaków bardziej niż w innych krajach do kości ogryzło młodsze pokolenie. I dlatego tam boomerzy zwykle przynajmniej deklarują, że rozumieją, że coś trzeba naprawić. A u nas raczej idą w zaparte.

W którym momencie u nas ta walka o wolność zamieniła się w konsumpcję?

– Od wczesnych lat 90. mamy permanentną rewoltę przeciw uprzywilejowanym i kombinowanie, jak by ją powstrzymać. Zaczął Wałęsa, po nim przyszedł Lepper, potem PiS i PO. PO dziś wydaje się partią tłustych kotów, ale 15 lat temu to były głodne wilki – zdewastowały Warszawę i Krakówkę. Ta główna burza w twitterowym bąblu to nie jest pierwsza próba zakwestionowania dorobku i dokonania zmiany generacyjnej. Były bez porównania potężniejsze fale. Chociażby lustracja, która miała ujawnić powszechną nieprawość elit pokolenia transformacyjnego. Okazało się, że to nie układ, o którym opowiadał Kaczyński, jest źródłem problemów. Ale entuzjazm sporej części młodego pokolenia wobec odkrywania mniemanej strasznej prawdy lustracyjnej przypominał to, co dzieje się teraz.

Wtedy to szło na prawo, nie na lewo, ale mechanizm jest ten sam: mamy problem zablokowanego dostępu i próbę odblokowania go przez tych, którzy się czują pokrzywdzeni. Tylko że rewolta, chociaż jest potrzeba, robiona na Twitterze nie będzie skuteczna. Bo w poetyce Twittera jest personalna, a nie systemowa.

Żyjemy w świecie „my” i „wy”.

– Samo myślenie w kategoriach „my” – „wy” jest pułapką. Są wśród „was” ludzie fajni i są świnie, są błyskotliwi analitycy i są idioci. Tak samo wśród starych, dziennikarzy, menedżerów libków i lewicy.

Dodatkowym problemem jest zmaterializowana kultura. Robiłem wywiad z Andrzejem Lepperem i go pokonałem, bo wiedziałem, ile kosztują jajka, a on nie, chociaż niby reprezentował rolników. Dlaczego to wiedziałem? Bo miałem trójkę dzieci, a nie umiałem klócić się z szefami o pieniądze, więc chodziłem od sklepu do sklepu, żeby kupować najtaniej.

Oczywiście nie powinno tak być, ale do głowy mi wtedy nie przyszło, żeby się na tym koncentrować. Nie uznawałem tego za objaw systemowego dramatu. Nie stać mnie, to szukam tańszego. Po zmianie ustrojowej nastąpiła zmiana kulturowa i sprawy materialne nabrały większego znaczenia. A starsze pokolenie nie do końca zauważyło, że wychowaliśmy nasze dzieci do nieporównanie większych oczekiwań. I stworzyliśmy warunki, w których trudno jest tym oczekiwaniom sprostać.

Trudno mieć pretensję, że chcemy mieć lepiej.

– Oczywiście. Ale szukamy objaśnień, a nie winnych. My się śmialiśmy z naszych rodziców, jak mówili, że mieli jedne buty i jedli zupę z brukwi. Bo od małego jedliśmy rosół albo pomidorową i mieliśmy po kilka par butów. Teraz dla dwudziestolatków nasze opowieści też są anegdotą z bujanego fotela.

To, że wychowaliście nas w dobrobycie, to jedno. A drugie, że obiecywaliście: uczcie się, a będziecie wszyscy żyli jak w „Magdzie M.”. A teraz nagle

zdroworozsądkowo mówicie, że trzeba jednak zaszłużyć i nigdy nie ma tak, że każdemu się uda.

– „Magdy M.” nie znam. Nie miałem czasu na seriale. Ale nie odpowiadam za wszystkie głupstwa projektu neoliberalnego. Indywidualna rentowność edukacji maleje z powszechnością. To chyba oczywiste, że jak 5 proc. społeczeństwa kończy studia, to indywidualna premia jest duża, a jak 50 proc. ma magisterium, to duża część będzie zarabiała tak sobie. Chociaż społecznie to się jednak opłaca. Ale rozumiem, że mówi pani raczej o napięciu klasowym, które kulturowo mamy nieoswojone. Jedni młodzi ludzie dostają od rodziców mieszkanie, więc im 2,5 tysiąca wystarczy na życie, a inni wynajmują i im 2,5 tysiąca nie starczy. To jest coś, z czym oswojone są społeczeństwa starego kapitalizmu, a nasze nie.

Dlaczego?

– To wymaga patentów kulturowych. Na przykład świadomości, jaką ma brytyjskie społeczeństwo, że ludzie – moim zdaniem niestety – dość trwale dzielą się na klasy. Nieraz mi się zdarzyło rozmawiać z brytyjskim intelektualistą, który doskonale sobie radził ekonomicznie, ale nawet nie myślał o standardzie klasy wyższej. Był z klasy pracującej i to podkreślał. Nawet gdy dostał tytuł szlachecki. To jest sznyt kulturowy. My swojego szukamy.

Odwołam się do własnego środowiska. Dla mnie dziennikarz jeżdżący audi Q6 albo dziennikarka w butach od Blahnika to jest podejrzana historia i na pewno to nie jest mój sznyt. Gwiazdy showbizu mogą grać książką, dziennikarz musi czuć i rozumieć, jak żyją jego odbiorcy. A trudno, jak się nie praktykuje. Na początku pierwszej dekady XX w. wielu dziennikarzy zarabiało ogromne pieniądze, powstawały dzienniki, tygodniki, telewizje. Premie, płacenie akcjami, oszałamiające kreacje na balu dziennikarzy, szokujące w sytuacji kilkunastoprocentowego bezrobocia. Brak patentów kulturowych.

Wy nas naprawdę zdradziliście. Dopiero to do mnie dotarło.

– Wolę, jak mówi pani do mnie w liczbie pojedynczej, bo nie czuję się królem ani tłumem. Przepraszam, że to powiem, ale czy wydaje się pani, że jacyś „Wy” byście się zachowali inaczej? Nie widzę, żeby kole-dzy, którzy się dorwali do zło-ba w mediach publicznych albo gwiazdują w prywatnych, mieli powściągliwość wynikającą z poczucia zobowiązań społecznych.

Potrafiłiście stworzyć media, za co bardzo was szanuję. Ale widzę, jak żyją media workerzy, którzy tworzą w internecie po osiem tekstów dziennie, piszą o dobrostanie, self care i równowadze, a żyją na śmieciówkach, pijąc najtańsze energetyki, żeby dotrzeć do piątku.

– Od 20 lat wygłaszam do studentów pierwszego roku dziennikarstwa mowę, że wybrali zawód, w którym albo jest fantastycznie, albo się cierpi całe zawodowe życie. To zawsze był taki zawód. Tylko nie było media workerów, ale „szarzy dziennikarzy”.

Muszę trochę uszkodzić mit wyjątkowo nieszczęśliwego młodego pokolenia. Ono jest wyjątkowo nieszczęśliwe w tym sensie, że nieprzyjazne warunki egzystencji zderzają się z aspiracjami, które zostały przez starszych wysoko zarysowane. Ale wybicie się z pulpy redakcyjnej zawsze było dramatycznym wyzwaniem, bo trzeba było jakoś zarabiać, by przeżyć, a coś swojego, ambitnego robić po godzinach, kiedy dzieci spały. Albo mieć łut szczęścia i ustrzelić temat katapultujący na wyższą orbitę.

Chce mi pan powiedzieć, że życie jest ciężkie?

– Jest cięższe, jeżeli jesteśmy nieprzygotowani na to, że jest ciężkie. Wtedy człowiek się frustruje. Zaczyna w sobie albo w systemie szukać winy, dlaczego mu nie idzie.

A przecież na ogół nie idzie. Albo nie idzie tak, jak się chce.

Na tym polega patent PiS. Oni dotarli do tych wszystkich, którzy czują, że życie jest ciężkie i że na ogół nie idzie. Powie-dzieli im: z nami wam będzie szło. Widzi pan, jak ludziom się odmieniło życie po 500+?

– To był super pomysł.

Ale nikt go wcześniej nie wprowadził. Albo pomysł Ziobry o szybkich alimentach. Ktoś wcześniej na to wpadł?

– To był odwieczny postulat lewicowych feministek. Rządy się nie godziły, bo w Polsce egoizm kulturowy skleił się z politycznym egoizmem neoliberalów. Neo, podkreślałam, nie liberałów.

Pan wierzy w liberalizm?

– Wierzę w wolność.

Jak my wszyscy. Nie znam nikogo, kto wierzy w niewolę.

– A o czym pisał Mickiewicz w bajce „Pies i wilk”? Wilków raczej ubywa. Z liberalizmem jest kłopot, bo chowają się za nim ludzie, którzy wolność rozumieją wybiórczo, jako swobodę gospodarczą. Balcero-wicz na przykład. Gdzie w myśleniu tego środowiska jest realna troska o wolność człowieka? Klóciliśmy się o to z Adamem Michnikiem w „Między Panem a Plebanem”. Co z tego, że jesteś formalnie wolny i wolno ci pojechać, gdzie chcesz, jeżeli siedzisz w Przemysłu i nie masz na bilet do Krakowa?

Ideologie są zwykle skażone przez ich reprezentantów. Liberalizm jest kompromitowany przez skrajnie egoistycznych neoliberalów. Socjaldemokracja przez Leszka Millera i Gerhar-

Na stawianie się nadal jesteśmy zbyt biednym społeczeństwem.

– W kontekście naszej historii i dzisiejszego świata jesteśmy bogatym społeczeństwem. Tu znowu się kłania egoizm. Nasza niby-wolnościowa kultura jest pełna hipokryzji, bo wpaja nam wymagający system wartości, nie wpajając symetrycznych cnót, o które upominał się Marcin Król. Wartością jest wolność, ale moja. Jak mogę kogoś zniewolić, bardzo chętnie to robię. Bo brakuje cnoty szacunku dla wolności innych. Na tym polega nieśmiertelny folwark.

Skoro sam wywołał pan Lisa... Właśnie trwa kolejny odcinek serialu o polskim folwarku, czyli jego sprawa. Obalono kolejny autorytet.

– Obalanie autorytetów bardzo mi się podoba, bo koncepcja ogólnego autorytetu jest infantylna i antywolnościowa. Albo panią moje argumenty przekonują, albo nie. Na własną odpowiedzialność mówię, co uważam, a pani na własną odpowiedzialność przyjmuje to lub nie. Decyzje trzeba podejmować samemu. Kiepsko jest przenosić odpowiedzialność na kogoś, a do tego służy autorytet. Chyba że chodzi o wiedzę naukową. Autorytet nauki to co innego.

A w sprawie Lisa pewnie się nie dogadamy, bo stoję na gruncie wolności, sprawiedliwości i równych szans. W debacie można stawiać dowolne zarzuty. To jest nasza wolność. Ale wieki zmagani o wolność nauczyły nas, że zarzuty trzeba udowodnić, nim się kogoś ukarze, a kara ma być proporcjonalna do winy. W sprawie Lisa padły poważne zarzuty postawione w jednostronnym, dość pałkarskim tekście, a dowodów w sferze publicznej nie ma. Są tylko plotki krążące wśród dziennikarzy. Miaja miesiące, a ofiarv. którvcz podobno by-



Gównoburza w twitterowym bąblu jest ważna, bo biorą w niej udział osoby, którym na czymś zależy

da Schrödera. Konserwatyzm przez Kaczyńskiego i Gowina. Dlatego lepiej mówić o ideach niż o ideologiach. A jeszcze lepiej o cnotach.

Teraz wśród młodych są popularne idee socjalistyczne. Z ich pomocą dyskutują z tymi egoistycznymi postawami, o których pan mówi.

– Tu problemem jest indywidualizm. Można być samotnym liberałem, ale nie można być samotnym socjalistą. W myśleniu socjaldemokratycznym sprawczy podmiot stanowi społeczeństwo. Nie można skutecznie działać jednoosobowo. Trzeba budować wspólnotę. Jeżeli nie ma skłonności do samoorganizacji, to nie ma możliwości zrealizowania dobrego projektu socjaldemokratycznego, czyli realnie wolnościowego. Skutkiem samotności jest strach o własny los. Ilu ludzi się postawi brutalnemu szefowi czy złej władzy, wiedząc, że nikt się za nimi nie ujmie? To zachęca do udziału w linczu – na przykład na Lisie. Bo lincz jest bezkarny, a sprzeciw wobec szefa to ryzyko.

ło wiele, się nie ujawniają. Lis w rozmowie z Agnieszką Wiśniewską przyznaje tylko, że dużo wymagał i czasem głupio żartował. To nie są zbrodnie. Czyli nie ma wystarczająco silnego argumentu, by odbiorców, którzy chcą wiedzieć, co Tomasz Lis ma do powiedzenia, pozbawiać tego prawa. A takie jest żądanie tych, którzy go ścigają.

Jeśli chcemy wolności, musimy bronić zasad sprawiedliwości. Jedną z nich jest zasada, że ciężar dowodu leży po stronie oskarżającego. To, co się stało z polskimi liberałami, którzy stali się zwolennikami cenzury podmiotowej, jest szokujące. Kiedy z „Tygodnika Powszechnego” wyrzucili Rafała Wosia, z którym można się nie zgadzać, ale jest wybitnym publicystą, to liberalny publicysta wkraczającego pokolenia napisał triumfalny tweet. Człowiek ląduje na bruku, bo ma wyraziste poglądy, a liberał się cieszy? Dlatego jak pani mówi o liberałach, to jestem bardzo ostrożny. Bo jako liberałowie przedstawiają się często przeciwnicy wolności innych.

To nie znaczy, że zarzuty wobec Tomka są nieistotne. Ale nie tylko na jego przykła-

dzie widać, że jest grupa ludzi, którzy chcą mieć prawo wydawania wyroków śmierci cywilnej i decydowania o tym, kogo odbiorcy mają prawo słuchać albo czytać. Nie różnimy się co do tego, że niefajnie jest być niemiłym dla pracowników, ale różnimy się co do sposobów wyznaczania kary.

Wydaje mi się, że szafowanie karąmi społecznymi to kulturowe echo populistycznej rewolty, którą zapoczątkował PO-PiS, a do ekstremum doprowadziła Zjednoczona Prawica. To rozkręciło się w komisjach śledczych. Wtedy stały się normą niezwykle ciężkie zarzuty oparte na leciutkich przesłankach nieopartych do-brymi dowodami. Teraz na scenę publiczną wkroczyło pokolenie, które wyrosło w takiej atmosferze i żyje w systemie pozabawionym kultury sprawiedliwego osądu.

Komisje śledcze, lustracja, wcześniej dekomunizacja plus poetyka Twittera zniszczyły przywiązanie do tego, by ludzi oceniać ostrożnie i indywidualnie.

Może te wyroki są takie radykalne, bo my chcemy zająć wasze miejsca. My, młodzi.

– Starzy odchodzą, a młodzi przychodzą. To jest naturalne. Ale warto uczyć się od starszych demokracji, które rozumieją, jak ważny jest w zespole generation balance. Tak budowałem Trzódkę. Lis był po trzydziestce, ja po czterdziestce, Władysław i Wolek po pięćdziesiątce. Teraz dołączyła Agnieszka Wiśniewska, która jest po czterdziestce.

Tylko że musimy zostać wpuszczeni, a wy się trzymacie razem.

– Czyli sitwa blokuje młode talenty? To jest teza pisowskiej prawicy. Wierząc w nią, założyli „Sieci”, by pokonać „Politykę” i Radio Wnet, by pokonać TOK FM. Efekt był zawsze ten sam. Jeżeli ktoś wierzy w wolność i chce zastąpić Lisa, to musi pokazać odbiorcom, że jest lepszy od Lisa, i poddać się ich osądowi. To się dzieje. Wszystkie redakcje szukają młodych talentów.

Ale dlaczego młodym ma zależeć, żeby starzy wciągali ich do starych mediów? Ty-le się mówi, że one umierają. Jest masa młodych talentów, które znalazły nową drogę. Są fantastyczne podcasty na YouTube mające więcej odbiorców niż tradycyjne media, są młodzi autorzy doskonałych dziennikarskich czy publicystycznych książek, którzy stają się gwiazdami. Kanały medialnej kariery nigdy nie były tak otwarte.

Nie chodzi o to, żeby usiąść na miejscu Lisa, tylko żeby odbiorcy Lisa zaakceptowali cię jako następcę Lisa. Ale czy w postulatach bąbelkowej rewolty nie chodzi o to, żeby zmusić odbiorców „tamtych” do akceptowania „naszych” nazwisk i poglądów?

Myśli pan, że ma miejsce rewolucja?

– W bąbelku, bo w takich warunkach kulturowych funkcjonujemy. W ’89 roku się udało, bo zrozumieliśmy, że zmiana polega nie na wymianie ludzi, tylko na zmianie mechanizmów. Jeżeli ktoś wierzy, że starczy zmiana ludzi, niech popatrzy na twarze pisowskiej rewolucji w mediach.

Zawsze uważałem za błąd przekonanie, że właścicielem mediów może być korporacja, rząd albo jakiś inwestor. Prawdziwymi właścicielami mediów są wspólnoty twórców i odbiorców. Zawsze czułem się lojalny tylko wobec odbiorców. A czy słyszała pani, by w tym procesie, który chce się uważać za rewolucję, padł postulat uspołeczniający media, który mnie, jako demokracie, wydaje się oczywisty? Mowa jest tylko o posunięciu się ze stanowisk czy „dopuszczeniu innej narracji”. A to, że właściciele – państwowi czy korporacyjni – przynoszą w teczkach menedżerów, jest jednym z głównych powodów, dla których polskie media są takie beznadziejne na tle brytyjskich, niemieckich, amerykańskich, francuskich. Tam właściciel ma zakodowany szacunek dla wspólnoty odbiorców z twórcami. A w Polsce – folwark. Tyłko pańska wola się liczy. Więc czemu nie słyhać postulatu uspołecznienia?

Na razie jest złość. Może postulaty to będzie następna faza.
– Polska żółć nie wystarczy. W „Polityce” mamy niezły model. Jest spółka komandytowa złożona głównie z dziennikarzy. To jeden z modeli mediów, o którym warto myśleć. Czy słyszała pani taki postulat młodego pokolenia dziennikarzy?

Komisje śledcze, lustracja, wcześniej dekomunizacja plus poetyka Twittera zniszczyły przywiązanie do tego, by ludzi oceniać ostrożnie i indywidualnie

Nie słyszałam.

– Postawię brutalną tezę. Może jesteście ofiarami dominującego populistycznego spersonalizowanego dyskursu? Nawet „Wyborcza” w to weszła. Jak ktoś ze mną polemizuje, to redaktor pisze: „Polemika z Żakowskim”. Ważne, z kim jest polemika – nie o co. Jesteśmy w tym głęboko. Dlatego tak wiele osób wierzy, że złem jest Tomasz Lis. Kiedy nie widzi się zła systemowego, zwycięża wiara w czarownice i diabły. Lis jest objawem systemu, jak pani, ja i my wszyscy. Rozmawiać trzeba o systemie.

Wy ten system stworzyliście. A teraz chcecie o nim rozmawiać pokojowo.

– Od 30 lat rozmawiam pokojowo. W 1995 napisałem Kartę Etyki Mediów, która to reguluje i wciąż obowiązuje. Nie słyszałem, żeby ludzie, którzy się dziś buntują, powoływali się na nią w redakcyjnych sporach, choć wśród sygnatariuszy jest Unia Wydawców Prasy, czyli wszyscy wydawcy. Są tam zapisy mówiące, że „podstawowe są nadrzędne wobec interesów redakcji, dziennikarzy, wydawców, producentów i nadawców”.

Ludzie, którzy teraz mówią do mnie „wy”, byli wtedy w przedszkolu. Wszystkiego nie muszą wiedzieć. Ale jeżeli nie zachniemy rozmawiać o systemie, nie tylko o ludziach, którzy go uosabiają, to powtórzy się droga „od białego do czerwonego caratu”. Tym razem to będzie droga od „starego” do „młodego” caratu, który się szybko zestarzeje.

Ale dynamika rewolucji jest taka, że tnie wszystkie głowy równo. Nie zna niuan-su. To, czy pan coś zauważył w 1993, nie ma najmniejszego znaczenia. Przyjdą

po was idealisci, ale też ci rozzarowani z osobistą urazą.

– Rewolucje – słuszne i niesłuszne – napędzają ludzi niezaadoptowani. Człowiek może być niezaadoptowany dlatego, że jest szlachetny, albo dlatego, że jest kiepski. Trudno to rozróżnić w trakcie rewolucji.

To mnie bardzo nie martwi. Martwi mnie to, że po doświadczeniach XX w. mamy nadal skłonność do trybunałów rewolucyjnych i do palenia czarownic. Przecież czarownice nie były przeciętnymi kobietami i dlatego były łatwym obiektem zbiorowej agresji. Idealnie opisał to Szczypiorski w „Mszy za miasto Arras”: „Jesteś koniem!”. „Nie jestem”. „Udowodnij to”. „Jak?”. „Nie kłam. Zaprząż się do wozu i rzyj”.

Każda rewolucja to ćwiczy. Jak system doprowadza do pewnego poziomu frustracji, to efektem musi być niekontrolowany i nieracjonalizujący wybuch. W tym niesprawiedliwy osąd i nieracjonalna agresja. A potem przychodzi Ktoś – może Kaczyński, może Putin, a może fala, która nie ma twarzy, ale ma silną wolę. To jest racjonalny powód, żeby ludzi nie doprowadzać do szału.

A ciebie rani to słowo – „boomer”?

– Używam go od lat. Opisowo. Nie jako obelgę. Ale to pokolenie też jest niejednorodne. Jak pojedziesz na warszawską Wołę czy na Pragę Północ wieczorem, po „Faktach po Faktach” i po „Wiadomościach”, zobaczysz pochody starszych, ubogich mężczyzn ze zwieszonymi głowami wyprowadzających na smyczy małe, grube kundelki. Depresyjny widok. To też są boomerzy. Może głosowali na neoliberalów, nie protestowali lub robili to nieskutecznie. Ale czy to nie pokazuje absurdu zamiany konfliktu klasowego w wojnę pokoleń?

Ja mam sentyment do boomerów, bo wiedzą, jak trudno coś zbudować. Młodość jeszcze nie wie.

– To jej przywilej. ●



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jacek Żakowski

● ur. w 1957 r., jeden z najbardziej znanych polskich dziennikarzy i publicystów. W latach 80. pracował m.in. w młodzieżowym tygodniku „Na Przetaj” i w biurze prasowym „Solidarność”, w wolnej Polsce współzakładał „Wyborczą”, prowadził liczne popularne autorskie talk-show telewizyjne i radiowe. Obecnie w „Polityce” i TOK FM, kieruje katedrą dziennikarstwa w Collegium Civitas

„**Między Panem a Plebanem**” – zaktualizowana słynna książka Adama Michnika, ks. Józefa Tischnera i Jacka Żakowskiego dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Nie każdemu mężczyźnie wolno płakać

Szczygający się otwartością każdą prawdziwą odmienność traktują jako zagrożenie.

Marcin Matczak



Czy mężczyźnie wolno publicznie płakać? Tak, jeśli jest nim Roger Federer i właśnie kończy karierę.

Nie tylko wolno mu płakać, ale także ścisnąć rękę Rafał Nadala. Kobieta podpisująca się jako „feministka” pisze: „Jest coś pięknego w Federerze i Nadalu, dwóch dorosłych mężczyznach, płaczących, okazujących emocje i wrażliwość. Czy wszyscy mężczyźni na świecie mogą na to spojrzeć i nauczyć się, że płacz i wyrażanie siebie jest w porządku?”. Inna pisze: „Płacz jest sexy. Okazywanie emocji jest sexy”. Mężczyźni także pochwalają: „Sądzę, że moment wspólnego płaczu Federer-Nadal będzie długo gościł na LinkedIn jako lekcja życia, przywództwa i wrażliwości”.

Jednak gdy płacze Jordan Peterson, sprawy wyglądają inaczej. „Pojawił się w środę rano w programie Piersa Morgana – pisze Kylie Cheung – i w tej telewizyjnej pogaduszce dwóch najgorszych ludzi na świecie był jeden jasny punkt: Peterson w pewnym momencie wybuchł płaczem”. Zapytano go, czy czuje się bohaterem „in-celi”, „tych dziwnych, samotnych mężczyzn, którzy są godni pogardy w wielu wymiarach”, „nieumiejących być atrakcyjnymi dla kobiet”, żyjących w niechcianym celibacie i popadających w agresywną mizoginię. „Czemu nie”, odpowiedział. „Ludzie atakowali mnie, bo przemawiałem do młodych mężczyzn. Jakież to straszne, prawda?”. I ze łzami w oczach kontynuował: „Myślałem, że zmarginalizowani powinni mieć głos. To ważne, by dostrześć, jak wielu ludzi umiera z braku wsparcia i jak łatwo je dać, jeśli się o nich troszczysz”.

Czy słowa psychoterapeuty, świadomego, jak kruche jest zdrowie psychiczne, są zabawne? Według popularnej internetowej komentatorki tak. Po tym jak Peterson się „rozryczał”, Cheung napisała: „podajcie mi moje małe skrzypki”, co jest jawną szyderą. Czy kpina z męskiej emocjonalności nie jest tym, co feministki uznają za przejaw toksycznej męskości? Według lewicy i Federer, i Peterson to obrzydliwie bogaci, biali, heteroseksualni faceci. Pierwszy płakał nad sobą, drugi nad innymi. Ale to pierwszego chwałą, a drugiego wyśmiewają.

Dlaczego znów piszę o Petersonie? Bo on jak nikt inny pokazuje, że między tymi na lewo od centrum i tymi na prawo nie ma wielkiej różnicy. Po obu stronach jest morze hipokryzji i propagandy. Dla prawych wrogiem jest Tusk, więc pokazuje się go w czerwonej pościwacie i seryjnie wycina z kontekstu „Für Deutschland”. Cel – zrobić z niego diabła i niemieckiego pacholka. Petersona pokazuje się jako Czerwoną Czaszkę, komiksowego nazistę, a z jego wywiadu, który trwa ponad 130 minut, wycina się półtorej minuty z powta-

rzanym słowem „kobiety”. I Peterson jest tu szatanem, zafiksowanym na temacie kobiet, ciągle wypowiadającym się w ich imieniu. W przypadku „Für Deutschland” elektorat PiS zaciera ręce. W przypadku „kobiet” lewicowa posłanka pisze: „Złoto!”.

W obu przypadkach czyjaś pozycja jest zagrożona. Tak jak Tusk może pozbawić PiS rządzenia Polską, tak Peterson może pozbawić lewicę rządu dusz. Jak dowiadujemy się z wywiadu z Morganem, Cristiano Ronaldo po stracie dziecka spotkał się z Petersonem, nie z lewicowym filozofem Žižkiem. Lex Fridman, inżynier z MIT, powiedział po trzygodzinnym wywiadzie do Petersona: „Jesteś niesamowitym człowiekiem, to wielki honor z tobą rozmawiać”.

A u nas Magdalena Środa w artykule o popintelektualistach pisze o Petersonie jako o psychologu od wszystkiego, zajmującym się „wytwarzaniem mebli” i „kolekcjonowaniem socrealistycznych portretów Lenina”. Czy to rzeczywiście są jego główne cechy? Czy ktoś piszący o Środzie powinien definiować ją, mówiąc, że jest przede wszystkim filozofką, która lubi pić kawę?

Według Środy Peterson w swojej książce opowiada „o sobie, o homarach, o nierównej dystrybucji, o Bogu i Biblii, o móżgach kobiet, o sprzątaniu, o psach i kotach, o prawdzie, o pacjentach”. Przecież to kpina. „Raczej stroni od uczelni wyższych (czy może one od niego)”. Miałbym jako profesor uniwersytetu lokującego się w piątej setce rankingu szanghajskiego problem z uznaniem za „popintelektualistę” faceta, który wykladał na pierwszym i dwudziestym drugim (Harvard, Toronto) i ma indeks Hirscha 44, kilkadziesiąt razy wyższy niż przeciętny polski profesor (czy profesorka). Poza tym w kwietniu Peterson prowadził seminarium w Caius College Uniwersytetu w Cambridge. Ale nie z zakresu gender studies, więc pewnie się nie liczy.

Kiedyś symbolem cenzury były nożyczki, którymi wycinano treści, jakie nie miały trafić do czytelników. Współczesność wymyśliła cenzurę nożyczkową à rebours – wycina się treści, które mają trafić do czytelnika. Efekt jest ten sam: komunistyczny cenzor usuwał coś w cień i nowy robi to samo. Nie chowając, ale wysuwając na plan pierwszy to, co mamy zobaczyć. Reszta i tak zginie w informacyjnym szumie. „Przeczytaliśmy ten wywiad, żebyś ty już nie musiał czytać (bo jeszcze się czegoś niepotrzebnego dowiesz!)”, „Mamy dla ciebie dziesięć cytatów (po co ci więcej?)”. „Nie czytaj tej książki, przecież ktoś, kto pisze o sobie i homarach, to wariat”.

Czy Środa nie jest nowym cenzorem? Nowa cenzura to celowe wyrywanie z kontekstu. Nadzieja, że błąd pars pro toto stanie się powszechny, że szczegół będzie nowym ogółem. I ci z prawa, i ci z lewa chcą w ten sposób odhumanizować, upuścić, przyprowadzić gębę. Szczygający się otwartością okazują się propagandydami. Są otwarci jedynie na to, co już w ich głowach jest, a każdą prawdziwą odmienność traktują jako zagrożenie.

Ten felieton o męskim płaczu i nowej cenzurze przyszedł mi do głowy, gdy ostatnio, będąc w Krakowie, wszedłem do bazyliki Mariackiej. Właśnie kończyło się nabożeństwo. Za mną wszedł młody człowiek w kryzysie bezdomności. Przeszedł z czapką wzdłuż ławek, licząc, że werni pomyłają go z kościelnym zbierającym na tacę. Nikt oszukać się nie dał, ruszył za nim ochroniarz. Chłopak odwrócił się w stronę księdza i otworzył usta. Gdy wszyscy oczekiwali bluzgu, krzyknął: „A zimą jest zimno i nie ma gdzie spać!”. Wyszedł, a mnie się chciało usiąść i płakać. Ale nie wiedziałem, czy mi wolno, bo nie potrafię odbijać piłki paletką tak, aby nigdy nikomu nie nadepnąć na odcisk. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

JAK WOJTEK ZOSTAŁ ST

Gdy Kałuża szedł po zdradę w sejmiku śląskim, PiS-owcy odгородzili go na korytarzu, jakby prowadzili więźnia

Piotr Głuchowski, Przemysław Jedlecki

Wojciech Jan Kałuża, 38-letni misiówaty szatyn z twardym śląskim akcentem, stał się sławny 21 listopada 2018 r., gdy wybrany z Koalicji Obywatelskiej przeszedł na pierwszej sesji sejmiku śląskiego do PiS i dał im jednoosobową większość. W zamian dostał posadę wicemarszałka województwa śląskiego. Wyborcy, którzy głosowali nań wcześniej jako na działacza Platformy (a potem Nowoczesnej), określili Kałużę „ciulem”, „kradziakiem” i „kabociorem” – po śląsku: zdracą.

Dzisiaj mówi, że nie żałuje: – Z KO nie widziałem i nie widzę perspektyw. Patrzę na ich pracę w sejmiku i mogę śmiało powiedzieć: nie mają konkretnych propozycji dla regionu. My tymczasem pracujemy nad pozyskiwaniem funduszy europejskich, nad rozwojem gospodarki, sportu i turystyki, nad wsparciem szpitali. Naszą pracę doceniają eksperci: w rankingu „Financial Times” jesteśmy na szóstym miejscu wśród najprężniejszych regionów Europy.

To nie przekonuje Witolda Pustulki, byłego redaktora „Dziennika Zachodniego”, ostatnio specja od public relations. – Kałuża oszukiwał wyborców, jego nazwisko stało się synonimem zdrady. Czy popełnił błąd? Jeśli przez te cztery lata zarobił tyle, by się urządzić do końca życia, to z jego punktu widzenia może i nie. Moralnie się jednak zdyskredytował. Wkrótce nie będzie dla niego miejsca w polityce.

Podobne zdanie ma dr Tomasz Słupik, politolog z Uniwersytetu Śląskiego: – Jeśli wystartuje w jakichkolwiek wyborach, przegra je na sto procent. O ile PiS utrzyma się po najbliższych wyborach przy władzy, może dać mu jakieś stanowisko gdzieś w Polsce. Jeżeli natomiast PiS przegra, jego przyszłość rysuje się w ciemnych barwach. Z drugiej strony tak długo, jak będzie istnieć polityka, zdrady będą się zdarzać. Ta była jednak wyjątkowo spektakularna.

I nie pierwsza w życiorysie Kałuży.

Wojciech Jan urodził się w Rybniku, a wychował w 60-tysięcznych Żorach w Rybnickim Okręgu Węglowym. Jego ojciec pracował w żorskich wodociągach, matka była pielęgniarką w szpitalu psychiatrycznym. W domu godoli po ślonsku. Syn zaczął prawo i administrację na Uniwersytecie Warszawskim, potem nauki społeczne w stołecznej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Jednak już od podstawówki bardziej niż nauka pochłaniały go treningi dżudo i komputery: jeszcze przed dwudziestką założył firmę informatyczną, która nie odniosła sukcesu, wrócił do Żor, zaczął się udzielać politycznie. Został społecznym przewodniczącym powiatowej rady ds. niepełnosprawnych i zastępcą prezesa lokalnej Ochotniczej Straży Pożarnej. Uchodził za swojaka, ówczesni znajomi wspominają go jako „skorą do pogaduch przy piwie duszę towarzystwa”. Kolejnym etapem kariery była posada dyrektora biura parlamentarnego senatora PO Marii Pańczyk-Pozdziej i pracownika europosła tej partii

Jana Olbrychta – na ćwierć etatu prowadził mu biuro w Tarnowskich Górach.

– Przez dwa lata widziałem się z nim zaledwie kilka razy – wspomina pracodawca. – Zapamiętałem go jako pocziwca.

Mamy rok 2006. Kałuża wspomaga kampanię samorządową PO, krążąc między Rybnikiem, Żorami i Tarnowskimi Górami, a jednocześnie zaczyna pracować na siebie: pierwsze miejsce z listy Platformy i 290 głosów żorzan wystarcza do zdobycia mandatu radnego miejskiego. Starsi koledzy powierają mu stanowisko przewodniczącego komisji kultury i sportu. Sprawdza się, więc w sierpniu 2008 r. dostaje ważniejszy fotel: zastępcy prezydenta miasta Waldemara Sochy, byłego działacza Unii Wolności, który rządzi Żorami nieprzerwanie od 1998 r. Po kilku miesiącach udanej współpracy 46-letni Waldek i 28-letni Wojtek przechodzą na „ty”.

W kolejnych wyborach samorządowych (2010 r.) Kałuża dostaje już 449 głosów, co daje mu reelekcję w radzie i pozwala zachować posadę wiceprezydenta. Stosunki z szefem nie są już jednak najlepsze. Socha na czele komitetu Żorskie Porozumienie, Kałuża dzierży sztandar Żorskiej Samorządności. Nie chce być kojarzony ze spadającą w sondażach Platformą, więc się z niej wypisuje bez wytłumaczenia. Pierwsza tura nie wyłania jednak zwycięzcy – potrzebna będzie dogrywka. Jeszcze przed nią prezydent zwalnia wiceprezydenta konkurenta, wydając oświadczenie:

„Pan Wojciech Kałuża od sześciu lat pełni funkcję mojego zastępcy, co niewątpliwie powinno wiązać się ze szczególnym zaufaniem i lojalnością. W zakresie swoich obowiązków w zasadzie nie zajmował się sprawami merytorycznymi Urzędu i Miasta i przypisywanie sobie przez niego zasług w [tym] zakresie (...) jest nadużyciem. Jego rolą było głównie zastępowanie mnie w kontaktach z różnymi organizacjami i grupami (...), podczas gdy ja koncentrowałem się na faktycznym zarządzaniu miastem. Pełniąc funkcje [reprezentacyjne], Kałuża od wielu miesięcy dezawuował i oczerniał mnie w oczach [wyborców], a ostatnio nawet publicznie ze mnie drwił. Tym samym całkowicie utracił zaufanie, jakie jest niezbędne do sprawowania funkcji zastępcy”.

Utrata samorządowej posady to dla Kałuży – poza wszystkim innym – także cios finansowy. Jako wiceprezydent zarabiał ok. 120 tysięcy rocznie. Teraz dostaje 36 tysięcy odprawy i dalej radź sobie sam. Tymczasem zaciągnęli z żoną, urzędniczką w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, kredyt frankowy, ponad 110 tysięcy. W oświadczeniu majątkowym Kałuża dopisał: „z oprocentowaniem”.

Za franki rozpoczął budowę domu w staropolskim stylu – ganek, kolumny, skośny dach. Utknął na wykończeniówce.

Żorskie wybory prezydenckie kończą się tak, że na bezrobotnego i bezpartyjnego Kałużę głosuje 7210 osób, na Sochę – 8099. Przegrany zebrał jednak również 225 głosów podczas równoległych wyborów na radnego – dlatego zostaje w samorządzie. Tyle że dieta rajcy to tysiąc złotych miesięcznie. Sfrustrowany zasłynął jako rekordzista w liczbie natarczywych interpelacji kierowanych do byłego szefa. Kolega z rady opisał to w rozmowie z „Polityką”: „Kałuża robił Sochę winnym każdej dziury w ulicy i chodniku”.

Jeszcze w tym samym roku Wojciech Jan przestaje być bezpartyjny: wstępuje do Nowoczesnej, która rośnie w siłę (w grudniu 2015 r. na chwilę przegoni PO). Zosta-



je członkiem śląskiego zarządu regionalnego – niedawni koledzy i koleżanki z Platformy dowiadują się o tym z mediów – po czym startuje do Sejmu.

Monika Rosa, śląska posłanka od Ryszarda Petru: – W trakcie naszej kampanii parlamentarnej nie miał sobie równych w psioczeniu na PiS.

W Wodzisławiu, na spotkaniu ze świeżo zaprzysiężonym Andrzejem Dudą, Kałuża na całe gardło krzyczy: „Ty chuj!” (co odnotowuje „Polityka”). Chce być zauważony. Mandatu jednak nie zdobywa. Rosa dostaje ponad 20 tysięcy głosów, Wojciech Jan – mimo pierwszego miejsca na liście w okręgu rybnickim – niecałe 10 tysięcy. Trzeba się rozejrzeć za pracą.

– Aktywnie szukam czegoś, przeglądam ogłoszenia. Mam nadzieję, że wkrótce znajdę stosowne zajęcie – mówi serwisowi tuZory.pl. Udaje się: dostaje posadę w Śląsko-Dąbrowskiej Spółce Mieszkaniowej. Pensja bez rewelacji: przez niecały rok zarabia w sumie 28 tysięcy złotych. W kolejnym jego dochody spadają niżej (do 2 tys. miesięcznie plus dieta). Rata kredytu jest natomiast coraz wyższa. Dlatego po raz drugi podejmuje ryzyko stworzenia własnej firmy. Wraz z trzema udziałowcami zamierzają produkować maszyny do skręcania tzw. lodów tajskich. Spółka Rolka Poland lokuje się w starym biurku na przedmieściach Żor, a Wojciech zostaje prezesem. Po pierwszym roku działalności firma przynosi stratę 30 tysięcy złotych. Do tego 120 tysięcy długu w kooperantów.

Jesienią 2016 r. zdesperowany Kałuża próbuje zmonetyzować polityczne konek-

sje. Mariusz Kleszczewski, były wicemarszałek województwa z PO, jest prezesem firmy Infomed Solutions. Jedną z jej specjalności to dozowniki medyczne dla szpitali. Kałuża zostaje współnikiem (ma 166 udziałów wartych 8,3 tysiąca złotych), zaś spółka występuje o dużą unijną dotację. Wniosek zostaje jednak odrzucony. W efekcie Infomed zamyka rok 2017 z 40-tysięczną stratą. Kałuża jest grubo pod kreską, a kredyt spłacać trzeba: wciąż ma ponad 100 tysięcy franków do oddania. Może by wrócić do polityki?

29 maja 2018 r. na samorządowej konwencji wyborczej KO w Katowicach szef PO i zarazem śląski poseł Borys Budka przedstawia Wojciecha z Nowoczesnej jako nowego-starszego kandydata KO na prezydenta Żor.

– Skutecznie pracuje w samorządzie od 2006 r. Przez sześć lat pełnił obowiązki zastępcy prezydenta miasta, a teraz działa w swoim mieście jako radny. Znany jest również z pasji społecznych: strażak ochotnik, dżudoka i osoba, która poświęca swoje codzienne życie, by w Żorach było lepiej.

Na scenę wchodzi pretendent. Jest szczuplejszy niż w trakcie poprzednich wyborów:

– Kiedy podczas ostatnich samorządowych nieznacznie przegrałem ze swoim konkurentem, powiedziałem sobie: choćby cię kroili i solili, choćby cię lamali kołem – nigdy więcej. Ale wiecie... ja jestem Ślązakiem, a cztery lata to szmat czasu. Świat się zmienia, u mnie w domu też się zmieniło, pojawiła się mała Dominiczka, która ma

RAŻAKIEM I POLITYKIEM



FOT. KAMILA KOTUSZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

teraz 18 miesięcy, a około 30 czerwca pojawi się syn. Zmienia się w rodzinie, a w Żorach nie bardzo się zmienia. A ja chciałbym, żeby się zmieniał, żeby młode pokolenie mogło chodzić do fajnych szkół i nowoczesnych przedszkoli, mieć interesujące życie w mieście i później w nim zostać i mieszkać. A wiecie, czego we mnie nie ma? Nie ma stracha... nie boimy się niczego, tak? A już na pewno nie PiS-u!

Aplauz wśród widowni, długie oklaski, zadowolony Kałuża podnosi obie ręce i pokazuje zebranym wnętrza pulchnych dłoni.

– To są czyste ręce! Ręce gotowe do pracy. A w tym moim może ciut za wielkim ciele jest serce gotowe do poświęceń dla żorzan!

Jeszcze więcej braw. Pozornie wszystko gra, lecz faktycznie jest kiepsko. – Szukanie kandydatów KO do rady miasta Żory to robota startującego na prezydenta – wyjaśnia ówczesny bliski znajomy Kałuży. – A nasi lokalni działacze nie garnęli się pod jego skrzydła. Jakoś nie było ikry – może nie wierzyli w wygraną? Zaczęli kręcić nosami, mówić, że wolą innego.

Wcześniejszy kolega Wojciecha Jana, członek śląskiej PO: – Do sklecenia pełnej listy potrzebował 30 osób, a zebrał 11.

Maciej Kolon, sekretarz śląskiej PO: – Tłumaczył, że jest mało ludzi do pracy, że nie ma wsparcia. Myślałem, że to słabe: gość chce zostać prezydentem, a nie ma za sobą ekipy? Nie wiem... może czuł, że nie ma szans, i nie chciał pójść w walce z Sochą po raz drugi. No dobra, nie chce, to trudno...

Zaczęło się szukanie dla Kałuży miejsca zastępczego.

Budka spogląda prosto na Kałużę:

– Każda władza przemija, a twarz ma się tylko jedną

W środku kampanii kandydatką KO na prezydenta Żor (w mieście Kałuży) została Anna Małgorzata Gaszka, związana z Platformą nauczycielka, z wykształcenia historyk. Wojciech Jan udzielił jej poparcia i dostał pierwsze miejsce na liście KO do sejmiku w okręgu rybnickim. To były już ostatnie chwile na zamianę miejsc i wszystkim się bardzo spieszyło. Sejmikowa jedynka Koalicji miała przypaść innemu ambitnemu młodzieńcowi ze Śląska – Łukaszowi Kohutowi, niegdyś związanemu z Ruchem Palikota działaczowi niszowej Demokratycznej Unii Regionalistów Śląskich. Tego zablokował jednak – osobiście – Grzegorz Schetyna.

– Wiedzieliśmy, że Kohut ma bliżej do Biedronia niż do nas – mówi kolega Kałuży z PO i ma rację, ponieważ 35-letni Łukasz ostatecznie zostanie członkiem partii Wiosna i jej europosłem. Na jego miejsce w okręgu rybnickim Nowoczesna proponuje... nie, jeszcze nie Kałużę, tylko Bartłomieja Gabryśia, ekonomistę z Mikołowa.

– Poważny człowiek, który na pewno by nie zdradził. Odbyla się jednak szczerą partyjna rozmowa na temat jego realnych szans

do sejmiku i uznaliśmy, że Wojtek ma większe – wspomina znajomy z Nowoczesnej.

Krótko przed zamknięciem list w Warszawie zbiera się sztab KO, na którym przedstawiciele Nowoczesnej deklarują wykreślenie wykładowcy z Uniwersytetu Ekonomicznego – wolą Wojciecha Jana. Borys Budka się zgadza, po czym dostaje SMS od byłego wojewody śląskiego (i prezydenta Żor w latach 1992-98) Zygmunta Łukaszczyka. „On was zdradził” – ostrzega polityk i dodaje, że „dobrze Kałużę zna”.

– Może trzeba było wtedy gdzieś jeszcze zadzwonić, ustalić, że ten chłop coś za często zmienia zdanie... – zastanawia się nasz rozmówca z Nowoczesnej, żorzanin. – Ale na żadne ustalenia już nie było czasu, zostały dosłownie minuty. Tyle lat się Wojtka znało, niemal od chłopaka, nic nie wskazywało, że zrobi nas w ciula.

Anna Gaszka przegrywa z Sochą wybory na prezydenta Żor. Za to Wojciech Jan dostaje się do sejmiku z rewelacyjnym wynikiem 25 tysięcy – poparł go co 11. wyborca w okręgu rybnickim. I wtedy zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Żorski radny, stary kolega Wojciecha Jana: – PiS brał po Polsce sejmik za sejmikiem, a u nas brakowało im jednego krzesła. Było jasne, że próbują kogoś przekabacić.

Wybrani z listy KO fotografują się więc z kartkami „Nie dzwoń, nie PiSzę się!” i wrzucają fotki na Facebooka albo na Instagram. Kałuża tego nie robi.

Działacz PO: – Gdy wyszło, że wybory dały nam, wraz z Lewicą i PSL-em, więk-

szość jednej szabli, ośmielony na powyborczym spotkaniu Wojciech rzucił takie zdanie, że chciałby być wicemarszałkiem. Nikt na to w tamtych dniach nie zwrócił większej uwagi. Było zresztą jasne, że nie ma na to szans.

Ktoś jednak na ambicje Kałuży uwagę zwrócił. W pierwszym tygodniu listopada, gdy PO, Nowoczesna, Lewica i PSL rozmawiają już o konkretnych kandydatach do nowego zarządu województwa (a potem podpisują porozumienie regulujące wspólne czteroletnie rządy KO i postkomunistów), szef kancelarii premiera RP i poseł z Dolnego Śląska Michał Dworczyk pisze do Mateusza Morawieckiego: „Śląsk – mamy jednego człowieka – więc powinno być OK. Mimo to szukamy kolejnych na zapas”.

„Bardzo mnie ucieszyłeś ze Śląskiem” – odpisuje 5 listopada premier. I dodaje, że należy walczyć o sejmiki, ponieważ w wyborach prezydentów miast PiS niemal wszędzie przegrał.

– Jako że mieliśmy tak małą przewagę, stale utrzymywaliśmy kontakt ze wszystkimi z rady – mówi Kolon. I nagle Kałuża przestał od nas odbierać. Pojawił się jakiś niepokój.

Anna Gaszka: – Znaczące było, że skasował swe konto na Facebooku. Zauważyłam, bo akurat chciałam się z nim skontaktować. Potem już wszyscy chcieliśmy.

Kolon: – Dzwoniliśmy wiele razy, aż w końcu sam pojechałem do Żor, do jego domu. Pukałem, pukałem i nic. Światło się tymczasem świeciło. Wreszcie otworzyła mi żona. Powiedziała: Wojciecha nie ma. Ale ja się uparłem. Stałem pod domem chyba parę godzin. I w końcu do mnie oddzwonił. „Maciek, nie ma mnie w chacie, naprawdę. Nie, już mnie dzisiaj nie będzie. Tak, wszystko z nami w porządku”. Odparłem, że jeszcze podjadę pogadać. I przyjechałem tam znowu kolejnego wieczora. Ponownie nikt nie otwiera. Czekam godzinę, wydzwaniam bez skutku i czuję, że on w środku, że coś tam się dzieje. Coś bardzo niedobrego. W końcu oddzwania i mówi, lecz takim nie swoim głosem, jakby przytłumionym, że wszystko sobie przemyślał. Przechodzi na stronę PiS.

– Zamurowało pana?

– Przecucie się sprawdziło. Poniosły mnie emocje i wołam: „Wojtek, co ty odpierdasz?!”.

Zaczął coś mówić, kręcić, że no tak... że on zdecydował... żeby nie mieć żalu... Miałem wrażenie, że jest wystraszony. Nie tyle przekonany do PiS, co kupiony. Próbowalem jeszcze jakoś ratować sytuację. Mówię mu, że jeśli chce, to może w końcu zostać tym wicemarszałkiem albo i marszałkiem... Byliśmy mu gotowi oddać choćby najlepszą funkcję, byleby tylko region nie wpadł w ręce PiS. Ale on: nie, nie i jeszcze raz nie... Na koniec mu powiedziałem, żeby to jeszcze przemyślał. Wtedy się jakby zawahał, poprosił, żebym zadzwonił o szóstej rano w dniu sesji. Dzwonię, on od razu odbiera i mówi, że sprawa zamknięta.

– Dlaczego zdradził?

– Pamiętam ten jego dom. Niewykończony, nieocieplony, działka nieogrodzona, trochę plac budowy... Z tego, co wiem, miał kłopoty z kasą.

Podobnego zdania jest Grzegorz Wolnik, śląski działacz PO, który kandydował do sejmiku w tym samym okręgu co Wojciech. Mieli nawet wspólne plakaty.

– Wygrała chęć otrzymania wymarzonego stanowiska. Nie doszukuję się w tym wyższych uczuć, przekonania do PiS, jakiegokolwiek idei czy misji.

Roczna pensja wicemarszałka województwa (z premiami i dodatkami) to obecnie ponad 180 tysięcy złotych. Do tego szerokie możliwości załatwienia pracy, z czego Wojciech Jan wkrótce skorzysta.

21 listopada. Inauguracyjna sesja nowego sejmiku zaczyna się o poranku w nerwowej atmosferze: dziennikarze pytają schodzących się z wolna polityków wyłącznie o „przejście”, „woltę” i „zdradę” Kaluży. On sam pojawia się otoczony radnymi PiS. Założył ciemno-niebieski garnitur plus fioletowy krawat. Jest spocony i nieswój.

– Był jednocześnie i zastraszony, i pewny siebie – mówi dawny kolega. – Przeszedł przez korytarz szczerlnie odgradzony PiS-owcami. Wyglądało, jakby prowadzili więźnia. Podchodzę i mówię: „Popatrz, Wojtuś, jak cię otoczyli”. Odpowiedział mi: „Wiem, wiem...”. Tylko tyle. Miał oczy pełne łez.

Nowi koledzy eskortują Kalużę na miejsce krótkiej konferencji prasowej, gdzie czeka już Dworczyk. Obecność ministra – spiritus movens całej operacji – ma dać Kaluży pewność, że PiS go nie wykiwa. I rzeczywiście: w obecności delegata rządu Wojciech jakby odzyskuje rezon. Mówi, „że najważniejszy jest Śląsk i program dla Śląska”, a „najlepszy z programów ma PiS”.

– Liczę, że wyborcy zrozumieją mój krok i będę ze mnie dumni – kończy bez uśmiechu.

Na pytania dziennikarzy odpowiadać nie chce, odpycha mikrofony, powtarza tylko: „Moja partia to Śląsk, reszta mało ważna”. Przechodzi do sali plenarnej.

Kolon: – Przecisnąłem się, dotknąłem jego ramienia i pytam: „Wojtuś, co ty robisz?”. Nic nie odpowiedział. Wyglądał źle, bardzo źle... gorzej niż po zarwanej nocy. Od tego czasu prywatnie nie gadamy. Może raz, w trakcie pandemii, poprosiłem o pomoc urzędu marszałkowskiego dla szpitala w Pszczynie – to wszystko.

Kaluża siada na sali pomiędzy radnymi PiS. Gdy przychodzi kolej, by podejść do stołu prezydium i odebrać mandat, stara się iść prosto, a zarazem na nikogo nie patrzeć – zerka pod własne nogi. PiS-owscy delegaci dodają mu odwagi brawami, lewa strona buczy i stuka w białe. Kilku byłych już kolegów z PO i Nowoczesnej głośno krzyczy: „Hańba!”, „Zostaw mandat!”, „Zdrada!”.

Na mównicę wchodzi Michał Gramatyka, ustępujący wicemarszałek z PO. Kipi z oburzenia:

– Dowiedzieliśmy się, że pan Kaluża, którego poparło ponad 20 tysięcy wyborców, został przecignięty na stronę innego ugrupowania w sposób nieznamy. Nigdy wcześniej sejmik nie został postawiony w takiej sytuacji... ona nosi znamiona czynu zabronionego. Uważam, że obrady nie powinny się toczyć, dopóki organa państwa [tego] nie posprawdzą.

Radni PiS reagują śmiechem. Profesor Tadeusz Ślawek, literat i były rektor Uniwersytetu Śląskiego (tu w roli prowadzącego obrady radnego seniora z KO), nie chce zawieść posiedzenia. Zgodnie z prawem delegat sejmikowy (poseł i senator) może zmienić barwy, kiedy tylko zechce.

Głos zabiera podenerwowany Budka (zaproszony na sesję jako poseł z Gliwic):

– Dokonuje się ordynarny akt korupcji politycznej [PiS-owscy radni buczą]. Możecie to zagłuszać, udawać, że wszystko dzieje się dla dobra Śląska, lecz prawda jest inna! Oszukano 25 tysięcy wyborców! Obiecuję, że wcześniej czy później właściwe organy wyjaśnią, kto otrzymał za to korzyści osobiste... – Teraz Budka spogląda prosto na Kalużę. – Każda władza przemija, a twarz ma się tylko jedną.

Po pośle na mównicę wychodzi posłanka Rosa i zwraca się wprost do Wojciecha:

– 25 tysięcy osób, które zagłosowały na ciebie, zagłosowało na nasze wartości i na to, jaką chcemy mieć Polskę! Wolną od korupcji i od zdrady! Wojtek, to nie jest kwestia programowa... to kwestia tego, za co sprzedadeś twarz! Wojtek, przemysł to jeszcze!

W imieniu radnych PiS odpowiada śląski poseł tej partii Grzegorz Tobiszowski: – Zastraszacie wolnego radnego! Posądzacie go o korupcję! Najpierw udowodnijcie, a potem mówcie! Na jakiej podstawie nam grozicie w demokratycznym kraju?! Nie macie

żadnej godności! Przejdźmy lepiej do następnych punktów posiedzenia...

I sejmik proceduje dalej: dzięki przewadze jednego głosu nowym marszałkiem zostaje młodszy o rok od Kaluży były pracownik świetlicy osiedlowej Jakub Chelstowski z PiS. Na swego wice proponuje Wojciecha, co sala natychmiast zatwierdza – znowu jednym głosem. Śląsk staje się ósmym województwem, w którym PiS przejął zarząd. Za wychodzącym z sesji Kalużą ktoś woła: „Będziesz siedział!”.

Czyżby?

– Aby uznać, że mieliśmy do czynienia z karalną korupcją, trzeba by udowodnić, że pan radny, już zanim zgodził się przejść do obozu innej partii politycznej, przeprowadził uzgodnienia co do stanowiska wicemarszałka – tłumaczy Paweł Karcz, adwokat praktykujący w Sosnowcu. – Gdyby komuś udało się to wykazać, do odpowiedzialności karnej zostałby pociągnięty nie tylko sam podejrzany, ale i składający mu propozycję politycy PiS. Kara, jaka za ten czyn grozi, to osiem lat pozbawienia wolności.

Budka zapowiada złożenie w prokuraturze wniosku o zbadanie kulisów transferu Wojciecha. Jego zdaniem maczała w tym palce Warszawa. To samo mówi wówczas Adam Szlępka, sekretarz generalny Nowoczesnej: – Wiemy o wielu próbach korupcji politycznej na Śląsku. Podobnie usiłowano kupić inną ze śląskich radnych.

Trzy dni po sesji Platforma i Nowoczesna organizują w Żorach protest „Kaluża, oddaj mandat!”. Przyjechali i Budka, i Rosa, są kamery TVN, TVP. Powiewają flagi KOD, żółto-niebieskie chorągwie Górnego Śląska i spory transparent z hasłem zaczynającym się – chyba celowo – od małej litery: „kaluża ty CIULU!”. Manifestantów kilkuset, część trzyma kartki: „Kto wyborców sprzedaje ten chamem się staje!”, „Kaluża oddawaj mandat, boś ty PiS-owski cham, a nie kamrat”.

Starsza pani z hasłem „Brawo Wojtek!” zostaje przepędzona.

Pierwszy staje przed mikrofonem, jak się przedstawia, Zbyszek z Wodzisławia:

– Pan Kaluża przeszedł na ciemną stronę mocy, tam gdzie nie ma życia, gdzie rządzi korupcja firmowana przez najwyższych urzędników państwowych! On jest sprzedawczykiem! – głos Zbyszka szybko chrypie. – On ukradł nam nasze głosy! Oddaj je i zdaj mandat!

Zabiera głos wicedyrektorka szkoły, którą Wojciech Jan skończył w latach 90.

– Wstydzę się za niego, za to, jak został wychowany. Przepraszam całe Żory za Kalużę! [oklaski]

Potem występuje Monika Rosa: – Kaluża, ty ciulu, okradłeś wyborców z wiary i nadziei!

Brawa.

Ostatni mówca, Budka: – Jestem tutaj, żeby prosić o wybaczenie. Zostaliście oszukani przez jednego człowieka. On udawał, że nie chce oddać województwa śląskiego w ręce Nowogrodzkiej... i co zrobił za garść srebrników?!

Propisowski serwis wPolityce.pl tytułuje nazajutrz relację z żorskiego mitingu: „Przerażając! Mowa nienawiści podczas protestu przeciwko radnemu Kaluży”.

Kaluża propozycji startu do europarlamentu, wbrew plotkom, nie dostaje. Jego nazwisko kojarzy się już zbyt brzydko. Na posiedzeniach sejmiku publiczność rozwija transparenty z napisem „Kaluża zdrajca”. Machają kartonikami „Oddaj mandat!” i „Brutus, Judasz, Kaluża”. Gliwiczanka Halina Kocek, gorąca przeciwniczka PiS, w trakcie każdej sesji siada z grupą przyjaciół na skraju galerii dla wi-

dzów – tuż nad głową Wojciecha – i macha mu kartką „Oszust”.

– On patrzy z naszego powodu głównie w dół – opowiada. – Myślę, że dokładnie przestudiował swoje sznurowadła.

W grudniu 2018 r. katowicki radny PO Łukasz Borkowski próbuje wręczyć wicemarszałkowi lustro. – Liczę na to, że spojrzysz w nie i zastanowi się nad swym postępowaniem – mówi. Wojciech Jan na widok szkła omija Borkowskiego łukiem, prezent odbiera asystentka. Radny PiS Piotr Pietrasz określa happening jako „zorganizowany hejt na wicemarszałka województwa” i porównuje Kalużę z zabitym w Łodzi działaczem PiS Markiem Rosiakiem. Tymczasem Budka realizuje zapowiedź: składa w prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa i chce, by śledczy przesłuchali jako świadków Dworczyka i Kalużę. Katowicka prokuratura odmawia wszczęcia śledztwa.

– Podstawą decyzji jest brak znamion czynu zabronionego – tłumaczy Marta Zawada-Dybek, rzeczniczka okręgowki. – Wybory władz województwa odbyły się zgodnie z prawem i obowiązującą procedurą, natomiast zawarcie ewentualnych uzgodnień co do sprawowania funkcji mieści się w granicach wolności politycznej gwarantowanej przez konstytucję i nie może być rozpatrywane w ramach odpowiedzialności karnej.

Dziennikarze studiują oświadczenia majątkowe Kaluży, ale niczego nie mogą znaleźć: dalej ten

sam dom, bez znaczących oszczędności, kredyt wciąż niespłacony. Trzeba podpytać PiS-owców, aby coś zrozumieć. W końcu jeden nam zdradza:

– Zwróćcie uwagę na politykę kadrową marszałka w spółkach województwa.

Jedną z najważniejszych jest Fundusz Górnośląski. Reklamuje się hasłem „Finansujemy rozwój regionu, wspieramy przedsiębiorców”. Ze strony internetowej wynika, że FG udzielił prawie 3 tysiące pożyczek na 700 milionów złotych. Kolejne 100 milionów z okładem zainwestował bezzwrotnie. To gigantyczna skarbonka, z której można czerpać (Platforma też to robiła). W lutym 2019 r. prezesem Funduszu zostaje mieszkaniec Żor (i dobry znajomy Kaluży) Krystian Stępień. Gdy Wojciech był jeszcze „wickiem”, Krystian kierował Miejskim Ośrodkiem Sportu i Rekreacji. A później inną podległą miastu firmą. Tu również sprawdził się słabo, zaliczył więc kilkuletni epizod w Wodzisławiu Śląskim, gdzie ze spółki Domaro, czyli dawnego gminnego Zakładu Gospodarki Mieszaniowej, odwołano go pod nieudowodnionym ostatecznie zarzutem „naruszenia dyscypliny finansowej”. Gdy Wojciech Kaluża został wicemarszałkiem, majątek Stępnia zaczął gwałtownie rosnąć: z oświadczenia majątkowego za 2021 r. wynika, że ma już 134 tysięcy złotych oszczędności, dwa domy o łącznej wartości ponad miliona złotych, dalej mieszkanie za 170 tysięcy złotych i grunty wart okolo 7 milionów. W ubiegłym roku zarobił – w Funduszu i radzie nadzorczej Górnośląskiego Towarzystwa Lotniczego – ponad 650 tysięcy złotych. W ostatnich dniach nazwisko Krystiana zniknęło z sieciowej witryny FG. Nie jest już prezesem. Urząd marszałkowski nie wydał komunikatu.

– Panowie się pewnie pokłócili i wióry lecą – mówi osoba bliska śląskiemu PiS-owi. „Panowie” to Kaluża i marszałek Jakub Chelstowski.

Idźmy jednak dalej: wiceprezesem FG był i jest nadal... tak, mieszkaniec Żor i znajomy Wojciecha, do niedawna radny Solidarnej Polski Jacek Miketa. Szef rady nadzorczej Funduszu? Także Żora. Był nim mecenas Czesław Błażyca, wspólnik w kancelarii ulokowanej w szeregowcu przy Jana Paw-

ła II między Galerią Wiślanka a żorską Castoramą.

Weźmy kolejną spółkę: Śląski Fundusz Rozwoju. Sejmik powołał ją w 2019 r. do zarządzania częścią unijnych pieniędzy dla regionu. To już nie miliony, ale więcej. Tylko z tzw. polityki spójności Śląsk dostaje miliard euro rocznie. Na czele SFR stanął Marcin Wilk, były wspólnik Kaluży z firmy Infomed Solutions. W radzie nadzorczej zasiadł natomiast Krzysztof Smętek – wspólnik w kancelarii Błażycy.

Za pośrednictwem rzecznika urzędu marszałkowskiego zapytaliśmy Wojciecha Jana, od kiedy zna prezesów FG i SFR oraz jakie ich łączą koneksje? Odpowiedź: „Pytania są próbą manipulacji. Stanowczo protestuję przeciwko łączeniu aspektów merytorycznych, które są najważniejsze, oraz personalnych. (...) Zarówno prezes Stępień, jak i prezes Wilk są sprawnymi menedżerami, którzy wdrażają wiele przedsięwzięć przyczyniających się do rozwoju zarządzanych spółek”.

Innych dziennikarzy Kaluża też nie rozpieszcza. Wywiadów udziela sporadycznie. Wyjatek zrobił pod koniec 2018 r. dla portalu Niezależna.pl (sieciowa odnoga „Gazety Polskiej”). Tłumaczył, że przeszedł do PiS nie z powodu kasy, lecz dlatego, że nie spodobała mu się nowa koalicja KO z postkomunistami, czyli SLD i PSL.

– Nigdy się nie umawiałem na to, że województwem śląskim będzie rządziło dwóch członków SLD! W zarządzie województwa jest pięć osób: marszałek, dwóch wicemarszałków i dwóch członków zarządu. I w tym gremium [dwa krzesła] miało otrzymać SLD, choć ma tylko dwóch radnych, do tego jeszcze jeden członek zarządu z PSL. Koalicja Obywatelska byłaby w mniejszości w takim zarządzie. Trzeba sobie szczerze powiedzieć: to była kapitulacja KO w stosunku do SLD.

– I to było bezpośrednim powodem pańskiej decyzji? – pyta dziennikarz portalu Grzegorz Broński.

– Ta sytuacja przelała czarę goryczy. Mówiło się o jednej rodzinie Platformy i Nowoczesnej, a gdy przyszło [do konkretów – dostaliśmy] koalicję z zachłannym SLD.

Broński: – Pan padł ofiarą hejtu, który w Polsce nie był jeszcze spotykany.

Kaluża: – Staram się wszystkiego nie czytać i nie śledzić, bo człowiek mógłby po prostu, po ludzku, nie wytrzymać.

Pytany przez nas o efekty swojej pracy Wojciech Kaluża zapewnia: – Finanse regionu są stabilne. Wszystkie kluczowe projekty są realizowane. Koncentrujemy się na zadaniach, które obiecaliśmy mieszkańcom. Do zakończenia kadencji pozostało trochę czasu i dziś najważniejsze jest, aby pracować nad energetyką, ochroną powietrza, sprawami społecznymi...

Tymczasem w urzędowym raporcie o stanie województwa za 2020 r. czytamy: „Wyraźnie powiększa się dystans regionu do najsilniejszego w kraju województwa mazowieckiego (...) śląskie zaczęło także tracić względem województwa dolnośląskiego [a w odniesieniu do PKB per capita] również względem małopolskiego, łódzkiego i pomorskiego. Jeżeli tak niekorzystny trend się utrzyma, to w perspektywie kilku lat pozycja gospodarki województwa śląskiego na tle innych regionów może się [jeszcze bardziej] obniżyć...”.

Z „prognozy samorządowej” opracowanej przez Daniela Persa, socjologa i badacza trendów wyborczych w województwach, wynika, że gdyby Ślązacy głosowali na radnych sejmikowych dzisiaj, PiS przegrałby, zdobywając 16 mandatów, KO też traci, a weszłaby Polska 2050 Szymona Hołowni. Według tej prognozy w śląskim samorządzie zasiadzie jeszcze czterech radnych Lewicy i dwóch przedstawicieli PSL. „To pozwoli opozycji na przejście władzy w regionie z rąk PiS” – konkluduje socjolog.

Wojciech Kaluża – jak wynika z najnowszego oświadczenia majątkowego – ma jeszcze ponad 82 tysiące franków do spłacenia. ●

Żeby nam Mateusz za bardzo nie urósł

Kaczyński może pogodzić się z utratą władzy, ale z utratą partii nigdy

Wielowieyska

Jaka jest prawdziwa geneza niedawnego ostrego konfliktu między premierem Morawieckim a ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem? Czy chodziło tylko o węgiel, czy też jest w tej historii drugie dno? Po rozmowach z osobami znającymi relacje wewnątrz Zjednoczonej Prawicy wyłania się taki oto obraz.

Jarosław Kaczyński zarządza dużym obozem, w którym walczą o wpływ różne frakcje i grupy interesów. Każda chce coś ugrać: posady, pieniądze albo dobre miejsca na liście wyborczej. Im bardziej spadają notowania PiS, tym trudniej utrzymać ten obóz w jedności. Bo gdy władza się zużywa, następuje naturalna dezintegracja: ci, którzy ledwo dostali się do Sejmu w poprzednich wyborach, wiedzą, że tracą szansę na reelekcję, i rozglądają się za nową przystanią lub próbują u schyłku prosperity wygrać, co się da.

Kaczyński musi szukać sposobów na to, by zachować zwartość tego obozu. Udało mu się przywrócić stabilną większość po rewolcie Gowina i kilku innych posłów, ale cały czas stąpa po kruchym lodzie. Jego kluczowym celem jest zachowanie własnej niezachwianej pozycji lidera, który występuje w roli arbitra, i tak sterować życiem partyjnym, aby nikomu nie przyszło do głowy, że to on jest odpowiedzialny za spadające notowania PiS.

Lecz zagrożenie, że jego pozycja będzie podważana, rośnie, bo sondaże wskazują, że PiS po wyborach nie będzie rządzić ani samodzielnie, ani z Konfederacją. Większość – wedle sondaży – miałaby opozycja, nawet gdyby szła do wyborów osobno. A niekorzystny dla PiS trend tylko się utrzyma, bo trudności przed zimą się piętrzą. W takim układzie lider obozu rządzącego zazwyczaj słabnie. Kaczyński musi więc przekierować złość partyjnego aparatu w stronę jakiegoś innego polityka z czołówki PiS. Najlepiej do tego nadaje się Morawiecki.

Prezesa zawsze interesowały książki historyczne poświęcone intrygom na Kremlu za czasów Stalina. Nie chodzi o to, aby porównywać Kaczyńskiego ze Stalinem, bo byłby to szkodliwy absurd. Chodzi o to, że prezes lubi dworskie intrygi, manipulowanie ludźmi, prowokowanie, aby sprawdzić wierność zauszników.

I tak było tym razem. Rząd nie radzi sobie z kryzysem energetycznym. To efekt nie tylko wojny w Ukrainie, ale także zaniechań tej ekipy w ciągu ostatnich siedmiu lat, złych decyzji nominatów PiS w Radzie Polityki Pieniężnej oraz obecnej nieudolności, porównywalnej z akcją kupowania respiratorów w pandemii. Reasumując: statki z węglem miały przypłynąć, ale nie przypłynęły. I nie wiadomo, czy przypłyną, a nawet jeśli, to czy ten węgiel będzie się nadawał do użytku, czy też zalegnie gdzieś na hałdach niczym dostarczone przez

handlarza bronią respiratory w magazynie u komornika.

Cała operacja Kaczyńskiego polegała na tym, aby sprowokować silną rywalizację pomiędzy frakcjami i utwierdzać je w przekonaniu, że każda musi udowodnić, że to nie ona odpowiada za błędy i nieudolność. Skutkiem ubocznym, ale nie najważniejszym, ma być zmobilizowanie ekipy do bardziej skutecznego działania i wykazania się przed Nowogrodzką.

– Czy pani myśli, że Sasin zdecydował się na szarżę przeciwko Morawieckiemu bez zgody i poparcia Kaczyńskiego? – śmieje się mój rozmówca.

Jarosław Kaczyński najpierw napuszcza jednych na drugich. Każda z frakcji jest przekonana, że ma poparcie prezesa, więc tym ostrzej atakują siebie nawzajem i w pewnym momencie przekraczają Rubikon: ich ataki są nieakceptowalne z punktu widzenia interesów całego obozu i wtedy Kaczyński ma wszystkich na widelcu. Możliwe odwołanie każdego gracza z pierwszej ligi PiS pod zarzutem osłabienia rządu oraz szkodenia partii. Opór wobec takiej decyzji jest o wiele słabszy, niż gdyby nastąpiła w warunkach względnego pokoju w obozie rządzącym. Dodatkowym plusem tej operacji jest to, że Zjednoczona Prawica zostaje utwierdzona w przekonaniu, że bez Kaczyńskiego nie przetrwa. Gdy go zabraknie, wszyscy rzucą się sobie do gardeł – i to umacnia jego pozycję.

Zdumiewające jest to, że niektórzy ludzie PiS wciąż są nieświadomi, że są marionetkami w teatrzyku prezesa. Inni z kolei się na to godzą, bo chcą pozostać w głównym nurcie. Najbardziej tragicomiczne było to, że na jednym z posiedzeń władz partii, gdy padło pytanie „kto zamiast Morawieckiego”, sam Kaczyński miał wymienić nazwisko marszałek Sejmu Elżbiety Wi-

tek. Oczywiście wyobraźni widzę, jak prezes z poważną miną rzuca tę propozycję, ale jego cel był jasny: otrzeźwić całe towarzystwo. Nikt nie ma wątpliwości, że Witek z kryzysem węglowym sobie nie poradzi. Gdyby Kaczyński naprawdę rozważał zmianę premiera, prędzej myślałby o prezesie Orlenu Danielu Obajtku, którego ceni za operatywność i sprawczość.

Nowogrodzka nie chce zmiany szefa rządu i o tym pisano wiele razy: konstruktywne wotum nieufności jest ryzykowne, zaczęłyby się targi, bo każdy mały koalicjant zacząłby stawiać warunki. To by była niekończąca się historia. Na pewno osobą, która dość szybko zorientowała się w tej grze prezesa, była Beata Szydło, która publicznie zdystansowała się od całego sporu oraz pomysłów, aby to ona wróciła do rządu.

W efekcie tych starć Kaczyński mniej więcej wie, co się dzieje w partii, gdzie są słabe punkty w poszczególnych frakcjach, bo politycy przychodzą na Nowogrodzką i donoszą, co mają na oponentów. Chętnie prezentują haki, które uzbierali. Część tych haków

Prezesa PiS zawsze interesowały książki historyczne poświęcone intrygom na Kremlu za czasów Stalina

wrzucają do mediów z pomocą wynajętych firm PR czy lobbingsowych, a śledząc poszczególne publikacje, można dość łatwo określić, która frakcja któremu dziennikarzowi sprzedaje swoje skarby. Żeby była jasność – dziennikarze muszą o tym pisać. Taka jest uroda demokracji, że błędy i rozmaite patologie wychodzą na światło dzienne, bo jedni politycy donoszą na drugich. Dzięki temu życie polityczne jest bardziej przejrzyste, a wyborcy mają większą wiedzę o tym, co dzieje się na szczytach władzy.

Prezes PiS prowadzi grę, której celem jest trzymanie Morawieckiego w ryzach. Nowogrodzka nie chce dopuścić, by premier zbudował silny obóz,

który może wymuszać decyzje w PiS. Pamiętam mocarstwowe zapowiedzi niektórych polityków na długo przed wyborami parlamentarnymi w 2019 roku, że grupa Morawieckiego zawałczy o swoich stronników na listach. W przyszłym klubie PiS miała ich być co najmniej setka. Skończyło się na dziesiątce, ale nawet ta liczba nie jest pewna.

Morawiecki wie, że zależy od woli Kaczyńskiego, więc jest skrajnie lojalny i wykonuje wszystkie rozkazy, ale to prezesa nie do końca uspokaja. Warto przypomnieć pewną historię z przeszłości, którą opowiedział „Wyborczej” były premier pierwszego rządu PiS Kazimierz Marcinkiewicz. Niedługo po objęciu rządów PiS miał rekordo-

wą popularność w sondażach. „Dlatego w 2006 roku chcieliśmy doprowadzić do przyspieszonych wyborów. Prezydent Kaczyński miał nie podpisać budżetu i kadencja Sejmu zostałaby skrócona. Przygotowaliśmy podsumowanie stu dni rządu, mieliśmy zaplanowaną kampanię wyborczą zatwierdzoną przez Jarosława. Wszystkie sondaże dawały nam większość w Sejmie bez Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony. Bo chodziło o to, aby rządzić samodzielnie. Dzień przed decyzją o niepodpisaniu budżetu przyszedł do Jarosława Andrzej Urbański i mówi: »Świetny projekt z tymi przyspieszonymi wyborami, tylko powiedz mi, kto będzie twarzą tego zwycięstwa: ty czy Marcinkiewicz?«. I Jarosław uznał, że to jest problem. Bo teraz ma premiera z nadania, a będzie miał premiera, który wygrał wybory. I z dnia na dzień zrezygnował z tego planu”.

I ten sposób myślenia cały czas towarzyszy Kaczyńskiemu, który z jednej strony broni Morawieckiego na wewnętrznych posiedzeniach na Nowogrodzkiej, a z drugiej – dąży do maksymalnego osłabienia szefa rządu. Wywołanie kryzysu wewnątrz obozu rządzącego ułatwiło degradację ważnego człowieka premiera, który kierował jego kancelarią, ministra Michała Dworczyka. Jeżeli teraz okaże się, że następcą Dworczyka ma być skompromitowana postać pokroju Marka Kuchcińskiego, to będzie kolejny etap upokarzania Morawieckiego, któremu nie pozwolono nawet wybrać sobie szefa kancelarii. A przecież był to przywilej każdego premiera.

Przy okazji dymisji Dworczyka przypomniałam sobie wypowiedź prezesa na jednym z posiedzeń władz partii. Otóż Kaczyński na początku afery mailowej kazał współpracownikom nie komentować treści maili i nie odnosić się do tego, co Dworczyk pisał na temat kolegów z partii. – Nawet jeśli przeczytaliście o mnie „ten stary dziad” albo o sobie inne gorsze rzeczy – miał powiedzieć, jak cytuje Onet, Kaczyński. To charakterystyczne, bo prezes PiS uważa, że ekipa Morawieckiego najprawdopodobniej tak myśli o nim w głębi duszy: „stary dziad, odezwany od rzeczywistości”. Otoczenie Morawieckiego nie zgadza się po cichu z wieloma manewrami prezesa, np. uważa, że trzeba jak najszybciej spełnić wszystkie warunki Komisji Europejskiej w sprawie wymiaru sprawiedliwości i odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Jest bowiem oczywiste, że ustępstwa dotyczące praworządności blokuje nie tylko minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, ale i sam naczelnik – jak mówią o liderze członkowie PiS.

Każde działanie prezesa trzeba więc interpretować przede wszystkim w kontekście obrony jego władzy w partii. Kaczyński za pomocą działań prewencyjnych zdusza w zarodku wszelkie koncepcje, które podważałyby jego przywództwo w razie przegranych wyborów. I które mogłyby prowadzić do rozłamu w PiS. Partia to jego życie. Nic oprócz niej nie ma, nie może choćby wyjechać do Brukseli, aby objąć jakieś znaczące stanowisko międzynarodowe. Dlatego może pogodzić się z utratą władzy, ale z utratą partii – nigdy. ●

Dominika Wielowieyska



FOT. MICHAŁ RYŃIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Kadr z „Universal Soldier”, kultowego filmu z lat 90. z Jeanem-Claudem Van Damme’em i Dolphem Lundgrenem

FOT. BE&W



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

MÓZG ŻOŁNIERZA NICZEGO NIE PRZEGAPI

Czy sferyczny receptor z nanorurek perowskitu zastąpi żołnierzowi oko

Z BADACZEM TECHNOLOGII WOJSKOWYCH, PROF. **ŁUKASZEM KAMIEŃSKIM***, ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Człowiek to najbardziej kosztowny element każdej wojny. Czy wielotysięczne dywizje przejdą do historii?

– Na początku zastrzeżenie: analizuję głównie świat amerykański, bo siłą rzeczy obiektem takich rozważań są najbardziej rozwinięte państwa. Od jakiegoś czasu sztuczna inteligencja i neurotechnologie rozwijają Chiny, ale tu mamy problem z dostępem do informacji.

Jeśli ograniczymy się do państw zachodnich, to obserwujemy wyraźny trend – od wojny w Zatoce Perskiej z początku lat 90. żołnierzy na polu walki ubywa. To zasługa rewolucji informacyjnej i systemów komunikacji, które już wtedy pozwalały na zwiad i rozpoznanie na odległość oraz zdalne naprowadzanie pocisków.

Dużą rolę odegrało też zjawisko, które może zabrzmieć szokująco, czyli humanizacja wojny. Nieustannie rozwija się broń niesmiertelna, które przeciwni-

ka unieszkodliwiają, nie zabijają – jak oślepiające bomby świetlne, broń akustyczna powodująca wibrowanie organów wewnętrznych i utratę kontroli nad fizjologią, piany niwelujące tarcie, a tym samym przyczepność pojazdów, lub kleje unieruchamiające sprzęt i ludzi.

W tej humanitaryzacji oczywiście liczy się nie tylko technologia, ale też czynnik kulturowy. Nietolerancja dla ofiar to cecha armii zachodnich, zupełnie nieobecna w armii rosyjskiej.

Raport „Cyborg Soldier 2050” opisujący scenariusze rozwoju amerykańskich sił zbrojnych brzmi miejscami jak powieść s.f. Znajdziemy tam wiele technik wpływania na mózg żołnierza.

– Zainteresowanie neurostymulacją to nic nowego. Przeczaszkowa stymulacja magnetyczna (TMS) pomaga w łagodzeniu objawów PTSD, czyli stresu pourazowego. Urządzenia do stymulacji elektrycznej czy magnetycznej stosuje się w terapii wielu chorób. Niedawno ze względu na epidemię opioidową w USA dopuszczono stymulator wspomagający wychodzenie z nałogu. Pobudzanie mózgu stosuje się w depresji lekoopornej czy chorobie Parkinsona – w tym drugim przypadku mikrobodźce generowane przez wszczepioną elektrodę pobudzają wydzielanie dopaminy.

Mówiąc o USA, często przywołuję słynną DARPA, Agencję ds. Zaawansowanych Obronnych Pro-

jektów Badawczych, która od lat finansuje próby stworzenia wbudowanych w helmy stymulatorów. Już ponad dekadę temu skonstruowano prototyp helmu poprawiającego za pomocą ultradźwięków czujność i sprawność umysłową żołnierza, pomagającego w uśmierzaniu bólu i łagodzeniu stresu.

W tym raporcie naukowcy mieli wskazać te technologie, które mogą zostać realnie zaadaptowane do połowy XXI w. Opisał m.in. egzozoskielet, w którym algorytm nie tylko uczy się indywidualnego stylu poruszania się żołnierza, ale sam uczy żołnierza nowej konfiguracji ruchów. Testy już istniejącego egzozoskieletu Onyx wykazały, że podczas marszu maszyna pozwala zaoszczędzić siły niezbędne do walki, a zaawansowany system monitorowania może przewidzieć ruchy żołnierza. Onyx będzie więc wspomagał skomplikowane czynności, jak obsługa broni czy złożone sekwencje działań w zespole.

Prace nad poprawą słuchu czy wzroku żołnierzy też są zaawansowane?

– Najbardziej zachowawczym i niekontrowersyjnym podejściem byłoby wyostrenie zmysłów. DARPA pracuje nad soczewkami kontaktowymi z wyświetlaczem LED. Aplikacje, przyrządy do nawigacji czy kokpit będą widoczne bezpośrednio przed oczami żołnierza. W 2020 r. firma Mojo Vision zaprezentowała podobny prototyp soczewek z wyświetlaczem przezier-

nym. Oprócz kalendarza znalazła się w nim opcja przemówień – patrzymy na audytorium, ale przed oczami widzimy też tekst notatek.

Kolejny etap będzie miał już bardziej cyborgiczny charakter. Trwają prace nad rozszerzeniem ludzkiego widzenia. Odnajdujemy się w spektrum tzw. światła widzialnego, a to mniej niż jedna dziesięciobilionowa wszystkich fal elektromagnetycznych, które rozciągają się między promieniami gamma a falami długimi. Wiele informacji o otoczeniu pozostaje dla nas niedostępnych.

Zamiast nosić urządzenia, można je zintegrować z ciałem. To pomysł, nad którym bazuje koncepcja „oka cyborga”. Wydaje się, że przełom już nastąpił. Zhiyong Fan z Uniwersytetu Naukowo-Technicznego w Hongkongu zaprojektował implant – sferyczny receptor wykonany z nanorurek perowskitu. Ma sześciokrotnie większą gęstość i czterokrotnie krótszy czas reakcji niż ludzkie komórki fotoreceptorowe. Perowskit można będzie w przyszłości zastąpić materiałami wrażliwymi na pasma spoza spektrum światła widzialnego.

Ekspert nie ma wątpliwości, że pierwszymi kandydatami do implantowania będą osoby mające problemy ze wzrokiem. To samo dotyczy „ucha cyborga” – poszerzenia zakresu słyszanych dźwięków. Odbieranie niskich lub wysokich dźwięków wymaga dużych ingerencji w ucho środkowe, które sprowadzają się do obejścia szlaku

nerwowego biegnącego do mózgu. Na tej zasadzie działa implant ślimakowy. Neurobiolodzy mają pomysł, aby czujniki przesyłały obraz lub dźwięk bezpośrednio do odpowiedniego obszaru w mózgu.

Takie rozwiązania biorą początek w medycynie, bo oficjalnie w USA nie można przeprowadzić eksperymentów nad usprawnianiem ludzi zdrowych. Mamy więc do czynienia z grą pozorów, w której militarne rozwiązania są rozwijane pod przykrywką zastosowań terapeutycznych.

Wiele z potencjalnie użytecznych informacji pobieranych przez mózg nie trafia do naszej świadomości.

– Zmysły *Homo sapiens* wyewoluowały nie po to, by odbierać wszystkie dostępne dane, ale takie, które są najbardziej użyteczne dla życia i przeżycia. Nasz potencjał jest o wiele większy niż to, co się uzewnętrznia. Wykorzystanie neurotechnologii w celu dotarcia do informacji, które mózg zidentyfikował, ale zatrzymał w podświadomości, może być kluczowe w rozpoznawaniu zagrożeń bitewnych.

Naukowcy wpadli na pomysł włamania się do podświadomości. Skonstruowali „lornetkę Luke’a” – która nie ma wiele wspólnego z lornetką, ale nawiązanie do „Gwiezdnych wojen” działa na wyobraźnię – bazującą na fali P300, która pojawia się ok. 300 milisekund po rozpoznaniu bodźca przez mózg. Ta fala występuje, tyl-

ko jeśli mózg zinterpretuje sygnał jako ważny. Zintegrowano kamerę, helm wyposażony w elektroencefalograf, komputer i oprogramowanie do przetwarzania danych wizualnych. System dokonuje pogłębionej analizy tego, co mózg dostrzegł, ale nie przepuścił do świadomości. Urządzenie testowano w różnych warunkach klimatycznych, w Arizonie, Kalifornii i na Hawajach, a wyniki zaskoczyły – trafność wykrywania zagrożeń wyniosła do 91 proc. Po połączeniu z radarowym systemem obserwacyjnym Cerberus Scout wzrosła do niebywałych 100 proc.

Uda nam się pokonać tak odwieczne emocje jak strach?
– Tego pragnęły różne armie na przestrzeni dziejów. Przez całą historię sięgano po substancje psychoaktywne. Od muchomorów spożywanych przez nordyckich berserków, opium u hinduskich radźpútów, dziennych racji wódki przysługujących rosyjskim żołnierzom od XVIII w., po amfetaminę przydzielaną Amerykanom i Brytyjczykom w trakcie II wojny i dektroamfetaminę, którą stosowali amerykańscy żołnierze w Wietnamie.

Sklonności do zabijania nie mamy w genach, a strach jest naturalną reakcją na zagrożenia. Z pola bitwy pod Gettysburgiem – najkrwawszego starcia wojny secesyjnej – zebrano 27 574 muszkiety. Blisko 90 proc. było naładowanych, a 12 tys. załadowano kilkakrotnie, bez wyczerzenia poprzedniego ładunku.

Obecne prace z zakresu neuronauki dowodzą, że za pomocą przeczaszkowej stymulacji mózgu można zmniejszać odczuwany strach, a więc potencjalnie zwiększać odwagę.

Ale żołnierz, któremu wyłączy my strach i empatię, wcale nie musi być żołnierzem idealnym.
– Strach i empatia mają dużą wartość ewolucyjną, bo zapewniają przetrwanie, pełnią funkcję ostrzegawczą, zapobiegają działaniom opartym na ryzykownej brawurze. Sama wojna idzie na przekór biologii – z perspektywy jednostkowego żołnierza stanowi zaprzeczenie instynktu samozachowawczego. Jest przykładem triumfu kultury nad biologią.

Jeśli w celu przezwyciężenia strachu wkroczyłyby farmakoterapia czy neurotechnologie, pojawiłoby się ryzyko wpływania na istotę człowieczeństwa. Żołnierz, który nie czuje strachu, a więc nie boi się udziału w walce i nie odczuwa konsekwencji w postaci PTSD, może stracić hamulce. Można się obawiać, że zostałby przekształcony w osobowość psychopatyczną. A to najgorsza rzecz, jaka może spotkać siły zbrojne. Psychopaci w szeregach to zagrożenie nie tylko dla ludności, ale także współtowarzyszy.

Gdzie leży granica wpływania na żołnierzy?
– Zważywszy, że żadne z mocarstw nie może sobie pozwolić na pozostanie w tyle, obawiam się, że taka granica nie istnieje.

Dopełnieniem cyborgizacji będzie pełna kompatybilność człowieka i technologii?
– Pełna kompatybilność to zatarcie granicy między tym, co organiczne, i tym, co syntetyczne.

W pierwszym etapie to usunięcie naturalnej bariery obronnej przed ciałem obcym, np. wszczepami. W wypadku mięśni czy skóry chodzi o proces bliznowacenia, w przypadku mózgu – glejozy. Każdy wszczepiony implant obrasta tkanką i staje się po jakimś czasie bezużyteczny. To największe wyzwanie, przed jakim stoją twórcy implantów mózgowych – pięć lat działania wszczepu to dobry wynik. Z czasem powstająca bariera coraz bardziej utrudnia rejestrowanie sygnałów i wysyłanie impulsów. Trwają prace nad wydłużeniem żywotności implantów. Na MIT opracowano implant wykonany z przewodzącego polimeru. Inne grupy badawcze opracowują wszczepy pokryte cienką biokompatybilną powłoką.

Drugi etap to realna fuzja. Technologia cyborgiczna to taka, która przestaje być protezą czy przedłużeniem ciała, a zostaje z nim bezpośrednio zintegrowana. Prawdziwa hybryda człowieka i maszyny oznacza zmianę postrzegania świata i sposobu bycia w nim.

Elon Musk twierdzi, że symbioza człowieka i sztucznej inteligencji jest nieunikniona – inaczej nie wykorzystamy jej potencjału, a ona może nam wręcz zacząć zagrażać. Stąd projekt Neuralink.
– Algorytmy uczenia maszynowego, które nazywamy sztuczną inteligencją, znacznie przewyższają możliwości człowieka i zostawiają go pod pewnymi względami, zwłaszcza szybkości i ilości przetwarzanych danych, daleko w tyle. Logicznym rozwiązaniem byłoby pozbycie się człowieka, ale w kontekście wojny to byłoby ryzykowne.

Amerykanie jako rozwiązanie wskazują właśnie wzmacnianie naturalnych możliwości człowieka. Upgradowanie jego zdolności, aby mógł nadążać za zadaniami realizowanymi przez AI i potrafił z nią współpracować. Musk zakłada, że obok głównych systemów mózgowych – gadziego, ssaczego i korowego – w czasie mogłaby się znaleźć kolejna warstwa, w której rezydowałaby cyfrowa superinteligencja. Za pomocą implantowego nadajnika-odbiornika łączącego myśli i świadomość z elektroniką człowiek mógłby korzystać z mocy obliczeniowych komputerów, pobierać informacje z sieci, przysyłać dane i korzystać z dowolnych inteligentnych algorytmów.

AI będzie też podejmować decyzje. Co jeśli autonomiczny dron przyszłości zabije cywilów? Kto za to odpowie?

– Żadne państwo nie dopuszcza stosowania dronów zabójców podczas konfliktów zbrojnych, ale to tylko kwestia czasu. Nietrudno sobie wyobrazić, że po takie drony sięgną Chiny lub Rosja, a wtedy Amerykanie będą musieli szybko zrewidować własne podejście.

Regulacje prawne jeszcze nie istnieją, ale odpowiedzialność powinna być wpisana w łańcuch dowodzenia. Ktoś przecież wyda rozkaz.

Najgroźniejszy wydaje się brak kontroli. Big data zbiera dane, algorytmy podejmują decyzję. Ale nie wiemy, na jakiej zasadzie, bo są samouczące się.
– To prawda, twórcy algorytmów coraz częściej nie wiedzą ani co, ani jak „wie” oprogramowanie, ani w jaki sposób się uczy, rozwija i udoskonala. To zjawisko nazywa się „black box”. Nie tak dawno algorytm Google’a sam stworzył

**Za pomocą
przeczaszkowej
stymulacji mózgu
można zmniejszać
odczuwany strach,
a więc potencjalnie
zwiększać odwagę**

nowy algorytm, a programiści nie wiedzieli, w jaki dokładnie sposób on działa. Na szczęście wydaje się, że czarne scenariusze jeszcze długo się nie ziszczą. Sztuczna inteligencja pozostaje ograniczona do wąskiej grupy wyspecjalizowanych zadań, jak namierzanie celu czy rozpoznawanie obiektów.

Jestem sceptyczny co do możliwości wyłonienia się superinteligencji, a tym bardziej sztucznej świadomości. Przekonuje mnie stanowisko wybitnego badacza mózgu Antónia Damásia, który uważa, że prawarunkiem rozwoju świadomości jest odczuwanie. Do momentu, kiedy maszyny nie będą w stanie kontrolować i regulować swoich stanów, nie ma szans, aby wyłoniła się syntetyczna świadomość.

Ale samodzielne algorytmy to niejedyne rozwiązanie, nad którym możemy stracić kontrolę. Idea roju dronów też niepokoi.
– Rojenie, swarming, to proces, w którym poszczególne jednostki

– zwykle owady społeczne – wchodzą w interakcje i współpracują według prostych reguł. W rezultacie zaczynają się zachowywać jak duży, zdecentralizowany system, a ich wzajemne oddziaływania mogą zapoczątkować coś większego. Takie interakcje prowadzą do wyłonienia się „inteligentnego” zachowania całej grupy. Stąd określenie „inteligencja roju”.

Inżynierowie zaobserwowali, że z samych interakcji pomiędzy poruszającymi się małymi maszynami zaczyna się wyłaniać pewne uporządkowanie i reguły. Tak zrodził się pomysł, żeby coś podobnego jak u mrówek czy pszczół spróbować osiągnąć w grupie bezzalógowców. I chodzi o roje nie kilku, ale setek dronów. Amerykanie testują to w ramach projektu Grem-lins: z pokładu samolotu matki startuje kilkadziesiąt dronów z misją rozpoznawczą, a ich organizacja ma wyłonić się sama, z interakcji między nimi. Jeśli zostanie wyeliminowana pojedyncza maszyna, jej miejsce i funkcję automatycznie zajmuje inny pojazd.

Od wojny w Zatoce Perskiej liczy się nie ilość uzbrojenia czy żołnierzy, ale jakość, lecz wraz z rojami do myślenia o operacjach militarnych powraca masa. I faktycznie to trochę dystopijne rozwiązanie, bo jeśli rój zaczyna działać autonomicznie, nie jesteśmy w stanie w pełni przewidzieć, co może się z niego wyłonić.

Wojny ze swej natury nie są przewidywalne i pełne prawdziwości.

– Już Clausewitz w klasycznym dziele „O wojnie” stwierdził, że „wojna jest dziedziną przypadku”. Rzeczywistość boleśnie weryfikuje nawet najdoskonalsze plany taktyczne. Clausewitzowska „mgła” to wszystkie czynniki, których nie sposób przewidzieć ani kontrolować. Amerykanie, którzy rozwiązanie niemal każdego problemu sprowadzają do technologii, od lat dążą do rozwiania „mgły”. Chcieliby, aby wojna stała się w pełni przewidywalna. Liczyli, że uda się dzięki rewolucji informacyjnej – zbieraniu i szybkiemu przetwarzaniu i przesyłaniu danych. Ale wpadli w pułapkę – jak analizować tak olbrzymie zbiory danych.

A nowe rozwiązania generują nieprzewidywalne nowe słabości. Jeden dron rozpoznawczy Global Hawk, który utrzymuje się w powietrzu całą dobę, przesyła obrazy w czasie rzeczywistym, ale potrzebuje pięć razy więcej częstotliwości, niż miały do dyspozycji całe amerykańskie siły zbrojne podczas wojny w Zatoce Perskiej. Co więcej, cyberrozwiązania są podatne na ataki hakerskie. Eliminując przypadkowość w jednej dziedzinie, tworzymy kolejne źródła niepewności, i tak bez końca. Sztuczną inteligencję także oblepi „mgła”.

Nowe technologie nie wygrają wojen, a pan w książce podkreśla, że mogą również nie być tak pomocne na polu bitwy, jak oczekujemy.
– Historia amerykańskich operacji militarnych jest najlepszym dowodem. Trudno bezsprzecznie wskazać wojnę, którą Amerykanie wygrali strategicznie po 1945 r. Dobrym przykładem ich obsesji na punkcie technologizacji wojny był Wietnam: jeśli nie jesteśmy w stanie zwyciężyć, rzućmy więcej sprzętu, nowego i lepszego. Po-

dobnie było w Iraku, Afganistanie, Syrii. Ale już Napoleon mawiał, że czynnik ludzki ma się do materialnego jak trzy do jednego. Jeśli żołnierzom brakuje ducha walki, motywacji i wiary w sens działań, to nawet najlepiej uzbrojona armia jest skazana na porażkę. Zwłaszcza jeśli druga strona stosuje metody walki asymetrycznej, partyzantkiej, po które często sięgają przeciwnicy Zachodu, od Wietkongu po dżihadystów. Czy autonomiczne drony będą umiały lepiej niż ludzie odróżniać bojowników od cywilów?

Pańska nowa książka nosi tytuł „Mimowolne cyborgi”. Bo nie dość, że takie zmiany są nieuniknione, to jeszcze żołnierze mogą nie mieć prawa do odmowy poddania się modyfikacjom?
– Nawet jeśli żołnierz ma formalne prawo wyboru, to w praktyce różnie to wygląda. Może odmówić przyjmowania leków, które nie są dopuszczone do obrotu, ale musi brać pod uwagę oczekiwania dowództwa i presję grupową. Odmowa może oznaczać przyblokowanie awansu lub odsunięcie od ważniejszych misji.

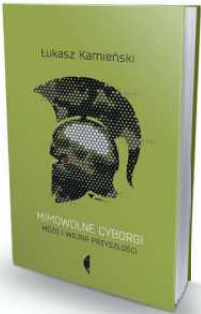
A w przypadku armii zawodowej w pewnych sytuacjach, argumentując względami bezpieczeństwa czy potrzebami strategicznymi, Departament Obrony może wymusić stosowanie pewnych leków lub interwencji medycznych. Znów kłania się wojna w Zatoce, przed którą Pentagon uzyskał klauzulę znoszącą obowiązek uzyskania od żołnierzy świadomej zgody na ordynowanie im eksperymentalnych leków. I przed operacją „Pustynna burza” 300 tys. członków personelu wojskowego podano tabletki bromku piry-dostygminy, 8 tys. – środki przeciwko jadowi kielbasianemu, a co najmniej 150 tys. osób otrzymało szczepionkę przeciw węglikowi. Z łatwością można sobie wyobrazić próby zawieszenia obowiązku świadomej zgody na cyborgiczne udoskonalenia. Pamiętamy panikę i nastroje, jakie zapanowały po atakach 11 września. W sytuacji stanu nadzwyczajnego przestają obowiązywać reguły. ●



FOT. MICHAŁ ZIELIŃSKI

*Łukasz Kamiński

• profesor UJ, specjalizuje się w przyszłości wojny i nowych technologiach militarnych. Jego książka „Mimowolne cyborgi. Mózg i wojna przyszłości” ukazała się nakładem wydawnictwa Czarne.



MARZY MI SIĘ ŚWIAT BEZ KOPYRAJTU

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



W poezji problem Boga jest problemem języka.

Z JERZYM JARNIEWICZEM,
LAUREATEM NAGRODY NIKE,
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Gdy rozmawiamy, nie minęła jeszcze doba od ogłoszenia werdyktu kapituły Nike. Jak się czujesz?

– Zmęczony. To była krótka noc. Zaskoczony jestem tak pozytywnym przyjęciem tego werdyktu, dostałem ze dwa miliony gratulacji, pełnych życzliwości komentarzy, często od ludzi, którzy nie czytali jeszcze mojej książki, a których ucieszyło to, że nagrodzona została poezja. Wspaniale, budujące doświadczenie – ludzie cieszą się z laurów dla wierszy! Szczerze mówiąc, spodziewałem się tu i ówdzie hejtu.

Kto miałby cię hejtować? Wiem, że nie porozmawiamy o nazwiskach, ale nie ukrywajmy – środowisko literackie, a poetyckie chyba zwłaszcza, to nie są tylko grzeczne misie.

– I dobrze, nie wytrzymałybyśmy długo w grzecznym towarzystwie. Nie dziwi mnie, że literatura, a zwłaszcza poezja, budzi emocje. Że ktoś, postać zresztą publicznie znana, napisał pod wierszem z nagrodzonej książki autorytatywnie: „Słabe”, in-

ny komentator podzielił się swoją wiedzą: „Dostał swój od swoich za swoje”, czy ważny tygodnik zachował znaczący dystans w komunikacie o nagrodzie. Bo jest poezja, którą lubimy, i poezja, której nie lubimy i lubić nie będziemy.

Rozumiem też, że decyzja o przyznaniu nagrody za „Mondo cane” może być dla niektórych niezrozumiała, gdy od lat mówi się, że Nike powinna ograniczyć się do powieści i stać się polskim odpowiednikiem Bookera. Dyskusja, która wybuchła po nagrodzie dla Bronki Nowickiej za tom prozy poetyckiej „Nakarmić kamień”, bardzo dobitnie ujawniła te oczekiwania, zupełnie niezależnie od tego, jak kto oceniał jej książkę. Poezja to niebezpieczna branża. Wychodząc z gali, miałem ochotę zapytać organizatorów, czy wraz ze statuetką dostanę jakiegoś bodyguarda.

To, że nagroda i werdykt mogą budzić emocje, to oczywiste, a dlaczego poezja?

– Bo w poezji nie ma zmiłuj. Poezja dla wielu jest światopoglądem, wręcz religią. Ktoś, kto proponuje inną poetykę, gryzącą się z naszym rozumieniem wiersza, staje się w naszych oczach heretykiem. No, może za mocno powiedziane: znika z naszych oczu, staje się człowiekiem niewidzialnym. Moja książka, jedyny tom wierszy w finale nagrody, wzięła na siebie mimowolnie ciężar reprezentowania całego gatunku, a jest to, było nie było, uzurpacja. Bo niby czemu

ja, a nie pięć innych – lepszych, bardziej cenionych, bardziej znanych – książek?

Środowisko poetyckie, żywe i fascynujące różnorodne, jest podzielone – istnieje w kręgach, które się wzajemnie uważają. Mogę podkręcić tę wypowiedź: dogmatyzm, związany z taką czy inną wizją poezji, ma się, dziękuję, doskonale.

Jakie to kręgi?

– Trudno je precyzyjnie scharakteryzować. Kilka lat temu byliśmy świadkami starcia zwolenników poezji zrozumiałej i tych, którzy w niezrozumiałości widzą walor. Cenią opór, który poezja stawia czytelnikowi, przypominają, że język bywa nieprzezroczysty, kieruje się nieoczywistą logiką, a jego znaczenia są często nieuchwytnie.

Toczy się też spór między tymi, którzy – jakkolwiek anachronicznie to brzmi – w poecie widzą kapłana, a w wierszu modlitwę, a tymi, którzy uwagę darzą konkret, codzienność czy cielesność. Bywają wiersze, dla których metafizyczna aspiracja ma być dowodem ich wartości: że niby im więcej metafizyki, tym wiersz lepszy. To droga na skróty, ale i na manowce. Jeśli walo-rem wiersza ma być siła jego filozoficznego rozbijania, a jego język ma grać rolę podporządkowanego ideom narzędzia, to często wiersz taki kończy jako parada frazesów i ogólników. W poezji problem Boga jest problemem języka.

Przepraszam za banal, ale poezja jest sztuką słowa, tak jak muzyka jest sztuką

dźwięku, a taniec sztuką ciała. Poezji nie tworzy się z idei ani z emocji, ale ze słów. Stéphane Mallarmé, zapytany przez czytelnika: „czy naprawdę, mistrzu, nigdy nie płaczesz w wierszu?”, odpowiedział krótko: „ani nie smakam”. To może apokryf, ale jakże celny.

Czy któreś z tych podziałów są podziałami pokoleniowymi?

– Można mówić o pewnych pokoleniowych skłonnościach. Przez długie lata ważna była poezja nazywana nieco prześmiewczo „etosiarską”, poezja obywatelskiego obowiązku. Bliska pokoleniom Miłosza i Herberta, z pewnością też Nowej Fali, ale obca „pokoleniu bruLionu” i temu, które przyszło po nim. O żadnym z młodszych poetów nie można by dziś serio napisać tego, co jeszcze w 1999 roku napisali o Herbercie jego amerykańscy wydawcy: że był „duchowym przywódcą”.

Spory, które się toczą wśród poetów, przebiegają w bardzo emocjonalnym klimacie. Widzę coraz większe zatamizowanie środowiska, napięcia są dziś jednak już nie tyle międzypokoleniowe, ile w obrębie jednej czy kilku generacji. To nie powód do smutku, przeciwnie, to dowód, że poezja ludzi z nią związanych naprawdę obchodzi. Poetry matters.

Takich sporów prozaicy raczej nie prowadzą. Tu podziały są bardziej rynkowe. Czynnikiem odróżniającym świat po-

etów od prozaików jest też zasięg oddziaływania.

– Podczas gali Nike powiedziałem, że czytelników poezji jest tyłu, ilu Spartan poległych pod Termopilami. Tak, poezja jest niszowa, ale sądzę, że ta niszowość jest tak-że jej błogosławieństwem. To, że czyta ją „trzystu poległych”, ocala ją przed czymś, co jest oczywistym zagrożeniem dla autonomii kultury. To znaczy przed presją rynku, kapitału, mediów, polityki. Bo jeżeli coś ma trzystu czytelników, to jaki kapitał będzie się tym interesował? Jaki sektor rynku będzie chciał to przejąć? Która z partii politycznych będzie próbowała poetów skaperować? Jakie media będą miały interes w tym, by zrobić z nich sezonowe gwiazdy? Dzięki swojej niszowości poezja jest nadal najbardziej suwerennym obszarem w literaturze. Proszę nie wierzyć mi na słowo, proszę poezji spróbować.

Poeci niekiedy domagają się traktowania ich twórczości jak normalnej pracy, usługowej czy wytwórczej, domagają się za nią wynagrodzenia, jakie dostaje każdy pracownik. Pisanie wierszy, mówią, jest taką samą pracą, wymagającą takiego samego wysiłku, jak praca dziennikarza telewizyjnego, adwokata czy programisty. Tymczasem za wiersze dostaje się grosze albo nic się nie dostaje. Ba, bywa, że poeci za wydanie swojej książki muszą sami płacić, sami znajdować dofinansowanie na jej publikację.

Jeśli jednak pójdziemy krok dalej i uznamy poezję za towar, a pisanie wierszy za pracę, czyli ją urynkowimy, poeci i poetki

dyskusje. Gdynia z kolei często wyszukuje to, co nie przebiło się jeszcze do powszechnej świadomości czytelniczej, co istnieje na peryferiach i nie boi się ryzyka. Myślę, że Gdynia i Nike nie wchodzą sobie w paradę. I niech tak pozostanie.

Najmłodsze pokolenie krytykuje przemocowy charakter nagród, ustawienie autorek i autorów w konkurencji, przeciwko sobie. Ale też przepaść pomiędzy nagrodą dla zwycięzcy, a – jak w Nike – brakiem pieniędzy dla pozostałych nominowanych. W rozmowie na żywo tuż po gali Nike powiedziałeś, że jesteś przeciwko rywalizacji.

– Nagrody to wyścig po trofeum. Odbywa się, twierdzą ich krytycy, kosztem tych, którzy go nie dostają. Jako organizatorzy nagród staramy się nie używać słów „prze-grani”, „wygrani”, próbujemy, z różnym skutkiem, łagodzić element rywalizacji, ale nie da się ukryć, że pewna, jak ją nazwałeś, przemocowość istnieje. Rozwiązań jest kilka. Przede wszystkim dywersyfikacja. Cemu czasopisma literackie, wokół których skupiają się środowiska twórcze, nie przyznają swoich nagród, promując w ten sposób ten typ literatury, za którym stoją? Wyobrażam sobie, że autorzy nominowani przez kapitułę reprezentującą najbliższe im ideowo i artystycznie pismo, będą czuć się jak u siebie w domu, bez względu na to, czy w końcu dostaną laury, czy zadowolą się samą nominacją. Można też zrezygnować z nominacji i tak jak jest w Noblu, ujawniać nazwisko tylko laureata. A może

O żadnym z młodszych poetów nie można by dziś serio napisać tego, co jeszcze w 1999 roku napisali o Herbercie jego amerykańscy wydawcy: że był „duchowym przywódcą”

będą musieli poddać się rynkowej weryfikacji, a wtedy kto wie, czy zamiast dwustu książek poetyckich wydawanych corocznie w Polsce nie będzie się ukazywać jedynie jedna dziesiąta tej liczby. A do tego, będzie to poezja najłatwiej przyswajalna, niegroźna, konfekcyjna – guma do żucia, nie do nakarmienia, a do wypłucia. Póki poezję pisze się, jak kiedyś uprawiano naukę: nie dla marnego grosza, póki pozostaje niszową twórczością, póty będzie ona domem na wolności.

Pozostaniemy przy analizie zatem – bądź co bądź – rynkowej. Jesteś w kapitule Nagrody Gdynia, a od dawna trwa, dość momentami ostra, dyskusja w internecie, w której Nike przeciwstawiana jest Gdyni. I teraz nagroda za „Mondo cane” może być dla niektórych chichotem losu.

– Jaki to chichot i jaki los? Różnice między nagrodami są i nagrodom, i nam, czytelnikom, potrzebne. Sens istnienia wielu nagród literackich widzę w tym, że reprezentują różne sposoby rozumienia literatury, różne wyobrażenia o wspieraniu twórców czy popularyzacji czytelnictwa. Nike ma wielu zwolenników, w końcu jest najbardziej znaną nagrodą w Polsce. Od lat śledzą ją tysiące osób, głosują, uczestniczą w debatach, kibicują swoim autorom. Nike to w dużej mierze nagroda wydarzeń literackich, ważnych społecznie i politycznie książek, wokół których toczyły się medialne

warto by przemyśleć samą kwestię gratyfikacji finansowych – czy wszystkie nagrody muszą być pieniężne? Niech zostanie prestiż bez pieniędzy.

Tylko wtedy byśmy potrzebowali systemu stypendialnego.

– Zgoda, ale czy stypendia nie są nagrodami? Zbiera się, jak w przypadku nagród, jakieś gremium, nierzadko anonimowe, i z wielu aplikacji wylania „zwycięzcę”, nagradzając go finansowo. Reszta odchodzi z kwitkiem, nawet bez pamiątkowego dyplomu czy pióra.

Nagrody są niedoskonałe, czy z tego powodu trzeba z nich zrezygnować? Wolałbym rozmawiać o poprawie ich systemu. Takie rozmowy zresztą się toczą.

Ważniejsze jednak wydaje mi się coś innego, o czym chciałbym tu wspomnieć, lekko tylko wekslując temat. Doceniam wszystkich, którzy walczą dziś o godziwe stawki dla twórców i o ochronę praw autorskich, ale marzy mi się świat bez „kopyrajtów”. Świat, w którym dobra kultury, tak jak opieka zdrowotna i edukacja, będą powszechnie dostępne i bezpłatne. Pod jednym warunkiem, by nie działo się to kosztem twórców. Nie wiem, jak to zrobić, ale wyobrażam sobie, że taki świat jest możliwy. Imagine! ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Świat według Kiepskich” Jakuba Jabłonki i Pawła Łęczuka



„Świat według Kiepskich” gości w naszych domach od ponad 23 lat i stał się ponadczasową satyrą obśmiewającą wady Polaków. Ta książka to bogato ilustrowany przewodnik po niezapomnianych scenach, kwestiach i absurdalnych konfliktach, które były udziałem bohaterów tego serialu. Kto stworzył postaci tak głupie, że aż mądre? Z jakimi reakcjami musieli sobie radzić twórcy po emisji pierwszych odcinków?

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Świat według Kiepskich” Jakuba Jabłonki i Pawła Łęczuka oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

SWK22JJ

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywować dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Tekst o pochodzeniu Henryka Wieniawskiego trzeba zacząć od dygresji. W 1817 r., a więc 18 lat przed przyjściem na świat słynnego skrzypka, ukazała się w Warszawie anonimowa broszurka zatytułowana „Sposób na Żydów”. Nieznany autor wyrażał w niej przekonanie, że „Żydów asymilować się nie da”, i proponował własne rozwiązanie – „jedyne do wykonania podobne”: „przymusową emigracją” wszystkich starozakonnych i asymilowanych z Polski. Miał nawet szczegółowo opracowany plan ich wymarszu w „trzystu kolumnach po tysiąc ludzi”, miał tempo i czas marszruty, który oszacował na osiem miesięcy, oraz logistykę wyprawy, w tym zaopatrzenie w żywność, oczywiście na koszt wychodźców. Autor wyrażał nadzieję, że budżet tej operacji pokryje car Rosji i to on wyznaczy wygnanym – „na prośby narodu polskiego” – miejsce w granicach swego olbrzymiego państwa. Marian Brandys w książce „Koniec świata szwależerów” podejrzewał, że anonimowym prekursorem hasła „Żydzi na Madagaskar” był generał Wincenty Krasiński, magnat, pan na Opinogórze, ojciec poety Zygmunta, żołnierz Napoleona, a później wierny sługa cara, znany ze swoich antysemickich przekonań.

CUDOWNE DZIECKO

Gdyby życzenie anonimowego publicysty się spełniło i cały „obcy żywioł” wyszedł z Polin, nie byłoby Henryka Wieniawskiego. Co za ironia. Uważany jest przecież za jednego z największych rodzimych muzyków, takiego, o którym pisze się „Polak potrafi” albo „Dobre, bo polskie”. Może nie tej miary kompozytor, co Chopin czy nawet Moniuszko, ale przecież sławny wirtuoz i twórca wielu pięknych utworów skrzypcowych.

Nie byłoby też jego brata Józefa, pianisty, z którym koncertował po Europie i Rosji, działacza zasłużonego dla krajowego życia muzycznego. Ani córki wirtuoza Ireny, kompozytorki, która podpisywała się pseudonimem Poldowski. Ani sfrancuziałego wuja Edwarda Wolffa czy matki Henryka Reginy, utalentowanej pianistki. To ona wysłała nieprzeciętnie utalentowanego syna do Paryża na naukę i prowadziła tam salon muzyczny, aby paryski monde mógł docenić jej cudowne dziecko. Tam małego Henryka słuchał też Adam Mickiewicz, nieszczęśliwy w znienawidzonym mieście miał podobno płakać ze wzruszenia. Tak przynajmniej twierdzi jeden ze starych biografów Wieniawskiego, Edmund Grabkowski.

Nie byłoby Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, który od roku 1935 (pierwsza edycja odbyła się w Warszawie) przypomina muzycznemu światu o słynnym niegdyś późnoromantycznym wirtuozie z Polski. Ostatni konkurs odbył się sześć lat temu, od tego czasu świat bardzo przyspieszył, dziś nawet Polakom trzeba przypominać, kim był Wieniawski.

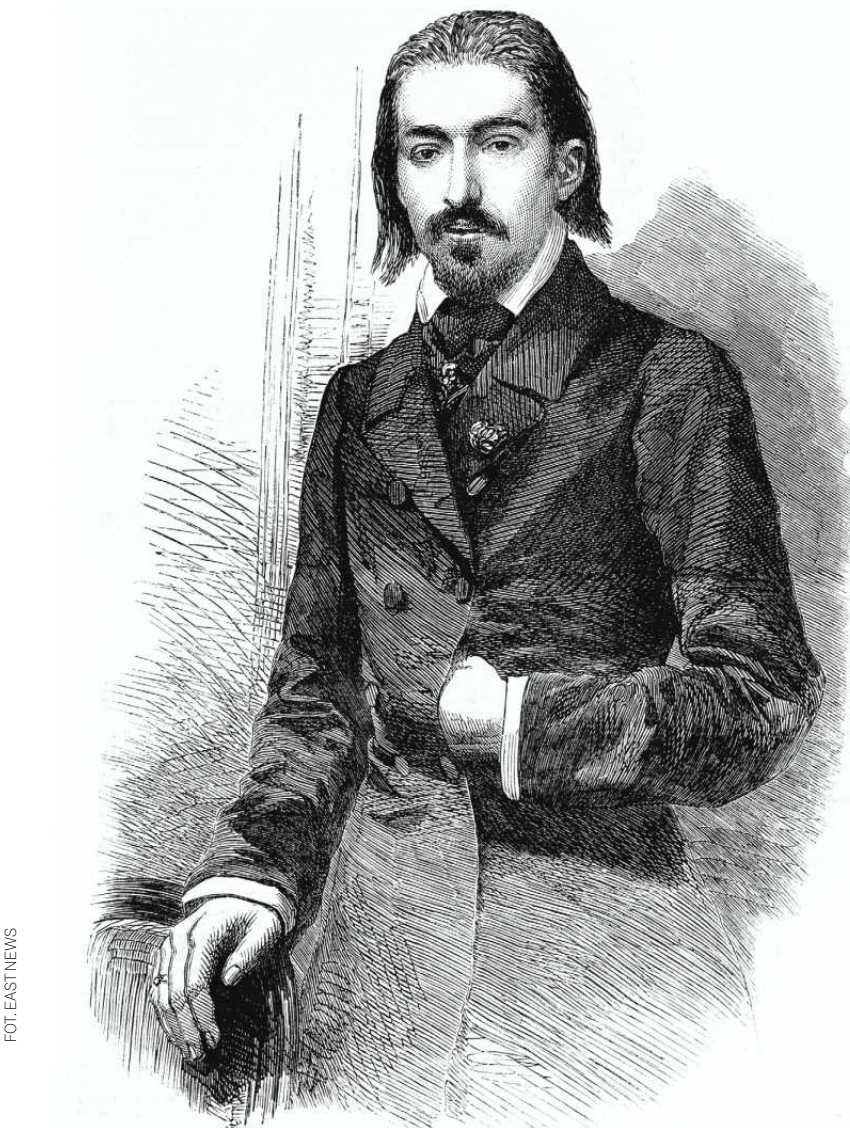
Otóż był to człowiek, którego wszyscy kochali, obojętnie, czy grał w Rosji, Niemczech, Paryżu, Londynie, Ameryce. „Czarodziej, który ożywiał wszystko, czego dotknął”, „ciągle w podróży”, na którego koncerty „publiczność czekała z niecierpliwością”, a prasa opisywała pieczołowicie. „Żaden skrzypek nie może się równać z Wieniawskim. Od czasów Paganiniego nie pojawił się wirtuoz tej rangi” – napisano w brukselskiej gazecie „L'Indépendance”. Był cudownym dzieckiem, co przytomnie doceniono w Paryżu. Miał zaledwie osiem lat, gdy dostał się do tamtejszego konserwatorium. I to wbrew zasadom, że nie przyjmuje się młodszych niż lat 12. Od tej zasady nie odstąpiono nawet dla słynnego młodocianego geniusza fortepianu Franciszka Liszta.

Prywatnie pewny siebie, porywczy, ambitny, dla rywali niebezpieczny – człowiek z ogniem w sercu, co było słychać w jego grze („płomień”, „żar”, „wulkan”, „furia”). Nagrań żadnych niestety nie ma – zmarł

JAK ŻYDA W WIENIAWSKIM ZACIERANO

**Nie wydaje się, aby pochłonięty muzyką i sławą
Henryk miał jakieś trudności z powodu asymilacji.
Był zawsze noszony na rękach przez „fanów”**

Anna S. Dębowska



FOT. EAST NEWS

w 1880 r. w wieku niespełna 45 lat, a dopiero siedem lat później Emil Berliner skonstruował gramofon. Był zdolnym kompozytorem, miał dar pisania pięknych, pozostających w pamięci melodii. To słychać w koncertach skrzypcowych, tematach zadzierzastyh polonezów, słynnej „Legendzie” opartej na rzewnej nucie kujawiaka. Całe życie spędził za granicą, ożenił się z Angielką Izabelą Hampton, uczył w Brukseli, grał w Rosji, gdzie na fali uwielbienia sprezentowano mu skrzypce Stradivariusa (takich stradivariusów i innych beczennych skrzypiec do dziś noszących przydomek „Wieniawski” miał mnóstwo). Monarchowie z entuzjazmem ściskali jego prawicę. Zarabiał krocie. A jednak zmarł w domu ubogich, schorowany i niezdolny już do koncertowania. Pochowano go na warszawskich Powązkach – w pogrzebie uczestniczyło 40 tys. osób.

Dowcipny: „Kiedyś byłem szczupły i interesujący, teraz jestem otyły i interesowny”. W sumie o jego życiu nie wiadomo zbyt wiele, o poglądach także – nie pisał wspomnień i pamiętników. Jego wypowiedzi zna-

ne są z drugiej ręki (podobno był gawędziarzem), choć zachowała się obfita korespondencja z bratem Józefem Wieniawskim. Nie ma w niej wzmianek na temat pochodzenia rodziców. To samo w książkach o Henryku. Więcej tam przemilczeń niż faktów.

Dopiero w 2002 r. powstał pierwszy źródłowy materiał o żydowskim rodowodzie wirtuoza. W lubelskim piśmie kulturalnym „Akcent” muzykolog Ludwik Gawroński napisał „Sagę rodu Wieniawskich”, opierając się na wiarygodnych przekazach epoki, jak wycinki prasowe, księgi parafialne i archiwa akt. Nikt jednak tego tropu nie podjął.

A wcześniej? Po tym zagadnieniu prześlizgują się niemal wszyscy biografowie. Józef Reiss, autor napisanej jeszcze przed wojną, a po wojnie wielokrotnie wznowianej wielkiej monografii Wieniawskiego, poświęca temu tematowi trzy stroniczki. Na podstawie pamiętnika starszego brata skrzypka, Juliana Wieniawskiego (Henryk miał ich czterech), pisze o cieple domu rodzinnego w Lublinie, muzycznych zainteresowaniach rodziców i patriotycznych wartościach prze-

kazywanych synom przez ojca, lekarza Tadeusza Wieniawskiego, uczestnika powstania listopadowego. Patriotyzm Tadeusza Wieniawskiego jest faktem, ale jego żydowskie pochodzenie też. A o nim Reiss nie wspomniał, czy to z niewiedzy, czy to uznając, że nie pasuje do wizerunku.

Jedynie mimochodem wspomniał o paryskim wuju Henryka Edwardzie Wolfie, rodzonym bracie matki – Regina Wieniawska była właśnie z domu Wolff. Jej brat wcześniej wyjechał do Paryża, gdzie robił karierę pianisty i kompozytora zaprzyjaźnionego z Chopinem. Dochrapał się profesury w Konserwatorium Paryskim. Regina również była utalentowaną pianistką, która jednak w połowie XIX w. miała niewielkie szanse na karierę muzyczną, bo była kobietą.

Innym uznanym biografem Wieniawskiego był Władimir Grigoriew. Jego książkę „Henryk Wieniawski. Życie i twórczość”, pierwotnie wydana w Związku Radzieckim, obfituje w budujące opowieści z życia skrzypka i zabawne anegdoty, np. tę o futrze. Młodziutki Wieniawski koncertuje w głębi Rosji, mróz trzaska, zasłuchana publiczność dostrzega, że chłopiec trzęsie się z zimna, i podsuwa mu futro. Skrzypek się wzbrania, a wtedy na widowni rozlega się pomruk: „Założyć futro”. Co było zrobić?

Biografia Grigoriewa jest ceniona za doświadczenie do rosyjskich źródeł wiedzy o Wieniawskim, które przed wojną były niedostępne dla polskich muzykologów. Z czasów, gdy polski wirtuoz przez wiele lat był nadwornym skrzypkiem cara. Ale i on nie wspomina o rodzinie żydowskich konwertytów.

Dopiero po 1989 r. nastąpiła „odwilż” w tej sprawie. „Pochodzący z rodziny żydowskiej pan Tadeusz”, pisze wtedy o ojcu Henryka Wieniawskiego Edmund Grabkowski, autor, który wiele swoich publikacji poświęcił wielkiemu skrzypkowi.

Czy celowo zatajano niewygodną prawdę? Pytam o to Renatę Suchowiejko, profesor Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorkę książek „Henryk Wieniawski – kompozytor na tle wirtuozowskiej tradycji skrzypcowej XIX wieku” i „Henryk Wieniawski – wirtuoz w świetle XIX-wiecznej prasy”. – Nie wydaje mi się, aby żydowskie pochodzenie wielkiego polskiego skrzypka było problemem dla polskich biografów, raczej nie był to dla nich temat godny uwagi – uważa badaczka. – Ani Grabkowski, ani Grigoriew, ani tym bardziej Reiss nie są wiarygodni, jeśli chodzi o szczegóły biograficzne. W ich pracach jest sporo grząskich miejsc, opowieści na polu zmyślonych, opartych na wątpliwych przesłankach. Takim „pustym polem” jest niewątpliwie wątek żydowski.

OD WOLFA DO TADEUSZA

Pora wreszcie odsłonić karty. Kim byli Wieniawscy z Lublina i Wolffowie z Warszawy, których sławnym potomkiem był Henryk Wieniawski? Jak silna była ich więź z żydowską diasporą na ziemiach polskich?

Zacznijmy od Tadeusza, ojca Henryka Wieniawskiego. Ludwik Gawroński, prekursor źródłowych badań nad pochodzeniem tej rodziny, pisze, że „udokumentowane dzieje rodu rozpoczynają się w końcu XVIII w., kiedy to 11 marca 1798 r. w rodzinie żydowskiego cyrulika Herszka Mayera Helmana i Gitli Aronowicz z żydowskiego rodu Kielmanowiczów przyszedł na świat ich syn Wolf, przyszły lekarz i ojciec Henryka”. Herszek i Gitla mieli jeszcze trzy córki. Ciotki Henryka Wieniawskiego od strony ojca miały na imię Hedera, Dwojra i Cywia.

A więc Wolf Helman. Najpierw zmienił imię i nazwisko, jeszcze jako uczeń IV klasy gimnazjum lubelskiego – początkowo nazywał się Tobiasz Wieniawski. Brzmiące z polską, a nawet ze szlachecką nazwisko wzięło od jurydyki Wieniawa na obrzeżach Lublina. Mieszkał w Wieniawie, więc stał się Wieniawskim. Było to wolne od praw miejskich i sądów przedmieście, własność hrabiego Ksawerego Potockiego, lecz w większo-

ści zamieszkane przez Żydów, ubogich rzemieślników i handlarzy. Sztetl.

Tobiasz chciał być urzędnikiem, ale jego podanie odrzucono ze względów wyznaniowych – wciąż był żydem, a zatem nie miał praw obywatelskich i politycznych. Polscy konserwatyści zablokowali nawet projekt pełnomocnika cara Nowosilcowa, wobec którego byli przecież lojalni – projekt ten dawał wszystkim Żydom prawa cywilne i gospodarcze. Równouprawnienie przyszło dopiero w 1862 r., dzięki ukazowi cara Aleksandra II.

Nie mając perspektyw na karierę urzędniczą, Tobiasz Wieniawski przeniósł się do Warszawy, gdzie podjął studia medyczne na uniwersytecie, które ukończył w 1825, a rok później otrzymał stopień magistra chirurgii.

Ojciec Wieniawskiego miał widać chłonny i żądny wiedzy umysł, skoro po medycynie podjął jeszcze magisterskie studia na Wydziale Filozoficznym. Wtedy też zmienił imię na Tadeusz, wciąż jednak pozostając wyznawcą judaizmu. Zamieszkał na Franciszkańskiej, niedaleko rynku Starej Warszawy, i zaczął leczyć ubogich chorych. Swe usługi ogłaszał w prasie, dzięki czemu badacz Gawroński natknął się na tę informację. Lekarzem był dobrym – wyleczeni pacjenci publikowali w stołecznej prasie podziękowania dla dr. Wieniawskiego za udaną kurację.

Chrzest przyjął w 1828 r., już po powrocie do Lublina. Miał wówczas 29 lat. Być może czekał z tym do śmierci rodziców. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, Tadeusz przyłączył się do walk jako sztabslekarz 4. Pułku Strzelców Pieszych w Warszawie (w powstańczych służbach lekarskich uczestniczyło 43 żydowskich medyków). Dyktator powstania, generał Chłopicki wprowadzie krzywym okiem patrzył na walczących w powstaniu Żydów, zwłaszcza tych starozakonnych, i nie chciał ich przyjmując do Gwardii Narodowej, ale stopniowo ustępował, aby łączyć braki kadrowe.

Wieniawski dostał podziękowanie od dowódcy za to, że pod gradem kul nieustannie „skutecznie dawał pomoc rannym”. Dwukrotnie odznaczono go za odwagę Krzyżem Wojskowym.

Konwersja na chrześcijaństwo wiele razy przydała się dr. Tadeuszowi Wieniawskiemu. Około roku 1858, kiedy rodzina Wieniawskich (już bez Henryka) mieszkała w Szczepieszy, gdzie klepała biedę, ponieważ jaśnie pan Konstanty hrabia Zamoyski raczył był zmniejszyć pensję lekarza naczelnego, którym był Tadeusz Wieniawski, o połowę, a następnie zlikwidował ten etat. Czy zrobił to na złość „przechrzcie” i „mechesowi”? Trudno wyrokować, ale społeczna sytuacja konwertytów nie była łatwa.

Pisze o tym z perspektywy potomka asymilowanej rodziny Jarosław Kurcki, szef „Wyborczej”, w swojej książce „Dziady i dybuki”: „W przypadku mojej babci Teodory dzieło asymilacji zostało uwieńczone sukcesem. Babcia jak golem, ulepiona na Polkę, stała się Polką. A jej brat Ludwik? Ludwik lepić się nie dawał. W wieku 10 lat podczas dramatycznej kłótni z ojcem miał usłyszeć, że jest »nikim«. Nie jest już bowiem Żydem, bo inni Żydzi przestali uważać całą rodzinę, a tym samym i jego, za Żydów. Nie jest Polakiem, bo Polacy nie uważają ich jeszcze za Polaków. Są więc »nikim«, na ziemi niczyjej, pogardzani przez jednych i drugich, a rozumiani i akceptowani tylko przez takich jak on golemów – mechesów, którzy weszli na wąską ścieżkę od żydostwa do polskości”.

Nic nie świadczy, aby Henryk Wieniawski i jego bracia musieli przejść przez tak dramatyczną i wyboistą drogę kształtowania się nowej tożsamości

i aby Henryk pochłonięty muzyką i sławą oglądał się wstecz za siebie. Obracał się w szerokim świecie, był kochany i noszony na rękach przez „fanów”.

Wydaje się jednak, że ojciec rodu Tadeusz musiał się zmagać z różnymi przeciwnościami. Był jednak zaradny. „Za oszczędzony z lepszych czasów kapitalik” dr Wieniawski kupił kawalek ziemi, którą uprawiał, prowadząc równocześnie prywatną praktykę lekarską w Szczepieszy. Gdyby nie konwersja, zgodnie z ówczesnym prawem nie miałby możliwości zakupu ziemi.

Kilka lat później państwo Wieniawscy mogli już przenieść się do Warszawy, rodzinnego miasta Reginy Wolff-Wieniawskiej, i zamieszkać przy Mazowieckiej.

LEKARSKA RODZINA Z WARSZAWY

Teraz Regina. To zupełnie inny świat, świat zmiennej rodziny lekarskiej z Warszawy, z dawną już asymilowanych Żydów, którzy tworzyli elitę kulturalną stolicy. Wśród potomków Wolffów byli nie tylko lekarze, ale również prawnicy i muzycy. Henryk Wieniawski po kądzieli był wnukiem lekarza Józefa Wolffa i Eleonory z domu Östreicher. Prowadzili oni w War-

Nie wiadomo, jak doszło do spotkania Tadeusza Wieniawskiego, syna żydowskiego cyrulika spod Lublina, i Reginy, utalentowanej córki doktorostwa Wolffów z Warszawy

szawie salon muzyczny i organizowali koncerty. Eleonora, babcia Henryka, była pianistką cenioną nawet przez profesjonalnych muzyków i często grywała w zespołach kameralnych. Józef Elsner, nauczyciel Fryderyka Chopina, dedykował jej Kwartet fortepianowy F-dur.

Rodzinie Wolffów przyjrzała się bliżej Halina Goldberg, profesor muzykologii w Indiana University Bloomington, autorka książki „O muzyce w Warszawie Chopina” (pierwsze wydanie „Music in Chopin’s Warsaw”, Oxford University Press). Prowadzenie salonu przez mieszczan i arystokrację, w którym toczyło się życie towarzyskie, było wówczas czymś więcej niż miłym, rozrywkowym spędzaniem wolnego czasu. Wiele salonów miało charakter intelektualny, było też ostoją wolności słowa. Swoje saloniki prowadzili rodzice Chopina – Mikołaj Chopin jako nauczyciel Liceum Warszawskiego należał do elity stolicy. Rola salonów w intelektualnym fermentie stolicy Królestwa Polskiego jest nie do przecenienia. Muzyka miała ważną funkcję w salonach wielkich rodzin żydowskich. „Warszawscy maskilowie [zwolennicy asymilacji i europeizacji Żydów], podobnie jak postępowi Żydzi niemieccy, uważali kultywowanie wyrafinowanego gustu muzycznego za ważny aspekt edukacji, nie tylko jako katalizatora awansu społecznego, ale przede wszystkim dlatego, że pomagał w doskonaleniu impulsu moralnego. Z tego względu nauka muzyki stała się ważnym elementem edukacji dzieci z postępowych rodzin. W salonach wybitnych reformatorów znanych ze

wspierania sztuki – Toeplitzów, Kronenbergów i Rosenów – często odbywały się spotkania muzyczne” – pisze Halina Goldberg. Tak było też u Wolffów. „Żydowska inteligencja warszawska chętnie angażowała się w kulturalne życie miasta, ceniąc muzykę nie tylko jako rozrywkę, ale też sztukę wysoką. Patronat muzyczny pomógł jej budować tożsamość klasy średniej i rozwijać poczucie przynależności do oświeconej elity” – podkreśla profesor Goldberg.

Nic więc dziwnego, że Regina Wolffówna zakochała się w muzyce i miłość do niej przeniosła na synów, w tym szczególnie na to podatnego Henryka. „Zamilowana w muzyce i sama niezwykle muzyczna umiała rozbudzić w nas poczucie piękna. Temu też przypisywać należy fanatyczny pęd moich braci Henryka i Józefa do zawodu artystycznego” – pisał o matce w swoich pamiętnikach Julian Wieniawski.

ŚLUB W KATEDRZE

Nie wiadomo, jak doszło do spotkania Tadeusza Wieniawskiego, syna żydowskiego cyrulika spod Lublina, i Reginy, utalentowanej córki doktorostwa Wolffów z Warszawy. Miłość między nimi musiała być wielka, skoro Regina zdecydowała się zamieszkać w Lublinie, w dodatku wyrzec się wiary przodków i z judaizmu przejść na chrześcijaństwo. Zrobiła to na dzień przed ślubem, który odbył się w archikatedrze Świętego Jana na warszawskiej Starówce, a obecna na nim była jej matka Eleonora Wolff, a więc zamożne doktorostwo najwyraźniej przystało na wybór córki. Henryk był drugim dzieckiem Wieniawskich. Z jego narodzinami wiąże się pewna zagadka. Minęły dwa lata od chwili, gdy przyszedł na świat, a chłopiec nadal nie był ochrzczony. Dlaczego rodzice z tym zwlekali, nie wiadomo. Może wyrzeczenie się dawnej wiary wcale nie przyszło im tak łatwo? Rzecz tym bardziej dziwna, że w tamtych czasach wysokiego pomoru niemowląt chrztów udzielano niemal natchmiast.

Wiary przodków nigdy nie wyrzekł się brat Reginy Edward Wolff, paryżanin z wyboru. Renata Suchowiejko dotarła do informacji o jego ślubie w synagodze. Do końca życia mieszkał we Francji, w której z roku na roku rosły antysemickie nastroje, aż znalazły apogeum w aferze Dreyfusa w roku 1894. Edward zmarł 14 lat wcześniej, kilka miesięcy po śmierci swego słynnego siostrzeńca Henryka. Leży na cmentarzu Montparnasse. Po jego śmierci „Izraelita”, warszawski tygodnik społeczny, literacki i naukowy, napisał: „Zmarły niedawno w Paryżu znakomity muzyk, warszawianin, któremu jedno z codziennych pism tułtejszych, donosząc o jego zgonie, każało żyć i umierać chrześcijaninem – był izraelitą i jako taki umarł. Zgasł był bliskim krewnym mieszkającej w Warszawie poważanej rodziny izraelskiej”. ●

Korzystałam z: Edmund Grabkowski, „Henryk Wieniawski. Anegdota i ciekawostki” (PWM), Renata Suchowiejko „Henryk Wieniawski. Wirtuoz w świetle XIX-wiecznej prasy” (Towarzystwo im. Henryka Wieniawskiego), Halina Goldberg, „Muzyka i żydowscy reformatorzy w XIX-wiecznej Warszawie” („Studia Chopinowskie”)

Od 7 do 21 października odbywa się w Poznaniu 16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



Aleksandra Szytło o wychowankach Ośrodka dla Dzieci Niewidomych w Laskach

DOSTAŁEŚ JUŻ LANIE?

1 PRZEZ ŁASKI DO NIEBA. Przemoc w Ośrodku dla Dzieci Niewidomych

2 JAK POLAK OSZCZĘDZA PRĄD. Reportaż Marcina Wójcika

3 KIM JEST MOBBER? W kulturze zapieprzu nadchodzą zmiany



ALFABET URBANA

W ostatnich latach nikt nie korzystał już z basenu ani z baru, w którym kiedyś podawano markowe alkohole. Goście zniknęli, zostały wiewiórki

Dorota Karaś, Marek Sterlingow

A JAK APATIA

– Nie mam już potrzeby pisania – powiedział nam Jerzy Urban latem 2022 roku. Schorowany, nie wstawał już z łóżka. Wiedział, że zbliża się śmierć, był na nią przygotowany. Trochę się nudził: – Zaczęłam nawet oglądać seriale, ale to zajęcie bez sensu.

Zmarł 3 października 2022 roku o czwartej trzydzieści nad ranem. Został córce Magdę, żonę Małgorzatę Daniszewską oraz całą gromadkę kotów i psów. Rej wśród nich wodził dość wredny kundel Iwan. Mężczyzn szarpał za nogawki, kobiety gryzł w łydki.

Urban dożył 89 lat. W swojej posiadłości w Konstancinie spędzał czas przed telewizorem, z prawicowymi tygodnikami u boku. Czytał je namiętnie, tylko one go trochę bawiły. Felietony pisał długopisem, choć pod koniec życia utrzymanie go w dłoni było już trudne. Większość jego bliskich przyjaciół zmarła przed nim, dalszych znajomych odegnała pandemia. Nielicznych gości przyjmował, leżąc na łóżku w swoim gabinecie.

B JAK BŁĄD

Urodził się w Łodzi w 1933 roku w majątnej rodzinie Polaków żydowskiego pochodzenia. Rodzice kształcili się za granicą, byli ateistami i tak wychowali syna. Gdy nie chcieli, żeby rozumiał, o czym mówią, posługiwali się francuskim. Ojciec Jan był współwłaścicielem lewicowego „Głosu Porannego” i miał nienaganny życiorys żydowskiego inteligenta. Dorastał pod rządami rosyjskimi, studiował pod niemieckimi, walczył pod polskimi. Jego gazeta atakowała Hitlera, drukowała nawet jego karykatury. Nazwisko redaktora naczelnego Jana Urbacha znalazło się z tego powodu na listach wrogów Trzeciej Rzeszy.

Rodzice mieszkali przy Piotrkowskiej, śniadanie jedli w łóżku, na poranną kawę chodzili do Grand Hotelu. Małym Jurkiem zajmowały się nianie. Wojna zmieniła wszystko. Uciekli do Związku Radzieckiego, mieszkali w zatłoczonym mieszkaniu we Lwowie. Po wkroczeniu Niemców przy wymianie dokumentów urzędnik popełnił błąd – zamiast żydowskiego Urbach wpisał Urban. Dzięki temu do końca wojny mogli podawać się za Polaków.

C JAK CENZURKA

Do Łodzi wrócili w 1945 roku. Poszli prosto do swojego dawnego mieszkania, które właśnie opuściła niemiecka rodzina. W czasie wojny naziści zabili dziadków Urbana, większość rodziny i znajomych rodziców.

Jerzy fatalnie się uczył, zmieniał szkoły, na cenzurkach miał najczęściej dwójke. Spełniał się za to jako działacz Związku Młodzieży Polskiej, uważał się za marksistę.

Odzyskany majątek (warsztat optyczny na Piotrkowskiej oraz majątek w Adelmówku) nie przyniósł Urbanom szczęścia. Komunistyczna władza niechętnie patrzyła na prywatnych posiadaczy. Żeby nikogo nie drażnić, w 1950 rodzina sprzedała wszystko i przeniosła się do Warszawy. Tam Urban z trudem zrobił maturę.

D JAK DZIENNIKARZ

W tygodniku „Nowa Wieś” zaczął pracować w wieku 18 lat, zanim jeszcze rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Jego pierwszą szefową była Irene Rybczyńska-Holland, matka Agnieszki Holland i Magdaleny Łazarkiewicz. Pierwsze teksty Urbana zdradzały mieszkańcom wsi tajniki produkcji chleba oraz polity-

ki międzynarodowej. Młody reporter ujawniał też czytelnikom zbrodnie „bandytów z AK” i „najemników imperialistów”.

Zaraz po rozpoczęciu studiów zaproponował rektorowi, żeby ten zwolnił go z zajęć, bo więcej nauczy się w redakcji. Został wyrzucony za drzwi. Po roku na dziennikarstwie z równie mizernym skutkiem próbował swoich sił na prawie. Akademicka kariera Urbana trwała dwa lata i nie zakończyła się dyplomem. Zauważył jednak, że pisać umie lepiej niż większość znanych mu osób. Uznał, że to wystarczy.

E JAK EPICKA PORAZKA

Sławę już w 1956 roku przyniosła mu praca w redakcji tygodnika „Po Prostu”. Urban apelował w nim o wolność słowa, obśmiewał gospodarkę planowaną, krytykował wypaczenia socjalizmu. Polska miała zmieścić się na lepsze.

Dojście do władzy Władysława Gomułki w październiku 1956 zastało Urbana w delegacji do Izraela, gdzie niedługo potem wybuchła wojna o Kanał Sueski. Do Polski Urban wrócił z materiałem na serię reportaży i książkę o Izraelu dla wydawnictwa Iskry. Po trzech częściach jego cykl został zdjęty, a wydawnictwo zrezygnowało z książki. Publikacje okazały się zbyt krytyczne wobec Izraela.

Diabli wzięli jego plan kandydowania do Sejmu. Urbana rzuciła też pierwsza wielka miłość, a kolejna dziewczyna natychmiast zaszła w ciążę. Małżeństwo z Wiesławą Grocholą trwało 11 lat i nie było udane. Mieli jedną córkę Magdę.

Gomułka też go zawiódł. Pierwszy sekretarz KC PZPR miał dosyć fermentu, który sieje „Po Prostu”, i kazał zamknąć pismo. Sam Urban otrzymał zakaz pracy w prasie. Służba Bezpieczeństwa inwigilowała środowisko Urbana, ze szczególnym uwzględnieniem jego przyjaciela Andrzeja Berkowicza.

Do tego wszystkiego wylętył.

F JAK FINANSE

Z kłopotów Urbana uratowała najpierw Anna Bratkowska, była wicenaczelną „Po Prostu”, której udało się dostać posadę w „Kulisach”, popularnym dodatku „Expressu Wieczornego”. Urban pisał do „Kulis” felietony z ciekawych spraw sądowych, podpisywał się Jerzy Kibic. Kiedy okazało się, że procesy trwają za długo, zaczął wymyślać własne historie. Opowieści Kibica przyniosły mu rozgłos, ukazały się w kilku książkach, ale Urban uważał je za literaturę dla kucharek i twierdził, że pisał do „Kulis” wyłącznie dla pieniędzy.

Rękę do Urbana wyciągnął też Mieczysław Rakowski, zdolny partyjny aparatczyk, szef tygodnika „Polityka”, która miała zastąpić rebelianckie „Po Prostu”. Rakowski wierzył w socjalizm – pochodził ze wsi, dzięki uprzejmości władzy ludowej zdobył wykształcenie i nauczył się języków. W Warszawie na dziennikarzy „Polityki” mówiło się „banda Rakowskiego”. Urban podzielał wiarę w socjalizm, ale w sprawach politycznych jego przewodnikiem został Rakowski.

Instynkt zawiódł Urbana, gdy pod nieobecność Rakowskiego obśmiał społecznika i działacza antyalkoholowego doktora Włodzimierza Marcinkowskiego. Wytknął absurdalnie surowe kary, które doktor postulował dla pijaków, a nawet zbyt rozwiązłych młodzieńców. Gomułka znów nałożył na niego zakaz pracy.

Rakowski na pożegnanie obiecał Urbanowi, że załatwi mu powrót do „Polityki”. Zajęło to kilka lat. Urban znów żył z fuch i doraźnych zleceń. Wrócił do redakcji niedługo przed marcem 1968. W jednym z pierwszych tekstów nawiązał do swojej podróży do Izraela. Potępił panujący tam jego zdaniem nacjonalizm, czym zgrabnie

wpisał się w antyżydowską retorykę ówczesnych władz. Sam twierdził, że chodziło mu o krytykę każdego rodzaju nacjonalizmu, również polskiego.

W marcu 1968 Urban ukrył się w hotelu w górach. Bał się prześladowań i planował uciec do Czechosłowacji, gdzie trwała Praska Wiosna. Wrócił do Warszawy, gdy zorientował się, że Gomułka stara się powściągnąć antysemickie nastroje. Z Polski wyjechał niedługo potem najbliższy przyjaciel Urbana Andrzej Berkowicz.

G JAK GIEREK

Masakra robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku była wstrząsem dla dziennikarzy „Polityki” i Urbana. Jeszcze zanim Edward Gierek został pierwszym sekretarzem, Rakowski podsunął mu program reform, którego powstanie koordynował Urban. Nowego przywódcę „banda Rakowskiego” przyjęła z entuzjazmem.

Ostatni raz nieposłuszeństwo wobec władz Urban okazał, gdy w Danii urwał się ze statku, na którym płynął jako wysłannik „Polityki”. Odwiedził wtedy Berkowicza, który po wyjeździe z Polski osiedlił się w Sztokholmie. Był z tego mały zgrzyt: po powrocie Służba Bezpieczeństwa wzięła dziennikarza pod lupę, a towarzysze w Wydziale Prasy KC PZPR postulowali jego zwolnienie z „Polityki”. Rakowski był już jednak wystarczająco wpływowy. Urbanowi włos z głowy nie spadł.

Wiodło mu się coraz lepiej. Kierował kilkunastoosobowym działem krajowym „Polityki”, pisał felietony do popularnych „Szpilek”, opływał w dostatki. Bywał w najmodniejszych lokalach stolicy. Wakacje w Złotych Piaskach w Bułgarii spędzał w towarzystwie Agnieszki Osieckiej, Maryli Rodowicz i nowej żony Karyny Andrzejewskiej (byłej synowej pisarza Jerzego Andrzejewskiego). Jedynym zmartwieniem był brak możliwości awansu: wydział prasy nie zgadzał się, by Rakowski awansował Urbana powyżej stanowiska kierownika działu. Jako bezpartyjny Żyd był elementem niepowynym.

H JAK HOTEL

Sierpień 1980 roku zastał Urbana w luksusowym hotelu Kasprowy w Zakopanem. Rodzicom pisał, żeby się nie martwili wydatkami, bo na jedzenie i nocleg ma siedemdziesięcioprocentową zniżkę. Jedynie za alkohol musi płacić pełną cenę, co jest o tyle bezbolesne, że ostatnio odczuwa problemy gastryczne i nie może pić.

Urban przeżuwał, że szykuje się zmiana. W lipcu był jako dziennikarz na strajkach w Lublinie. Przed wyjazdem do Zakopanego pisał do Rakowskiego, który odpoczywał w swoim letnim domku na Mazurach, by natychmiast wracał, bo w partii rozgrywa się walka o władzę. Gdy Gierka na stanowisku pierwszego sekretarza zastąpił Stanisław Kania, nadzorujący resorty bezpieczeństwa, Rakowski znów przesunął się bliżej szczytu – został wicepremierem. Wkrótce pociągnął za sobą Urbana.

I JAK INTELIGENCJA

Polska inteligencja pokochała „Solidarność” i jej przywódcę Lecha Wałęsę za autentyczność i nadzieję na zmianę. Dla Urbana „Solidarność” uosabiała wszystko, czego nie znosił: religijność, masowość i populizm. Do tego: chaos, bałagan, niszczące gospodarkę strajki i nierealistyczne marzenie o uwolnieniu się spod kurateli Moskwy.

Większość dziennikarzy z działu, którym kierował Urban, związała się z „Solidarnością”. Urban pożegnał się z „Polityką” i poszedł do rządu za Rakowskim. Naj-

pierw został doradcą, potem rzecznikiem prasowym rządu i ministrem.

J JAK JARUZELSKI

General Wojciech Jaruzelski, nowy pierwszy sekretarz KC PZPR, był urzeczony tym, jak celnie Urban potrafił dowalić przeciwnikom, czyli opozycji.

W noc wprowadzenia stanu wojennego Urban siedział z Rakowskim w jego gabinecie i pił winiak. Jak twierdził, nie odczuwał strachu. Cieszył się, że władza przeszła do kontrataku, przestała się cofać i przejęła inicjatywę. Nie czuł również dyskomfortu, że znalazł się wśród tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za strzelanie do protestujących. Według różnych ocen w stanie wojennym zginęło co najmniej kilkadziesiąt osób, a pod klucz trafiło ponad dziesięć tysięcy. Wielu z zatrzymanych było dobrymi znajomymi Urbana.

K JAK KONFERENCJE PRASOWE

Urban stał się powszechnie znany dzięki organizowanym w każdy wtorek konferencjom prasowym dla dziennikarzy zagranicznych. Mieli oni prawo publicznie zadawać niewygodne dla reżimu pytania: o demonstracje, aresztowania, represje czy coraz bardziej żalosną sytuację gospodarczą Polski. Urban nie bał się podejmować rękawicy. Starał się ośmieszać opozycję (czasami mu się udawało), krytykował zachodnie media, wytykał omyłki w ich relacjach. Nieścisłości były też w jego wypowiedziach. Później jednak bronił się tym, że takie informacje dostarczał mu resort bezpieczeństwa. Nawet Rakowski zaczął przestrzegać go przed zbyt ochoczym korzystaniem z materiałów SB i firmowaniem ich poczynañ. Najbardziej znana wypowiedź Urbana z konferencji prasowej to „rząd jakoś się wyżywi”. Padła w odpowiedzi na temat sankcji gospodarczych amerykańskiego rządu nałożonych na Polskę.

Zagraniczni dziennikarze tak opisywali rzecznika prasowego rządu: „Urban, lat 50, rozprawia z okularami na nosie, łysą głową świecącą w reflektorach telewizyjnych i uszami tak odstającymi, jakby lada moment miały unieść w powietrze jego okrągłą twarz”.

L JAK LOJALNOŚĆ

Z czasem Urban zaczął przejawiać coraz więcej inicjatywy. Uznał, że do jego obowiązków należy dbanie o wizerunek generalskiej junty nawet wtedy, gdy popełniano zbrodnie. Gdy milicjanci zabijają maturzystę Grzegorza Przemyka, rzecznik rządu robi wszystko, by sprawa została zatuszowana, a za winnych zbrodni byli uznani sanitariusze pogotowia. Choć na wewnętrznych naradach Urban proponował, żeby ukarać prawdziwych sprawców, to nie protestował, gdy generał Czesław Kiszczak nalegał na ich wybielenie. Wykazywał nawet własną inicjatywę.

Wysłał list do generała Jaruzelskiego z sugestią, żeby medialnie przykryć sprawę zabicia maturzysty taśmą kompromitującą Lecha Wałęsę. Służba Bezpieczeństwa nagrała rozmowę w ośrodku w Arłamowie, gdzie Wałęsa był internowany. Przewodniczący „S” w rozmowie z bratem po robociarsku przeklinał, pyskował na hierarchów kościelnych i dyskutował o pieniądzach. To mało wykwintny obrazek z życia przyszłego noblisty.

Kręctwa reżimu były dla opozycji widoczne. Nic dziwnego, że powszechne stało się podejrzenie, że Grzegorz Przemyk został zamordowany celowo, by dopiec jego matce – działaczce opozycji Barbarze Sadowskiej. Nie było to prawdą, ale Urban

nie zachował umiaru w polemikach prasowych o sprawie. Jego ataki na matkę były po prostu niesmaczne.

M JAK MIŁOŚĆ

Z drugą żoną Karyną Andrzejewską Urban rozstał się, gdy poznał o 18 lat młodszą Małgorzatę Daniszewską, ekstrawaganczką, rozrywkową i lubiącą romansować dziennikarkę. Początkowo śmieszyły ją załoty Urbana. Na pierwszej randce dostała od niego słoik doskonałych śledzi. Udało mu się zdobyć jej zainteresowanie. O swoim romansie musiał zameldować generałowi Jaruzelskiemu, który tępił stosunki pozamałżeńskie najbliższych współpracowników.

Noc poślubną spędzili w rządowym ośrodku w Łańsku. W Warszawie zamieszkali wspólnie z Martą, córką Daniszewskiej z pierwszego małżeństwa.

Z trzecią żoną Urban był do końca życia.

N JAK NIENAWIŚĆ

Pod wpływem Służby Bezpieczeństwa i za pomocą przesyłanych mu materiałów Urban obsmarowywał w prasie wrogów Polski Ludowej. Jednym z nich był popierający opozycję ksiądz Jerzy Popiełuszko. Organizowane przez niego msze za ojczyznę Urban nazwał w felietonie w tygodniku „Tu i Teraz” „seansami nienawiści”. W tekście „Garsoniera obywatela Popiełuszki” przekonywał, że należąca do kapłana kawalerka służy wyjątkowo niecnym celom. Ksiądz się tam zabawia, a w przerwach przygotowuje akty terroru przeciwko władzom PRL.

W 1984 roku ksiądz Popiełuszko został porwany i zamordowany. Sprawcami okazali się oficerowie Służby Bezpieczeństwa. Ich proces toczył się publicznie na oczach milionów Polaków. Władze miały nadzieję, że ta otwartość coś uratuje. Można uwierzyć, że Jaruzelski, Kiszczak i Urban nie wiedzieli o planowanym mordzie. Jednak bezkarność, jaką zapewnili swoim ludziom po śmiertelnym pobiciu Grzegorza Przemyka, ośmieliła kolejnych zbrodniarzy.

O JAK OKRĄGŁY STÓŁ

Wydawało się, że przy Okrągłym Stole w 1989 roku zapewniono przetrwanie PZPR. Mieczysław Rakowski został wreszcie I sekretarzem KC. Przyczynili się do tego Urban ze Stanisławem Cioskiem i generałem Władysławem Pożogą. Przez lata przygotowywali dla Jaruzelskiego tajne raporty, w których postulowali reformy polityczne i gospodarcze. Pierwsze demokratyczne wybory zmioły jednak dotychczasowy układ sił. Mimo że ordynacja wyborcza faworyzowała dotychczasową władzę, PZPR się rozsypał.

Urban wystartował w wyborach, licząc, że zgarnie głosy Polaków pracujących za granicą na intratnych kontraktach. Przegraną jednak w swoim okręgu z aktorem Andrzejem Łapickim, startującym z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Nie głosowała na niego nawet jego córka Magda.

P JAK PZPR

Urban trzy razy próbował zapisać się do PZPR. Pierwszy raz jeszcze w latach 50. By uczyć złożenie wniosku, upił się z kolegami. Wydawało im się, że dobrym pomysłem jest odśpiewanie kilku powszechnie znanych niemieckich i radzieckich pieśni wojskowych. Pomysł nie spodobał się innym mieszkańcom bursy, w której odby-

wała się libacja. Sąd koleżeński ZMP zablokował wniosek Urbana. Do dziś nie jest jasne, co najbardziej mu zaszkodziło – wycie po rosyjsku, niemiecku czy po prostu wycie po nocy, gdy porządni komuniści chcą spać.

Za drugim razem, już w latach 80., wniosek zablokował sam generał Jaruzelski, który wytłumaczył Urbanowi, że bardzo europejsko wygląda, gdy rzecznik polskiego rządu jest bezpartyjny. I że chciałby, aby tak pozostało. Z dyktatorem się nie dyskutuje.

Trzecia nieudana próba miała miejsce w styczniu 1990 roku, gdy los PZPR wisiał już na włosku. Urban zadeklarował publicznie, że gdy wszyscy odchodzą, on się zapisuje. Było już jednak za późno: Rakowski rozwiązał partię, zanim ktokolwiek zdążył rozpatrzyć jego wniosek.

R JAK REDAKCJA „NIE”

Zanim powstało „NIE”, był „Alfabet Urbana”. Autor wyszydził w nim swoich znajomych z dawnych i obecnych lat, polityków z pierwszych stron gazet, dziennikarzy i artystów. Książka sprzedawała się na pniu. Zarobione pieniądze pomogły Urbanowi założyć tygodnik satyryczny „NIE”, został jego redaktorem naczelnym. Pismo zajęło się krytykowaniem rządów „Solidarności” i prezydenta Lecha Wałęsy, wyszukiwaniem afer z udziałem księży i absurdów życia w Polsce po transformacji. Dziennikarze używali potocznego języka i wulgaryzmów, przez co opiniotwórcze środowiska uznały tygodnik za szmatławę i niegodny uwagi. Rozgłos „NIE” przyniósł proces karny o rozpowszechnianie pornografii, za zdjęcie nagiej dziewczyny z rozłożonymi nogami, które było protestem przeciwko ustawie antyaborcyjnej (sąd umorzył postępowanie). Naczelny „NIE” został też oskarżony o obrazę Jana Pawła II w tekście „Obwoźne sado-macho” (tę sprawę przegrał).

W redakcji „NIE” Urban miał pseudonim „Tatuś”. Przez lata czytał i poprawiał wszystkie teksty, które miały się ukazać. W swoim gabinecie miał łóżko, w którym uciął sobie drzemkę w ciągu dnia. W szafce trzymał konstytucję i prawo prasowe.

S JAK SĄSIAD (WERSJA DLA NIEZORIENTOWANYCH)

Lew Rywin, znany producent telewizyjny, był sąsiadem Urbana w Konstancinie. Był też jego kolegą w jeszcze bardziej prestiżowym klubie okolicznych bogaczy. Żyli sobie szczęśliwie, aż pewnego dnia Rywin w sposób stosunkowo grzeczny, lecz zdecydowany, zażądał 17 milionów dolarów od firmy Agora (m.in. wydawcy „Gazety Wyborczej”). Rywin tłumaczył wysokość kwoty tym, że występuje w imieniu całej grupy osób. Później okazało się, że jest to „grupa trzymająca władzę”. Adam Michnik, naczelny „Wyborczej”, któremu Rywin przedstawił propozycję, nagrał całą rozmowę i zaczął własne śledztwo, konfrontację i inne nieprzyjemne dla producenta czynności.

Rywin udał się po poradę do sąsiada. Tak Urban znalazł się w centrum wydarzeń, które przez historyków określane są jako „afera Rywina” lub „matka wszystkich afer”, i stanął przed komisją śledczą. Jej zadaniem było wyjaśnić, kto wysłał Rywina do Michnika i miał skorzystać na olbrzymiej łapówce. Komisja składała się z dzieściu posłów, miała lepszą oglądalność niż „Taniec z gwiazdami” i niewiele gorszą niż skoki Małysza. Urban zeznawał dwa bite dni, a na koniec stwierdził, że i tak powiedział więcej, niż wiedział. Ostatecznie do więzienia poszedł tylko Rywin. Do dzisiaj nie wiadomo, kto był w „grupie trzymającej władzę”.

T JAK TWITTER (I INNE SOCIAL MEDIA)

W czasie gdy żarty w „NIE” nikogo już nie bulwersowały, drugie życie dał Urbanowi Michał Marszał, dziennikarz tygodnika odpowiadający za social media, młodszy od swojego szefa o 54 lata. To za jego sprawą Urban zdobył popularność krótkimi filmikami na YouTube i stał się osobą rozpoznawalną dla kolejnych pokoleń Polaków. Tym razem jako dowcipny, lekko kopnięty dziadek.

Marszał rozkręcił również profile „NIE” na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Dziś mają one po kilkaset tysięcy obserwujących. Tygodnik w tym czasie sprzedawał się w mniej więcej 30 tysiącach egzemplarzy.

Urban nie korzystał z internetu i kompletnie się nie interesował swoim drugim cyfrowym życiem, które animował Marszał.

U JAK UBRUDZIĆ URBANEM

Wielu przedstawicieli polskiej inteligencji uważa Urbana za zdrajcę. Mają mu za złe, że jeden z najinteligentniejszych dziennikarzy został tubą Jaruzelskiego. Miał monopol na media, kpiał w żywe oczy z opozycji, usprawiedliwiał, albo wręcz tuszował zbrodnie. Urban przekonywał, że stał przy Jaruzelskim, bo w niego wierzył. Uważał, że historia przyznała mu rację. Nie wszyscy się z tym zgadzają. Ich zdaniem Urbanowi nie można wybaczyć roli, którą odegrał jako rzecznik rządu w latach 80., a odium jego czynów spada na wszystkich, którzy utrzymywali z nim jakiegokolwiek stosunki.

Urban rozumiał ten mechanizm. Nie miał pretensji do znajomych, że się do niego nie przynają.

W JAK WIEWIÓRKI

Urban mieszkał z żoną w domu wybudowanym w latach 90. w Konstancinie-Jeziornie. Po jednym z wygranych procesów, gdy sprzedaż „NIE” poszybowała, postanowił powiększyć rezydencję o basen. Na ścianach domu znalazły się obrazy pierwszorzędnych polskich malarzy, m.in. Dwurnika i Nowosielskiego. Z okien salonu Urban miał widok na porośniętą sosnami działkę i hasające po drzewach wiewiórki. W poprzednich dekadach odbywały się tu przyjęcia i towarzyskie rauty, na które schodzili się politycy różnych opcji, dziennikarze i artyści. W plotkach o odbywających się w basenie orgiach było niewiele prawdy, choć gdy któryś z gości zapragnął wykapać się w nim na golasa, gospodarze nie robili przeszkód. W ostatnich latach nikt nie korzystał już z basenu ani z baru, w którym kiedyś podawano markowe alkohole. Goście zniknęli, zostały wiewiórki.

Ż JAK ŻAŁ

Dziennikarze lubili pytać Urbana, czy czegoś żałuje. Prawie zawsze odpowiadał, że niczego. Dopadały go jednak wątpliwości. Po książce Cezarego Łazarewicza „Żeby nie było śladów” napisał, że żałuje swojej postawy w sprawie Grzegorza Przemyka.

Nie był dumny z roli, jaką odegrał przed śmiercią księdza Popiełuszki, choć twierdził, że jego postępowanie nie miało wpływu na to, co się wydarzyło.

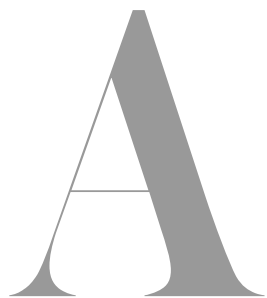
Żałował, że nie nauczył się nigdy żadnego języka obcego. Uważał, że nie miał do tego głowy. ●

Więcej o Jerzym Urbanie w „**Ale Historia**”

Siedem zauroczeń jednym koniem

Wygrał casting na rolę wierzchowca Bohuna. W „Ogniem i mieczem” oglądało go 7 milionów widzów

JERZY SAWKA



A ja miałem przyjemność być jego właścicielem, partnerem i opiekunem. Nauczył mnie, jak rozmawiać z jego współbraćmi. Kilka urzeczeń, które mi zafundował.

PIERWSZE

Na wrocławskim torze wyścigów konnych. Był rok 1996. Kupowałem wtedy jego siostrę Alpuharę, ale o ich pokrewieństwie nie miałem pojęcia. Chodził w karuzeli, urządzeniu zapewniającym ruch koniom przy jednej ze stajni wyścigowych. Był kary, czyli czarny. Jak Ilczy, koń Winnetou. Pamiętam dokładnie, co pomyślałem: Jakież te konie są piękne i jakie mam szczęście, że umiem się tym cieszyć.

Nic o nim nie wiedziałem, a przede wszystkim tego, że przeżyjemy przygodę życia.

DRUGIE

W 1997 roku na mistrzostwach Polski dziennikarzy w skokach przez przeszkody w Drzonkowie pod Zieloną Górą. Nie skojarzyłem go z tym koniem z karuzeli. Z boksu wychynął przepiękny łeb.

Wszedłem do pokoju hotelowego, a córka mojej żony przywitała mnie słowami: – Ale fantastycznego konia widziałam!

– Wiem którego.

Poszliśmy. Opiekunka obrządziała go na korytarzu. Zobaczyłem wytatuowany na kłębie numer 4. To koń ze stadniny w wielkopolskim Posadowie, z tej samej co Alpuhara!

– Po kim on jest? – zapytałem.

– Matka – Dama, a ojciec... nie pamiętam.

– Alger?

– Tak, Alger!

– To brat Alpuhary!

W języku koniarzy brat jest wtedy, gdy koń ma dwoje takich samych rodziców, półbrat, półsiostra, gdy mają tę samą mat-

kę. Dzieci ojca nie należą do rodziny, lecz do linii ogiera. Ale dla nas Damar i Alpuhara byli rodzeństwem.

TRZECIE

W maju 2000 roku po raz pierwszy go dośiadłem. Był ogierem na wsi pod Ostrowem Wielkopolskim. Po jeździe już miałem wprowadzić go do boksu, gdy usłyszałem:

– Proszę go nie chować, chcemy jeszcze na niego popatrzeć.

Za płotem stała grupka kobiet z grabiami, wracały z sianokosów, uśmiechnięte, z zachwytem w oczach.

CZWARTE

Ponieważ kupowanie go trwało latami z racji wygórowanej ceny, kupiłem Czara, pełnej krwi angielskiej, po karierze wyścigowej. Czar miał fantastyczny charakter i świetnie galopował. Został moim podstawowym koniem. Kiedy po latach sława konia Bohuna przestała już wpływać na rynkową wartość Damara, w końcu go kupiłem. Ale bardziej cenilem Czara. Jednak ten uległ kontuzji i wtedy jego rolę przejął Damar.

Początki nie były łatwe. Próbowałem wysadzić mnie z siodła, dlatego zakładałem na niego siodło australijskie, które w zasadzie nie pozwala koniowi pozbyć się jeźdźcy i wtedy jego rolę próbom wysłania mnie w kosmos.

Uczyłem go tzw. sliding stopu, zatrzymywania się na tylnych nogach mocno podłożonych pod kłode, czyli korpus ciała. Było to dla niego bardzo niewygodne z racji jego budowy, zawsze więc dawał wyraz niezadowoleniu złym okiem i gardłowym mrukiem.

Pewnego dnia nasz trening oglądała moja jeździecka przyjaciółka, zawodowica. Po wykonaniu sliding stopu zaproponowałem, żeby się na nim przejechała. Damar natychmiast odpalił wrotki, pełnym

galopem pognął wokół ujeżdżalni. Ale ona wciąż na nim siedziała, i to bardzo pewnie. Wtedy nagle skręcił do środka i skoczył nad przeszkodą wysokości 1,4 metra. Dziewczyna nadal na nim była. Pojął, że nic nie wskóra. Pokazał swoją inteligencję.

PIĄTE

Pojechaliśmy z bratem na przejażdżkę do szczecińskiego Lasku Arkońskiego. Ja na Damarze, on na Czarze. Spacerujące dziewczyny zachwycaly się tymi czarnymi diabłami.

Jeden z jeźdźców spadł, a jego koń uciekł. Zostawiłem bratu Damara i poszedłem złapać uciekiniera. Kiedy wracałem, dech mi zaparł widok dwóch karych rumaków, którym wiatr targał długie czarne grzywy. Wyglądali filmowo.

SZÓSTE

Na początku lat 2000 jeździłem z nim na szkolenia szkoły naturalnej Pata Parellego. Ten Amerykanin, przez 14 lat jeździec rodeo, zebrawszy w całość doświadczenia rozumnych kowbojskich trenerów, rozprzestrzenił na świecie inne podejście do koni. Traktowanie ich nie jak poddanych, niewolników, lecz jak partnerów, których inność szanujemy i których języka staramy się nauczyć. Dzisiaj wszyscy myślący jeźdźcy i trenerzy wiedzą, że psychika konia jest ważniejsza od jego walorów fizycznych.

Uczyłem się w tej szkole z gorliwością neofity. Na Damarze testowałem wszystkie nowo poznane techniki. Czasami przysadzałem.

Na jednym z kursów, kiedy się wyluzowałem i usiadłem na piachu, on natychmiast położył się za mną i leżał zrelaksowany, dopóty po piętnastu minutach nie podniosłem się z ziemi.

To była pierwsza cenna nić współporozumienia.



• Damar siedzi zadem na piasku, a przed nim siedzi Ewa, żona Jerzego Sawki, który patrzy na nich razem z klaczą Jacs Ivory Command

FOT. ARCHIWUM AUTORA

SIÓDME

To były najdłuższe konne wakacje mojego życia. Z Damarą i drugim koniem, klaczą Jacs Ivory Command, spędziłem półtora miesiąca. Codziennie w kontakcie, od rana do wieczora. Przemierzałem z córką nadodrzańskie lasy w okolicach Cedyni, Pojezierza Myśliborskiego, Szczecina, Pojezierza Drawskiego.

Ivory nauczył mnie wcześniej kilku sztuczek. Przybiegała na zawołanie, kładła się na gest. Damar umiał więcej, ale jednego nigdy nie chciał zrobić – położyć się. Połegł na tym nawet jeden z najsłynniejszych węgierskich czikosów, którego poprosiłem o pomoc.

Uszanowałem opór Damara.

Te długie wakacje kończyliśmy na obozie dla jeźdźców naturalnych. Wcześniej tylko raz zaeksperymentowałem z Damarą w sztuczce siadania na zadzie. Ta nauka jest bardzo prosta. Cofa się konia na pryzmę piasku, jak ugnie tylne nogi, trzeba go pochwalić i odpuścić. Za którymś razem koń oprze, dla własnej wygody, zad o pryzmę. Ale już dalej nie szedłem, mając w pamięci jego opór przed kładzeniem się.

Na koniec obozu robiliśmy grupowe zdjęcia z końmi popisującymi się swoimi umiejętnościami. Wziąłem Ivory, a Damarą zostawiłem żonie. Ona przyjaźnie go głaskała. Kiedy konie biorące udział w sesji leżały, kłaniały się i siedziały jak psy, Damar nagle wyprowadził Ewę do tej grupy i usiadł. A potem położył się i znowu usiadł. Zamurowało mnie.

Był taki okres, w którym miałem problemy finansowe i chciałem go sprzedać. Wtedy mój małoletni syn, absolutny niekoniarz, powiedział: – Tato, przecież to członek rodziny.

Damar umarł dwa lata temu w wieku 27 lat. Ostatnią jego pracą było uczenie jazdy konnej niewidomej dziewczyny. Wywiązał się z niej znakomicie, jak ze wszystkich swoich życiowych ról. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Autoreglamentacja

Pan premier, apelując do nas o autoreglamentację węgla, de facto zachował się jak freudowski ojciec.

Michał Rusinek



Należę do pokolenia, które dobrze pamięta, co oznacza słowo „reglamentacja”. Pamiętam różnokolorowe kartki na mięso, pamiętam błysk nożyczek ekspedientki w sklepie mięsnym i staranne wycinanie kwadracików z magicznym zaklęciem: „Wol., Ciel. z kością 300 g”. A także koszmarnie kolejki oraz trudne rodzinne negocjacje w wielu polskich domach: czy kupić papierosy lub alkohol (za czym optowali dorośli), czy słodczyce lub kakao (ku czemu skłaniały się dzieci). Tak czy owak, reglamentacja kojarzy mi się z represjami władz i nieudolnym sposobem radzenia sobie z kryzysem gospodarczym w czasie stanu wojennego. Słowniki podają, że reglamentacja to „regulowanie lub ograniczanie kupna, sprzedaży, produkcji, gromadzenia pewnych artykułów” albo „wprowadzone czasowo lub na stałe ograniczenie wolnego

obrotu pewnymi dobrami albo towarami, spowodowane przeważnie niedostatkami tych dóbr lub towarów i koniecznością ich racjonowania”. Reglamentację wprowadzano zwykle w czasie wojen, po wojnach lub w gospodarkach socjalistycznych.

Słowo to wróciło ostatnio za sprawą premiera Mateusza Morawieckiego, acz wróciło w nowej, dość zaskakującej odsłonie. Podczas zorganizowanego w Belwedrze posiedzenia Rady do spraw Środowiska, Energii i Zasobów Naturalnych, wchodzącej w skład Narodowej Rady Rozwoju, premier powiedział bowiem, że „jakby ktoś chciał dzisiaj zakupić wystarczającą ilość węgla dla wszystkich gospodarstw domowych na surową zimę, to rzeczywistość dzisiaj tego węgla odsianego jeszcze tyle nie mamy”. Dodał, że „po nałożeniu embarga na Rosję wiedzieliśmy, że zabraknie od trzech do czterech milionów ton węgla przesianego. Jest [to] problemem i chcę to powiedzieć tutaj wprost przed państwem, przed ekspertami i z udziałem mediów, że my apelujemy o to, aby jednak dokonywać pewnego rodzaju reglamentacji, autoreglamentacji tych zakupów”. Na czym ona miałyby polegać? To wyjaśnił nieco wcześniej prezes Jarosław Kaczyński, proponując, by ci, którzy potrzebują na całą zimę trzy tony węgla, kupili sobie na razie półtorej tony. Czyli nie ma się czego obawiać: łatwo będzie obliczyć, w jakim stopniu mamy reglamentować swoje potrzeby.

Wszystko się zgadza: jesteśmy w okresie powojennym (wojnę z pandemią po-

noć wygraliśmy, i to wielokrotnie) i wojennym zarazem (tuż za naszą granicą toczy się wojna prawdziwa, której skutki promieniają i na nas); nostalgia za PRL-em też daje się wśród rządzących zauważyć. Warunki do wprowadzenia reglamentacji więc są. Pomijając jednak fakt, że latem ten sam premier zapewniał, że węgla „będzie więcej, niż jest potrzebne nawet na surową zimę”, zwróćmy uwagę, że posłużył się on neologizmem: „autoreglamentacja”. Słowniki oraz historia uczą nas, że reglamentację wprowadza rząd, tymczasem autoreglamentacja, jeśli dobrze rozumiem, to akt, którego dokonać powinien sam obywatel, posłuszny apelowi premiera swojego państwa. Nie jest to więc nakaz, ale prośba. Nie chodzi przecież o to, żeby rzeczony obywatel ograniczony był w swojej żądzy zakupów przepisami wprowadzonymi odgórnie, z zewnątrz, ale by słyszał wewnętrzny głos, który będzie mu szeptał: „Ograniczaj się, żeby dla innych wystarczyło!”. Podobny głos opisał Sigmund Freud i nazwał go superego. Jest to jedna z trzech struktur osobowości, stanowiąca uewnętrzną reprezentację wartości moralnych uznawanych przez daną społeczność. Wartości te są przekazywane dzieciom przez rodziców w procesie socjalizacji. Funkcja superego, w skrócie mówiąc, sprowadza się do tego, by hamować egoistyczne impulsy (id) i powodować, byśmy cele praktyczne i realistyczne (ego) zastępowali celami moralnymi (superego).

Pan premier, apelując do nas o autoreglamentację, de facto zachował się jak freudowski ojciec (lub przedstawiciel ojca, bo przecież wszyscy wiemy, że prawdziwym ojcem jest prezes), który socjalizuje swoje dzieci i zachęca, by uewnętrznili sobie pewne ograniczenie o funkcji moralnej, prospołecznej. Jeśli mu się uda, to za każdym razem, kiedy wybierzemy się

po węgiel do składu, usłyszymy głos superego, który będzie nas przekonywał, że dla dobra ogółu powinniśmy go kupić o połowę mniej. Powściągniemy wówczas zarazem egoistyczne pożądanie węgla, a więc ciepła dla własnej, perwersyjnej przyjemności, jak i realistyczną, praktyczną potrzebę zapewnienia owego węgla, a więc ciepła swojemu gospodarstwu domowemu, które przecież ma dzięki temu szansę prawidłowo funkcjonować. Dzięki temu głosowi wykażemy się patriotycznym altruizmem i będziemy lepszymi ludźmi, a przy okazji uratujemy gospodarkę i pomożemy panu premierowi ukryć niegospodarność jego rządu, który nie zabezpieczył nam w terminie dostatecznej ilości węgla. Słowem: same plusy.

Tę piękną wizję psują jednak efekty uboczne reglamentacji, o których nie wspominają wprawdzie słowniki, ale można o nich przeczytać w podręcznikach do historii. Albo też można – jak ktoś jest w moim wieku – wydobyć je z pamięci. Jednym z nich było tzw. spekulantstwo, czyli nielegalny handel reglamentowanymi dobrami. Mamy więc prawo zadać panu premierowi pytanie, czy przewiduje autospekulantstwo. A może to my, obywatele, powinniśmy zaapelować do pana premiera o nie? Wszak rząd peerelowski walczył z nielegalnym spekulantstwem, wprowadzając spekulantstwo legalne i sprzedając reglamentowane dobra po tzw. cenach umownych, kilkakrotnie wyższych. Coś mi się wydaje, że tak to się przecież skończy. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Klub „Wyborczej”

Trudne rodzinne historie – czyli polskie drogi.

Premiera książki „Dziady i dybuki”
Spotkanie z Jarosławem Kurskim
i Adamem Michnikiem

Rozmowę poprowadzą:
dziennikarka „Wyborczej” Dorota Wysocka-Schnepf
oraz Bartosz T. Wieliński, wicenaczelný „Wyborczej”.

Obejrzyj na:  wyborcza.pl
Wtorek, 11 października,
godz. 20

Dolącz do Klubu „Wyborczej” na
Wyborcza.pl/prenumerata



Jarosław Kurski

Adam Michnik

POŚLUCHAJ SWOJEGO

Z **MARCINEM MATYCHEM**, ZNANYM JAKO DOKTOR NERWICA, LEKARZEM I PSYCHOTERAPEUTĄ, AUTOREM PORADNIKA „JAK ŻYĆ Z LĘKIEM”, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Co ludzie często myślą o zaburzeniach lękowych?

– Że to wymysł, kaprys, lenistwo, ewentualnie cecha osobowości. Po drugie, że to się da łatwo pokonać – pracowitością, siłą woli.

Pacjenci opowiadają, że najbliżsi pytają ich: „Ale czego ty się w ogóle boisz?!”, albo: „Co się tak denerwujesz?”. Ludzie cierpiący odbijają się od takich tekstów jak od ściany, bo często nie są w stanie odpowiedzieć na te pytania. Co wywołuje jeszcze większą agresję otoczenia. No bo jak można nie wiedzieć, czego się człowiek boi?

Słyszałam jeszcze taki argument: „Nie przesadzaj. Każdy się czegoś boi”.

– To akurat prawda. Każdy odczuwa lęk, który jest atawizmem. Kiedyś służył nam do przewidywania i oceny najbliższej przyszłości – mam się wycofać czy sztykować do walki? – natomiast u osób z zaburzeniami lękowymi rozwinął się za bardzo. Ich mózgi „przeginają” w takim sensie, że skupiają się wyłącznie na negatywnych scenariuszach. Optymiści też są zaburzeni, tyle że w sposób przyjemny. No i nikt ich nie chce z tego leczyć. Chyba że mamy do czynienia z manią.

Co to znaczy, że lęku jest za dużo albo że jest nieadekwatny?

– Jest taka anegdota o Napoleonie, który uciekając przed rosyjskim wojskiem, ukrył się u pewnego krawca pod stertą skór. Wpadli Rosjanie, zaczęli go szukać, dźgać te skóry bagnetami, ale go nie znaleźli. Napoleon wyszedł z ukrycia, a krawiec spytał go: „Jakie to uczucie: być tak blisko śmierci?”. Wtedy Napoleon zwrócił się do swoich oficerów: „Za to pytanie zawiążcie mu oczy, wyprowadźcie i rozstrzelajcie”. W ostatnim momencie kazał im wystrzelić w górę. Poszedł do krawca, zdjął mu opaskę z oczu i spytał: „Teraz już wiesz?”.

Człowiek lękowy jak ten krawiec boi się czegoś, co się może nie wydarzyć?

– Bo emocje nie odróżniają stworzonej przez umysł fikcji od prawdy. I to jest największy problem w zaburzeniach lękowych – przewidywanie katastrofalnej przyszłości oraz lękowa interpretacja faktów.

Weźmy kogoś z lękiem uogólnionym, który charakteryzuje się przewlekłym zamartwianiem się. U takich osób lęk sączy się wolnym strumieniem praktycznie bez przerwy. To tak, jakby codziennie zdawać egzamin, tyle że żadnego egzaminu nie ma.

Co jeszcze znajduje się w grupie zaburzeń lękowych?

– Fobia prosta, czyli lęk przed czymś konkretnym – pajakami, szczurami. Osobną kategorią jest lęk z napadami paniki. Akurat tacy pacjenci często szukają pomocy, bo napady paniki powodują duże cierpienie, a czasami w ogóle uniemożliwiają funkcjonowanie. Choć niektórzy potrafią ukrywać się z tym latami, bo boją się, co inni pomyślą, przybierają różne maski, wymyślają usprawiedliwienia. Na przykład, że nagle musieli wyjść ze spotkania, żeby odebrać telefon.

Tymczasem „doświadczają śmierci za życia” – jak to pan określa.

– Bo ataki paniki bywają spektakularne.

Osoby, które ich doświadczają, mają poczucie, że się duszą, serce im wali, drętwieją kończyny. Część pacjentów myśli, że to zawał albo udar. Najlepsze, co ich wtedy może spotkać, to kontakt z mądrym lekarzem pierwszego kontaktu, który przeprowadzi badania, żeby wykluczyć fizyczne przyczyny lęku napadowego, a potem powie: „Proszę pani, proszę pana, to są zaburzenia lękowe, proszę się zgłosić do kogoś na »psy«”.

W tej grupie jest też agorafobia. I tu od razu uprzedzę, że nie jest to fobia przed Wydawnictwem Agora. „Agorafobia” pochodzi od słowa „rynek” i odnosi się do sytuacji, w których ludzie odczuwają silny lęk, gdy mają poczucie braku możliwości ucieczki: samolot, zatłoczony sklep, sala koncertowa, korek uliczny.

Do zaburzeń lękowych należą też zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, potocznie nazywane nerwicą natręctw.

– W tych zaburzeniach występuje silny lęk, choć obecnie tak jak hipochondria stanowią osobną kategorię międzynarodowej klasyfikacji chorób i problemów zdrowotnych ICD-II. Podobnie zespół stresu pourazowego, czyli tzw. PTSD, kiedy występuje przetrwały lęk wywołany traumatycznym wydarzeniem. To tak, jakby nosić w sobie nachalne nagranie, które „odpala” się niechciane w określonych sytuacjach. Dobrym przykładem jest tu scena z filmu „Urodzony czwartego lipca”. Odbyna się parada z okazji amerykańskiego Dnia Niepodległości, strzelają fajerwerki. Wszyscy się świetnie bawią, tylko weterani wojenni są przerażeni i mają jedno skojarzenie. Obecnie pandemia i wojna w Ukrainie zaindukowały w wielu osobach taki przetrwały lęk.

Jest jeszcze lęk społeczny.

– A inaczej – „sceniczny”, bo osoby, które się z nim zmagają, często w kontaktach z innymi mają poczucie, jakby były na scenie, pod obserwacją. Podstawą jest lęk przed oceną, a głęboko – niskie poczucie własnej wartości. W takim człowieku często kryje się załęknięte dziecko, które się nie odzywa, bo się obawia, że zostanie skrytykowane, wyśmiane albo skarcone. Część pacjentów z tego powodu w ogóle nie wychodzi z domu.

Jakie objawy zgłaszają pacjenci z zaburzeniami lękowymi?

– Najróżniejsze. Poczynając od ciała – duszności, trudności z przełykaniem, poczucie, że coś utknęło w gardle. Roztrzęsienie, gorąco, zimno. Słabość, zawroty głowy, bóle głowy, kołatanie serca. Biegunki, zaparcia, mdłości, wymioty. Zmiany na skórze – wysypki, atopie, pokrzywki. Bóle wszystkich części ciała, które nie układają się w logiczny zespół chorobowy. Na poziomie psychiki to lękowe myśli. Ciągłe zamartwianie się – o świat, bliskich, siebie, własne zdrowie. Czarnowidztwo, poczucie winy – czy dobrze to zrobiłam? Czy dobrze wypadłam?

Są jeszcze potwornie nieprzyjemne objawy, jak „depersonalizacja” i „derealizacja”.

– W skrócie polega to na tym, że umysł w sytuacji lękowej tak się przestrasza, że zaczyna udawać, że go nie ma.

W przypadku „derealizacji” człowiek się czuje tak, jakby ktoś wyświeślał mu film albo jakby nagle znalazł się w obcym mieście. Można tego doświadczyć, kiedy ktoś jest bardzo zmęczony. Nie śpi od dwóch dni, pi-je dużo kawy. Aczkolwiek to i tak nie od-

da w pełni tego uczucia. Z kolei w „depersonalizacji” ma się poczucie, jakby się było dla siebie obcym albo robotem. Czasem „derealizacja” i „depersonalizacja” występują jednocześnie. Obcy człowiek w obcej scenografii. Towarzyszy temu dużo napięcia i lęku.

Wiele osób, które doświadczają tych stanów, nie zdaje sobie sprawy, że to bardzo silny lęk.

– Myślą, że „wariują”, że to psychoza albo schizofrenia. Zresztą „lęk przed zwariowaniem” jest jednym z objawów zaburzeń lękowych. Podobnie zresztą jak „lęk przed braniem leków”. Wielu moich pacjentów się ich boi. Najczęściej tego, że im „zmienią osobowość” albo że będą mieli po nich jakieś straszne efekty uboczne. A leki często są wręcz konieczne.

Kiedy?

– Wtedy, kiedy objawy są tak nasilone, że powodują utknięcie, czyli poziom lęku jest tak wysoki, że uniemożliwia jakąkolwiek zmianę i działanie terapeutyczne.

Skąd się bierze ten nadmiarowy lęk?

– Z bycia człowiekiem. Każdy może dostać zaburzeń lękowych i statystyki to odzwierciedlają. Ocenia się, że geny tylko w 30 proc. odpowiadają za pewną podatność czy też wrażliwość. Pozostałe 70 proc. to czynniki środowiskowe, czyli właściwie wszystko. Rozwinięciu zaburzeń lękowych na pewno sprzyja chowanie dziecka w poczuciu, że świat jest niebezpieczny. Nie można ufać ludziom, ryzykować, próbować czegoś nowego. Ale są i inne sprzyjające warunki: dorastanie w domu, w którym dorośli nie zapewniają poczucia bezpieczeństwa, gdzie nie ma żadnych reguł. Jeszcze inna możliwość: dom, w którym opiekunowie nie akceptują uczuć dziecka, blokują ich wyrażanie albo narzucają swoje sztywne wizje świata, które są sprzeczne z wewnętrznymi potrzebami dziecka. Taka osoba rusza w dorosłe życie z plecakiem wypelnionym już pewnym obciążeniem, potem wpadają do niego kolejne, aż w końcu człowiek się przewraca. Na przykład nagle dostaje ataków paniki, załamuje zdrowotnie. Albo ugina się powoli, co jest gorsze, bo zapada się niezauważalnie, na przykład zaczyna mieć coraz więcej objawów z ciała, tak zwanych somatów, albo wchodzi w używki, żeby sobie ulżyć. Wtedy topi się na raty.

Zdarza się jednak, że zaburzenia lękowe pojawiają się u kogoś, kto nie miał żadnej podatności.

– Tak się może dziać w zespole stresu porażowego, ale też w przypadku zaburzeń adaptacyjnych, które mogą wystąpić przy gwałtownych zmianach życiowych. Aczkolwiek jak się zajrzy głębiej w historię takiego człowieka, to zwykle jednak jakąś podatność się tam znajduje.

W zaburzeniach adaptacyjnych lęk jest często komunikatem na nieświadomym poziomie. Informacją, że człowiek nie akceptuje danej sytuacji. Powiedzmy, że ktoś wyjeżdża do pracy za granicę i tam nagle dostaje zespołu jelita drażliwego, który jest dość typowym objawem zaburzeń lękowych. Oczywiście może pomyśleć, że powietrze mu nie służy albo że spożywa za dużo witaminy C... Ale ja bym się raczej zastanawiał, czy ta zmiana go nie przerosła i po prostu boi się o tym powiedzieć. Zamiast niego mówi to jego ciało.

Powiem teraz coś, co może zabrzmieć kontrowersyjnie. Uważam, że nawet jeśli lęk rozkręci się tak, że zmusi taką osobę do wzięcia leków, które trzeba będzie brać do końca życia, bo i tak się zdarza, to dobrze. Bo ten człowiek będzie musiał coś zmienić. Sięgnąć po pomoc. A jeśli odważy się opuścić strefę komfortu pod tytułem „ch...o, ale stabilnie”, ma szansę na lepsze życie.

Twierdzi pan, że lęk często informuje nas, że dokonujemy na sobie gwałtu.

– Lęk mówi nam prawdę o nas. Na różnych poziomach, od tego najgłębszego, egzystencjalnego, kiedy mówi nam – jesteś człowiekiem i kiedyś się skończysz. Po ten najprostszy – coś ci zagraża, nie służy ci. Działa trochę jak kontrolka „master alarm” w samolocie. Jak się pali, to znaczy, że dzieje się coś poważnego i trzeba sprawdzić co. Może w tym związku wcale nie jest mi dobrze? A może to miejsce pracy mnie niszczy? A może ta relacja mi szkodzi?

Terapeuci ericksonowscy twierdzą z kolei, że lęk to paltro, które za podszewką ma stłumioną złość. I wielu moich lękowych pacjentów ma problem z przeżywaniem i wyrażaniem złości.

Nie są asertywni.

– To za mało powiedziane. Oni są niedo-brzy dla siebie. Są dla siebie najgorszym rodzicem. Wymagającym, nieznoszącym sprzeciwu, porównującym do innych, wywołującym poczucie winy, niesłuchającym potrzeb, wewnętrznej mądrości. Albo druga wersja – nadopiekuńczy, chroniącym przed wszystkim, uczącym bezradności tak, że lęk się pojawia automatycznie jako reakcja na wszystko, co nowe, nieznanne. Blokującym możliwość rozwoju, realizacji.

Zgodnie z definicją WHO zdrowie to poczucie dobrostanu na trzech poziomach – fizycznym, psychicznym i społecznym. Lęk ostrzega nas – uważaj, nie masz go w którejś z tych warstw. Terapia zaburzeń lękowych polega między innymi na tym, żeby znaleźć drogę do równowagi na wszystkich tych poziomach. Drogę do siebie.

Na początku tej drogi są proste rzeczy.

– Prawdziwe banały. Dobry sen, właściwe odżywianie, seks. Sprawianie sobie przyjemności. Dbanie o ciało, umysł, relacje. Ale przede wszystkim – dbanie o emocje. Co to znaczy dbać o emocje? Wyrażać je. Pozwolić, żeby się pojawiały, i zdecydować, co się chce z nimi zrobić, ale ich nie tłumić. Przykład? Powiedzmy, że ktoś jest w długim związku i nagle się kimś zauroczy. Pierwszy odruch jest taki, żeby zaprzeczyć temu uczuciu, pogrzebać je. To niemożliwe!

To co można?

– Zdać sobie sprawę z tego, co się czuje, i tego nie rozniecać. Tylko poczekać, aż ostygnie. Weźmy teraz złość. Czasem jak się u osoby lękowej taka niewentylowana złość uzbiera, to wystarczy iskra, żeby odpalić demony. Dlatego warto dowiedzieć się, jak tę butelkę coca-coli odgazować powoli. Na terapii albo dzięki psychoedukacji.

Od czego ma zacząć ktoś, kto na przykład od kilku lat nie wychodzi z domu?

– Przede wszystkim musi znaleźć w sobie choć minimalną chęć do zdrowienia. Chciałbym obalić mīt, że można komuś pomóc bez jego udziału. Teraz jeśli ktoś od dziesięciu lat funkcjonuje tak, że praktycznie nie funkcjonuje, to dla niego wyjściem ze strefy komfortu może być zapukanie do

LEKU

Działa jak kontrolka „master alarm” w samolocie.

Jak się pali, to znaczy, że dzieje się coś poważnego i trzeba sprawdzić co.

Może w tym związku wcale nie jest mi dobrze?

A może ta praca mnie niszczy?

drzwi sąsiadki, stanięcie przed blokiem, zadzwonienie na anonimowy telefon zaufania. Ważne, żeby dopasować skalę zmiany do możliwości. Nie ustawiać sobie za wysoko poprzeczki. Jak się uda zrobić ten pierwszy krok, to potem trzeba próbować zrobić krok drugi, trzeci i kolejny.

A co, jeśli ten pierwszy krok okaże się nokautujący?

– To znaczy, że był za duży. I następnym razem trzeba zaplanować mniejszy, ale się nie poddawać. Zdarza się, że lękowy pacjent przychodzi na pierwszą wizytę w towarzystwie trzech osób – mamy, taty i kuzyna z Kolobrzegu. Ale potem przychodzą już tylko dwie osoby, potem jedna. A po jakimś czasie pacjent czy pacjentka odwają się przyjść sami. Terapia online, która się bardzo rozwinęła w pandemii, wiele tu zmieniła na korzyść. Pacjenci, którzy wcześniej nie zdecydowali się sięgnąć po pomoc, bo myśl o spotkaniu na żywo ich przerażała, teraz często zaczynają od takiej zapośredniczonej formy kontaktu.

W „Jak żyć z lękiem” opisuje pan zasady „gry o trochę lepsze życie”.

– Wymyślałem ją przez ostatnie 10 lat pracy z pacjentami z zaburzeniami lękowymi.

Z jednej strony ma ona korzenie w teorii wielopostaciowego „ja”, zgodnie z którą mamy różne części, które są ze sobą w ciągłym dialogu. A z drugiej – w przekonaniu, że każdy ma swoje zasoby. I że nie jesteśmy tylko i wyłącznie swoim lękiem, ale mamy też w sobie część wolną od niego. Nazwijmy ją zdrową. Oczywiście czasami ona jest bardzo słabiutka, ale jest zawsze. Choćby dlatego, że każdy człowiek oddycha. I można się z nią umówić na zdrowienie.

W grze występuje sześć postaci.

– Po stronie lęku mamy Czarnowidza, Krytyka i Nadzorcę. Część wolną od lęku reprezentują Kapitanka, Mnich i Robotnik.

Mnich to nasza trzeźwa, potrafiąca racjonalnie ocenić rzeczywistość część umysłu. Robotnik odpowiada za ciało i jego potrzeby. To taki zdrowy majster, który rozumie siebie i wie, kiedy ma zrobić przerwę, kiedy zjeść, a kiedy pójść spać. Kapitanka zarządza komunikacją między nimi. I to z nią zawieramy kontrakt na rejs ku zdrowieniu. Jeśli mamy momenty wątplenia, to ona motywuje nas do płynięcia dalej.

O co chodzi w tej grze?

– O to, żeby usłyszeć siebie. Rozmawiać ze swoim lękiem, ale przede wszystkim z tymi częściami, które zwracają uwagę na nasze potrzeby i wspierają zdrowienie.

Lękowcom pewnie znacznie łatwiej jest słyszeć głosy Czarnowidza, Nadzorcy i Krytyka.

– I nie chodzi o to, żeby w ogóle przestać je słyszeć. Konstruktywna krytyka, zdrowa motywacja czy ostrożność w myśleniu o przyszłości są nam potrzebne. Chodzi o to, żeby nadać tym głosom właściwie natężenie i miejsce.

Te postacie można ponazywać, jak się chce. Kapitanka może zostać na przykład Prezesem, Robotnik – Trenerem Personalnym, a Mnich – Mędrce.

Co mówią pacjenci, którzy w nią grają?

– Twierdzą, że z czasem tak wchodzi im ona w krew, że grają w nią, nie grając. Nie rozmawiają już z Kapitanką czy Mniczem, tylko ze sobą – o tym, co im służy, a co nie, czego powinni się wystrzegać, jak reagować w sytuacjach stresowych. Dzięki tej grze uczą się też rozpoznawać pierwsze zwiastuny lęku, co jest niezwykle ważne w zaburzeniach lękowych, bo jak lęk się już rozkręci, dużo trudniej go opanować.

Jakie mogą być te zwiastuny?

– Zwykle jako pierwsze daje znać ciało. Najczęściej dużym zmęczeniem. Potem mogą dojść do tego różne objawy psychosomatyczne, o których mówiliśmy. Następnie – gonitwa myśli, rozkojarzenie, zapominanie. A później już wchodzi myśli lękowe – zamartwianie się, nakręcanie, obsesje. Każdy sam musi nauczyć się rozpoznawać własne wskaźniki i odpowiednio je kalibrować. Ustalić ze sobą, kiedy już jest ten moment, w którym powinienem/powinnam się zatrzymać i odpocząć. Przydaje się tu błogosławiona umiejętność odpuszczania i wycofywania się do swojego azylu, której też można się nauczyć, grając w tę grę.

Jedna z pana pacjentek w malutkim mieszkaniu, które zajmuje z rodziną, ustawiła sobie parawan, a za nim fotel, gdzie czyta książki.

– Azyl to przestrzeń, w której wydatek energetyczny i emocjonalny jest na najniższym poziomie, a przypływ energii – największy. To taka ładowarka. I każdy powinien mieć swoją. Najczęściej jest to dom, określone miejsce w domu, relacja. Ale tym azylem może być też pasja, która „ładuje”, kiedy poziom energii zaczyna spadać. Na pewno nie wolno dopuścić do całkowitego rozładowania się, bo to grozi przekroczeniem punktu, zza którego powrót będzie dużo trudniejszy, niż gdybyśmy odpuścili sobie dzień czy nawet tydzień wcześniej.

Przy współczesnym kulcie zajętości i eksploatacji się to bardzo trudne, bo od razu włączają się głosy: „Lenisz się!”, „Wszyscy się zaharowują, a ty co?”.

– Powiem tak... Osoby z zaburzeniami lękowymi mówią innym ważną rzecz: opamiętajcie się! To jest trochę tak, jakby wszyscy biegali na okrągło sprintem, a ktoś, to ma zerwane więzadła, chodzil powoli i rozkoszował się widokami przyrody. Można by spytać – i kto tu czerpie więcej z życia?

Może niech ta część ludzkości bez zaburzeń spojrzy na tę część z zaburzeniami lękowymi i zamiast ją wytykać, wyciągnie od niej jakąś mądrość? Zauważy na przykład: „O, umiecie czytać sygnały z ciała, wiecie, co jest dla was dobre, a co wam szkodzi, świetnie!”. „Powiecie nam, jak to się robi?”. Szczególnie że w tej chwili jest już tak duże rozpowszechnienie zaburzeń lękowych, że za moment nie wiadomo będzie, kto gra na boisku, a kto siedzi na ławce.

Co mówią statystyki?

– Co trzecia osoba będzie miała jakiś rodzaj zaburzeń lękowych. Ale ja nie lubię przytaczać statystyk. Niech każdy lepiej spyta siebie, jak się czuje, jak funkcjonuje, czy ma poczucie dobrostanu na tych trzech poziomach, o których mówiliśmy?

Co to znaczy wyzdrowieć z zaburzeń lękowych? Czy to w ogóle możliwe?

– Wychodzenie z zaburzeń lękowych to jest bardzo dobry pomysł na życie moim zdaniem. Można dużo wygrać, na przykład równowagę między realizacją potrzeb a możliwościami. Ale przede wszystkim można wygrać siebie.

Ale nie można wygrać życia bez lęku?

– Nie, bo nie ma takiego życia. Natomiast na pewno można zmniejszyć cierpienie, które on powoduje. Zmniejszyć częstotliwość występowania ataków paniki na przykład. Jak ktoś się nauczy siebie i jeszcze wesprze farmakologicznie, to ataki paniki z reguły zdarzają się niezmiernie rzadko. A jak już się przydarzą, to taka osoba mówi: „No, widocznie przegięłam/przegięłam. Za dużo pracowałam albo zrobiłam coś wbrew sobie, to mam”. Oczywiście czasem też coś się dzieje na zewnątrz, co człowieka przeraża, ale wtedy on już wie, jak się ma sobą zaopiekować.

Miał pan parę pacjentów z zaburzeniami lękowymi, którzy wzajemnie się w nich wspierali. Jak jedno miało nasilenie objawów, to drugie je we wszystkim wywręczało i odwrotnie

– Aż w końcu przestali się w ogóle kontaktować ze światem. Było to możliwe, bo finansowo pomagali im rodzice. Całe ich życie wypełnił lęk. To się stało tak nieznosne, że zdecydowali się poszukać pomocy.

I jak wyglądała ich droga do zdrowienia?

– Zaczęło się od tego, że zauważyli nawzajem swoje zasoby. Niesamowite, jak wiele osób jest przekonanych, że nie mają nic do zaferowania ani sobie, ani światu. Na pierwszym spotkaniu posadziłem ich w dwóch osobnych pokojach i poprosiłem, żeby napisali 50 dobrych rzeczy o tej drugiej osobie. Byli przerażeni, ale jak już zaczęli, to samo się pisało. To ćwiczenie stało się dla nich niezwykłą inspiracją. Okazało się na przykład, że ona potrafi pięknie ozdabiać szkatułki, a on piecze świetny chleb. Zaczęli to robić, najpierw dla siebie. Potem pokazali swoje wytwory znajomym. Odważyli się te rzeczy sprzedawać i zyskali finansową niezależność. Pozorna banalność tej historii dobrze pokazuje stopień halucyna-

cji, jakiemu często ulegają osoby z zaburzeniami lękowymi na własny temat.

Czy zdarza się, że mimo terapii, pracy lęk wygrywa?

– Czasem wygrywa bitwę, ale to nie oznacza, że wygrał wojnę. W zdrowieniu najważniejsza jest umiejętność przeżywania kryzysów. Ludziom, którzy wychodzą z zaburzeń lękowych, łatwo jest popaść w zero-jedynkowe myślenie: „O rany, przyszedł kryzys, fatalnie. Lęk mi chce powiedzieć, że nie mogę się tak konfrontować. Lepiej się wycofam”. Albo: „Jest źle, to znaczy, że będzie już tylko gorzej” itd. Kryzysy są po prostu wpisane w zdrowienie.

Jeśli ktoś miał cały magazyn zwany życiem wypełniony lękiem i nagle ten magazyn zrobił się pusty, to się zaczyna nerwowo rozglądać. Często pojawia się wtedy panika, inne objawy, wszystko wraca. Jeśli moje myśli do tej pory były pełne lęku, to o czym mam teraz myśleć? Jeśli zwykle w samolocie dostawałam ataków paniki, to co mam robić? Widoki podziwiać? Ale to jest pozorne i przejściowe pogorszenie. Lęk na chwilę wróci, ale potem odpuści. Trzeba na to spokojnie popatrzeć i dalej się leczyć, terapeutyzować, robić swoje.

Jak rozumieć to, że osób z zaburzeniami lękowymi cały czas przybywa?

– Rozumiem to socjologicznie. To znaczy traktuję populację jak pacjenta, który ma objaw. I ten objaw pokazuje, że zmierzamy w bardzo niezdrowym kierunku jako ludzie. Perfekcjonizm, zbyt wysokie wymagania, porównywanie się, rozpad relacji, kiepska komunikacja interpersonalna, zanieczyszczenie środowiska, narastające ekstremizmy, konflikty, wojny. Widać, że pacjent zwany ludzkością ma ogromny problem.

Jak mu pomóc?

– Nie wiem... Chyba tylko edukacja wczesnoszkolna z zakresu psychologii człowieka jest w stanie to powstrzymać, bo jak tak dalej pójdzie, to się najprawdopodobniej skończy zbiorową agresją. Pacjent nie wytrzyma, skoczy sobie do gardła i sam się unicestwi. Dlatego tak zależy mi na rozpowszechnianiu wiedzy na temat zaburzeń lękowych. Stąd się wzięła ta książka. Niedawno nagrałem rap.

Ma tytuł „out of the box”, „wyjdź ze schematu”.

– Mój syn chodził na zajęcia z hip-hopu, które prowadził raper Mateusz Wilkoń, i tak poznałem bardzo fajnych ludzi, którzy zajmują się tym profesjonalnie. Swój rap nagrałem z ich pomocą, do tego teledysk. Tekst mówi o tym, że schemat jest wrogiem zmiany. Daje poczucie pseudobezpieczeństwa, ale tak naprawdę ogranicza. Zachęcam do tego, żeby przelamywać swój lęk, próbować nowych rzeczy, odważać się. Ja też się musiałem przełamać, przecież nigdy wcześniej nie rapowałem.

Postuluje pan także, żeby powstał Światowy Dzień Świadomości na temat Zaburzeń Lękowych. Dlaczego?

– Wtedy można by cyklicznie o tym przypominać, szerzyć świadomość na temat leczenia. A skoro mamy Dzień Brody i Dzień Sernika, to dlaczego nie mielibyśmy mieć Dnia Świadomości wokół Zaburzeń Lękowych? ●



Adam Michnik poleca **Nauka i ideologia**

HUMANISTYKA UMIERA



• Listopad 1933 r., hitlerowski plakat propagandowy: niemieccy duchowni popierają nową władzę.

FOT. UNIVERSAL
IMAGES GROUP VIA
GETTY IMAGES

PO CICHU

Przeciętnego Polaka, w nieogrzanym mieszkaniu i z kredytem mieszkaniowym na karku, nie poruszy los nauki.

Anna Wolff-Powęska*

Historykowi przypisywano i przypisuje się nadal różne, często wykluczające się role. Jako „pielgrzym” między światem, w którym żyje, i tym, który chce zgłębić i zinterpretować, musi unikać rozlicznych pułapek. Historyk dziejów najnowszych, będąc również świadkiem swych czasów, staje przed arcytrudnym zadaniem zachowania równowagi między zobowiązaniami naukowego warsztatu a oczekiwaniami społeczności. Bada przeszłość, starając się ją zrozumieć w teraźniejszości, by wyznaczyć horyzonty refleksji na przyszłość.

Zmieniający się w zawrotnym tempie świat i otoczenie stawiają go przed ciągle nowymi pytaniami o sens historii, formę jej narracji: komu ma służyć, jak zachować obiektywizm w rozdartym i spluralizowanym społeczeństwie?

Historia, która staje na barykadach i jest polem zmagania o jej zawłaszczanie na poli-

tyczną wyłączność, wyklucza dialog i możliwość ponownego przemyślenia własnych interpretacji. Stąd dręczące dla naukowców pytanie: jak służyć, a nie być służalczym wobec państwa i opinii publicznej? Jak szukać wspólnej platformy debaty w obliczu dogmatycznych tez historiograficznych w środowisku humanistów, podzielonym u nas jak nigdy od wielu dekad.

Historyk, prof. Grzegorz Kucharczyk zainteresował mnie z kilku względów. Krajan, zatrudniony w kilku poznańskich uczelniach, o podobnych zainteresowaniach niemcoznawczych oraz dziejami idei, łączący pracę akademicką z aktywnością publiczną.

Aktywność ta, zintensyfikowana po 2015 roku, a ograniczona do występów dla słuchaczy Radia Maryja i widzów TV Trwam, dotyczy głównie kwestii światopoglądowych i bieżącej polityki. Profesor występuje jako konsekwentny obrońca polskiego porządku moralnego przeciw „antykatołickiej propagandzie” w kulturze, która chce „zohydzić Kościół wśród młodego pokolenia”. W „powrocie do krzyża” upatruje wyjścia z pandemii, ostrzega przed dojściem do władzy PO, której przypisuje „chrystofobię” i która, jak sądzi, zdaje się dążyć do ateizacji społeczeństwa na wzór ideologii marksistowskiej; alarmuje, że LGBT to „Kulturkampf XXI wieku na polskich uczelniach”.

Nie tylko jednak ciekawość, jak historyk tak radykalnie występujący w roli strażnika

polskiego Kościoła i bezgrzesznego narodu zmierzył się z ważnym tematem niemieckim, skłania do sięgnięcia po jego najnowszą publikację „III Rzesza Niemiecka. Nowoczesność i nienawiść” (Biały Kruk, Kraków 2022). Reklamowana jest ona jako „mocny i do bólu prawdziwy obraz państwa niemieckiego pierwszej połowy ubiegłego stulecia”.

Dzieje III Rzeszy i nazizmu to przedmiot setek tysięcy publikacji. Z tematem zmierzali się i borykają nadal najwybitniejsi historycy z całego świata, a genezy nazistowskiej maszyny poświęcili opasłe tomy przedstawiciele nie tylko nauk humanistycznych i społecznych.

Co nowego prof. Kucharczyk wniósł do opisu tego fragmentu dziejów niemieckich? Wydawca sugeruje, że książka odpowiada na fundamentalne pytania: „co sprzyjało zwycięstwu NSDAP?”, „jakie postawy, jacy ludzie, jaka religia, jakie zachowania społeczne i jakie okoliczności międzynarodowe?”. „To trzeba wiedzieć – ostrzega – jeśli nie chcemy, aby koszmary III Rzeszy odżyły w nowoczesnej formie”.

Jednak autor nie usiłuje nawet odpowiedzieć na te pytania. Jego książka nie jest przeznaczona dla tych, którzy choćby liźnęli wiedzy na temat Rzeszy hitlerowskiej. Biała uczniom, studentom, ogłuszonym antyniemiecką retoryką władzy. To niebezpieczna lektura, karykatura dziejów Niemiec, zgodna jednak z zapowiedzią programową rządzącej partii o konieczności zmiany myślenia młodego pokolenia.

Prof. Kucharczyk zignorował cały dotychczasowy dorobek na te tematy, nie zauważył nawet, że na wyciągnięcie ręki miał do dyspozycji 50 tomów Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej; przebogaty materiał źródłowy na temat kondycji Niemców w XX wieku. Pisze z perspektywy własnych obsesji, nie przejmując się elementarnymi wy-
mogami warsztatowo-teoretycznymi.

IIII Rzesza i nazizm były gigantycznym złem i katastrofą XX wieku, to jasne. Jednak ahistoryczny sposób prezentacji wybranych wątków, brak merytorycznego i logicznego uzasadnienia forsowanych tez uniemożliwia dyskusję na argumenty. Nie da się polemizować z dogmatami.

Podtytuł książki „Nowoczesność i nienawiść” to pułapka. Na temat nowoczesności spierają się najtęższe umysły. Najważniejszą pracą w polskiej literaturze na temat jej roli w zbrodniach III Rzeszy, która zyskała międzynarodowe uznanie, jest „Nowoczesność i Zagłada” Zygmunta Baumana.

Wykazał on dobitnie, że „ostateczne rozwiązanie” było m.in. efektem sprawnie zaplanowanej i wykonanej przez aparat biurokratyczny akcji. Współczesna cywilizacja niosła w nowoczesnych społeczeństwach obok ewidentnych osiągnięć negatywne zjawiska, gubiąc z pola widzenia moralne aspekty życia.

Nowoczesność była jednym z wielu, a nie wyłącznym, warunków umożliwiających uczynienie mordy na Żydach wyjątko-

wym. Nigdy bowiem wcześniej nie zdarzyło się, jak stwierdził historyk Eberhard Jäckel, by jakieś państwo autorytetem przywódcy postanowiło i ogłosiło, że konkretna grupa ludzi, w tym starcy, kobiety, dzieci i niemowlęta, ma być doszczętnie uśmiercona, i wprowadziło tę decyzję w czyn przy użyciu wszystkich możliwych środków.

Kucharczyka nie interesował los Żydów. Łatwo dostrzec, o co właściwie autorowi „III Rzeszy” chodzi. O jego wizji syntezy „nowoczesności i nienawiści” w Niemczech lat 1919-45 mówią same podtytuły książek: „»Stop przemocy wobec zwierząt!« i zbilansowana dieta – wersja narodowosocjalistyczna”, „»Leśny naród« i synergia między ekologią i rasizmem” czy „Ochrona niemieckiego krajobrazu. Ekologia i »przestrzeń życiowa«”.

Jeśli czytelnik ma problemy z rozszyfrowaniem wybiórczego i nieuzasadnionego ani z punktu widzenia logiki, ani związków przyczynowo-skutkowych wywodu, winien sięgnąć po opublikowaną w 2016 r. przez wyd. Prohibita książkę profesora „Christianitas między Niemcami i Rosją”. Tu jasno wyklada na ławę, co myśli o Niemcach.

Już same pytania wyeksponowane przez wydawcę nie pozostawiają wątpliwości, do czego zmierza autor: „Dlaczego »wykończenie« Polski stało się celem nadrzędnym naszych sąsiadów?”, „Czy można uznawać Rosję za ostatnią nadzieję chrześcijańskiej cywilizacji w »Gejeuropie«?” czy „Co łączy niemieckie »dzieci kwiaty« z narodowym socjalizmem, Zielonymi, a wreszcie z ogarniającym współczesny świat zaćmieniem rozumu?”.

Analiza porównawcza to trudna forma uprawiania historii. Na pytanie, co i w jakim celu porównujemy, inaczej odpowiada polityk niż profesjonalny badacz. Pierwszy zwykle porównuje, by zrównywać, drugi, by wyeksponować podobieństwa i różnice w poszukiwaniu prawidłowości w dziejach. Kucharczyk wchodzi w buty polityka, szukając paraleli między zbrodnia-rzami hitlerowskimi, ich zainteresowaniami rodzimym krajobrazem a obecnymi aktywi-stami stawiającymi czoła kryzysowi klimatycznemu.

Jego niechęć budzą przede wszystkim obrońcy naturalnego środowiska, jak i zwolennicy teorii „tzw. globalnego ocieplenia”. Obecną partię niemieckich Zielonych postrzega wyłącznie jako warcholów, którzy kładą się w poprzek drogi ciężarówek wiodących bydło w „niehumanitarnych warunkach”, a nie obchodzi ich „rzeź milionów istnień poprzez aborcję”.

„Tęczowa ekologia”, „klimatyczna ście-ma” to wizytówka Zielonych, którym Kucharczyk przypisuje powinowactwo z III Rzeszą, twierdząc, że przed „nastaniem Zielonych to naziści najbardziej szerzyli i walczyli o wrażliwość ekologiczną”. Beztrosko operuje statystyką, wynikami rzekomych badań bez powoływania się na wiarygodne źródła. I tak dowiadujemy się, że do partii nazistowskiej przystąpiło w latach 1933-39 60 proc. członków ruchu ochrony środowiska, a fascynacja przyrodą w XIX wieku to nic innego jak „zastępczy kult anty-chrześcijański”.

„III Rzesza” to jednak przede wszystkim książka o wyższości katolicyzmu nad protestantyzmem. Konfrontacja obu wyznań w Niemczech XX wieku przewija się przez większość rozdziałów. Kucharczyk wspomaga się okolicznościowymi wystąpieniami w katolickich mediach; w jednym z wywiadów mówi:

„Protestancka reformacja rzeczywiście była pewnym przełomem, zważywszy na nasilenie antykatolickiej propagandy i stosowane środki”; w tej antykatolickiej propagandzie „stosowanej przez protestantów (...) nie tyle chodziło o uderzanie poprzez drukowanie jakichś traktatów teologicznych wymierzonych w Kościół katolicki, tylko bardziej o operowanie obrazem”.

Kościół katolicki prezentowany jest jako ofiara dyskryminacyjnej narracji ze strony Kościołów protestanckich, piętnowany

przez „neomodernistów niemieckich” i teologiczne wydziały uniwersyteckie za „centralizm i rygoryzm rzymski”. Wyrwane z kontekstu cytaty mają dowodzić, że katolicyzm niemiecki poprzez wypowiedzi hierarchów był zdecydowanym przeciwnikiem nazizmu, a protestantyzm jego gorliwym poplecznikiem.

Przypomina słuszenie, że episkopat niemiecki i Rzym stwierdzały jednoznacznie, iż nauka katolicka i neopogański światopogląd narodowego socjalizmu są nie do pogodzenia. Pomija jednak fakt, że wystąpienia niemieckich hierarchów i papieża tylko wówczas wyrażały niezadowolenie, gdy zagrożone były istotne interesy Kościoła. To nie eksterminacja Żydów czy wielowiekowy antysemityzm wywoływały krytykę instytucji kościelnych, tylko troska o zachowanie stanu posiadania.

Przyznaje, że niekiedy Watykan i biskupi niemieccy szli „zygzakiem”, szczególnie gdy zachowywali milczenie w obliczu prześladowania polskiego duchowieństwa po 1939 roku. Nie znajduje jednak miejsca, by pokazać dwuznaczność polityki Watykanu i niemieckiego episkopatu wobec Zagłady oraz oportunizm kurii rzymskiej przekazującej coroczne gratulacje z okazji urodzin Hitlera. Nie ma wzmianki o listach biskupów polowych zagrzewających żołnierzy Wehrmachtu do walki z bolszewicką nawałą na Wschodzie. W końcu dochodzi do najbardziej kuriozalnego wniosku, że gdyby w III Rzeszy głosowali tylko katolicy, Hitler nigdy nie doszedłby do władzy.

Kucharczyk pisze, że „w ostatecznym rozrachunku nie liczy się to, czy ktoś buduje autostrady, dba o środowisko przyrodnicze czy walczy ze spożywaniem mięsa i paleniem tytoniu, ale to, jaki jest jego ład serca i duszy”.

**To nie eksterminacja
Żydów czy wielowiekowy
antysemityzm wywoływały
krytykę III Rzeszy ze strony
Kościoła katolickiego,
tylko troska o zachowanie
stanu posiadania**

Kiedy brak argumentów, sięga po Jana Pawła II. Powołując się na autorytet papieża, stwierdza, że „uludą jest dążenie do wyzwolenia człowieka za pomocą nowoczesności (modernizacji), jeśli ta ostatnia jest oderwana od prawdy albo co gorsza zaprzecza prawdzie o człowieku jako bycie stworzonym, który na tej ziemi jest na krótko, oczekując »życia w przyszłym świecie«”.

Jako historyk występujący w roli herolda prawdy i moralności według nauki Kościoła kończy opowieść o hitlerowskich Niemczech słowami prymasa Wyszyńskiego, że ten naród „wciąż czeka na dobrą spowiedź”. A ze spowiedzią, jak już dodaje od siebie, „w powojennych Niemczech jest ogromny problem. Od zaniku spowiedzi do błogosławienia »par homoseksualnych« – oto w największym skrócie droga duchowego upadku, którą w imię nowoczesności dziarsko przemierza Kościół Waltera Kaspera, Reinharda Marxa i Georga Bätzinga”.

Otóż wszyscy trzej hierarchowie to najwybitniejsi współcześni propagatorzy drogi synodalnej, głębokiej reformy i odnowy w Kościele, nawołujący o odpowiedzialność całej społeczności wiernych za przewiny jego przedstawicieli. Bp Bätzing, przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, jest inicjatorem i współautorem przygotowanego na 75. rocznicę zakończenia II wojny „Słowa biskupów Niemiec”, wzywającego do ujawnienia wszelkich nieprawości przedstawicieli Kościoła w III Rzeszy.

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki*

Ta chwila

*Ta chwila już nie istnieje:
choć nie jest żądzą, mocarstwem, tchórzliwą*

tyranią.

Może to właśnie ty

*Nareszcie jestem na równych prawach: mam
ciągle za mało czasu. Do pracy jadę
na długach, w przepelnionym tramwaju
może to właśnie ty (jakiegoś) mnie*

z całych sił nienawidzisz.



FOT. MAŁGORZATA KOŁCZ / AGENCIA WYBORCZAPL

***Ryszard Krynicki** – ur. w 1943 r., poeta, tłumacz, wydawca. Zaliczany do pokolenia '68 (Nowej Fali). Sygnatariusz Listu 59 (1975), zbiorowego protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL, w latach 1976-80 objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną i działalnością podziemną. W zeszłym roku otrzymał za całokształt twórczości Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius”.
Utwory za: Krynicki, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2014

Ostatnia publikacja prof. Kucharczyka to zaprzeczenie powinności historyka. Czy warto zajmować się książką tak bałamutną? Tak, bo to modelowy wręcz przykład sterowanego upadku polskiego systemu edukacji i nauki.

Destrukcja praworządności polskiej odbiła się echem w Unii. Kryzysy klimatyczny, imigracyjny, energetyczny mają charakter spektakularny. Humanistyka w naszym kraju umiera po cichu. Przeciętnego zjadacza chleba, szczególnie w nieogranzonym mieszkaniu i z przytłaczającym kredytem mieszkaniowym na karku, nie zainteresuje los nauki.

Prof. Kucharczyk spotkał się za swe dokonania z pełnym uznaniem władz partyjno-rządowych. Powołany został przez ministra Czarńka na stanowisko szefa nowej Rady Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, ważnej instytucji przyznającej fundusze na projekty nauk humanistycznych. Ale czy człowiek, który myli katedrę uniwersytecką z amboną, może gwarantować obiektywizm w ocenie i gratyfikacji nauki?

Wyrazem nobilitacji jest wybór prof. Kucharczyka do zespołu przygotowującego na zlecenie MEiN program nowego przedmiotu, historia i teraźniejszość. Do katalogu „zasług” profesora należy zaliczyć jego ocenę jako recenzenta zewnętrznego tomu „Europa. Nasza historia”, przygotowanego w wyniku wieloletniej pracy Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. W związku z tą oceną praca nie uzyskała statusu podręcznika, lecz tylko materiału edukacyjnego.

Jak pisał w „Wyborczej” prof. Robert Traba, wieloletni przewodniczący Komisji, recenzent nie odniósł się do w pełni zaakceptowanych przez oba rządy jej zaleceń, nade wszystko jednak „pomylił recenzję z prezentacją własnej wizji polityki historycznej”.

Prof. Kucharczyk skarży się na różne „mody intelektualne”, choćby „terror politycznej poprawności”, gender, postkolonializm, ubolewa nad kondycją elit lewicowych i liberalnych, którą definiuje lapidarnie: „co raz mniej rozumu w nauce”.

Przypadek prof. Kucharczyka nie jest odosobniony. Wbrew zasadzie, że historię pisze się dla wszystkich, jego działalność jest przykładem nadużywania autorytetu nauki do szerzenia dezinformacji oraz adresowania tekstów i wypowiedzi do jednego środowiska.

Rozumienie historyczne wymaga ciągłej refleksji na temat, co zaliczyć do historii w sensie procesów historycznych i ich historiograficznych ujęć. Jako dyscyplina humanistyczna historia wymaga otwartości, zwątpienia, krytycyzmu, dialogu.

Historia pokazuje, że wszelkie przełomy niosące kryzys mogą być również źródłem przesilenia. Każdy zwrot historyczny zmusza do stawiania nowych, ważnych pytań o to, kim jesteśmy w świecie niejednoznaczności i sprzeczności.

XXI wiek uwidocznił bardziej niż kiedykolwiek rozdzźwięk między uniwersytecką humanistyką a praktykowaniem jej idei, między przestrzenią naukową i publiczną. Nie ma jednak jednego sposobu pokonania tej bariery. Aby zrozumieć teraźniejszość, trzeba uznać całą złożoność przeszłości i zdobyć się na krytyczny dystans do badanego przedmiotu.

Mimo cyklicznie tworzonych kodeksów etycznych i zalegających w szufladach akademickich opracowanych przez wszystkie wydziały strategii uniwersytetów i ich misji ciągle aktualne pozostaje przesłanie Maxa Webera z początku XX wieku:

„Nauka nie jest dzisiaj dobrem służącym zbawieniu i niosącym objawienie darem łaski jasnowidzów i proroków. Jest uprawianym w sposób fachowy zawodem, który służy namysłowi nad sobą i poznaniu faktycznych związków między rzeczami”.

Weber uczył, że na sali wykładowej „poza prostą intelektualną uczciwością nie obowiązuje żadna inna cnota”. Ta jego dewiza nie straciła nic ze swej aktualności. ●

***prof. Anna Wolff-Powęska** – historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu

Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](http://wyborcza.pl/magazyn)



Autorem wielu haseł jest **Jacek Szczerba**

WSTRZAŚNIĘTA, NIE ZMIESZANA

FOT. PAWEŁ KISZKIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL

Szanowni Państwo. Oczywiście, że ptasia „weekendówka” narobiła zamieszania. Po części zresztą sam go nam zafundowałem, ale po kolei. Otóż napisał do mnie pan Michał z uwagą, że coś mu się w ostatniej krzyżówce nie zgadza – na hasło „dzwonec” diagram przewidywał jedynie siedem, miast ośmiu kratek. Sprawdziłem jeszcze raz – pytanie brzmiało: luszczał oliwkowo-zielony, u samca z dodatkami żółtego. A w diagram należało wpisać: dzwonec. Ewidentnie jest to moje niedopatrzenie, luszczków w pytaniu powinno być więcej! Przepraszam wszystkich Państwa bardzo.

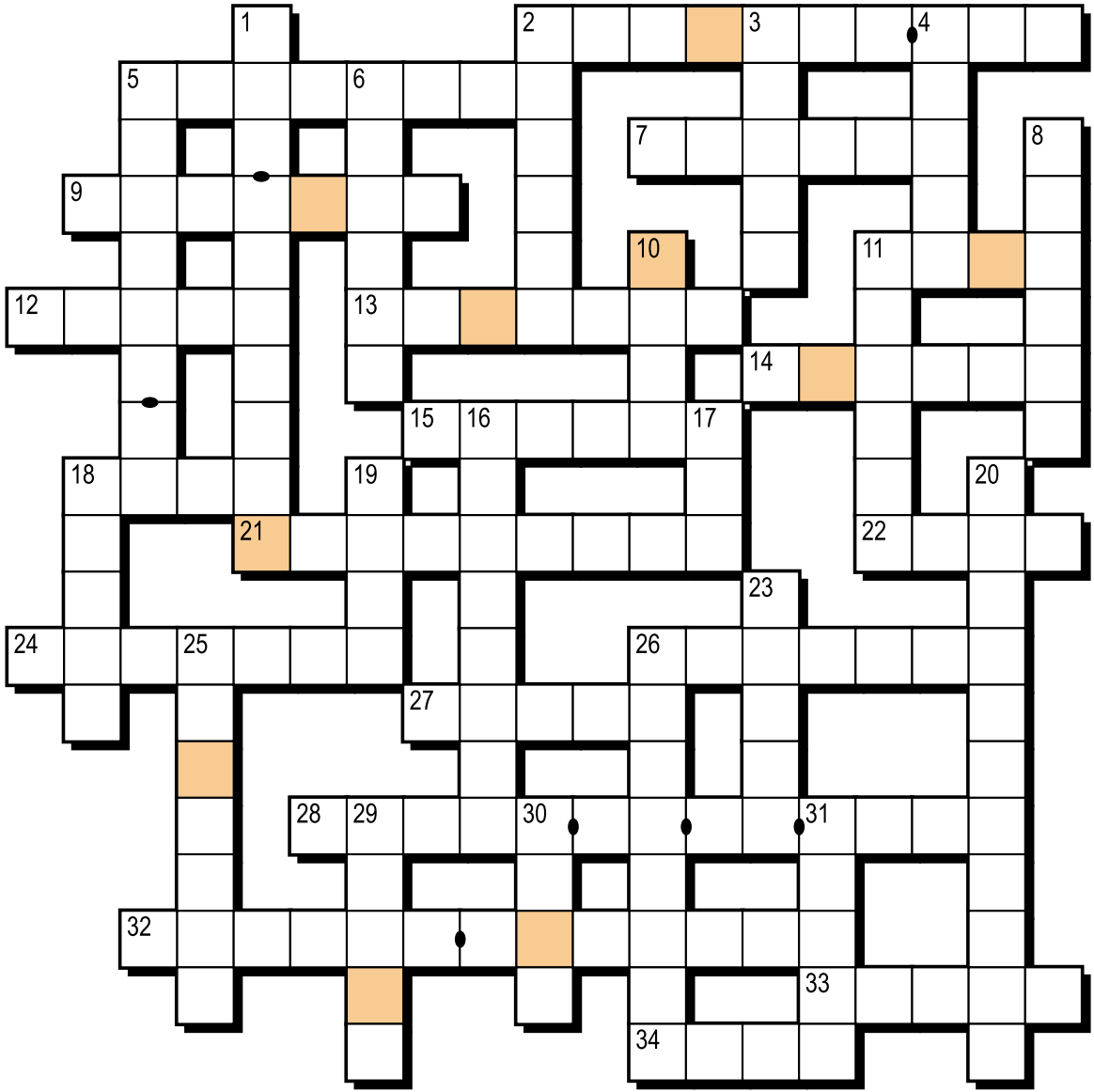
Pan Marian z kolei przyznał, że „ptasia” była arcytrudna, ale zmagania z nią wygrał. I powtórzył swój pomysł – by oprócz podania hasła końcowego w rozwiązaniach dawać też wszystkie hasła z diagramu. Po zamieszczeniu z dzwoncec przyznaję mu rację.

Z kolei pan Aleksander, zainspirowany „rekordami” Państwa, którzy z „weekendówką” walczyli tygodniami, postanowił zrobić test. I weekendówkę rozwiązał ze stoperem w ręku! Przy ptasiej najpierw korzystał z własnej wiedzy, potem poszukiwał w internecie. Rezultat to półtorej godziny. Pan Aleksander zastanawia się zatem nad modus operandi czytelników – czy po prostu zasiadają do krzyżówki, kiedy znajdą chwilę czasu, i czy korzystanie z wyszukiwarek nie jest jakimś oszustwem.

Oszustwem nie jest na pewno. Moja szanowna rodzicielka, krzyżówki rozwiązująca od dekad, często wspierała się choćby słownikami nieodżałowanego Władysława Kopalińskiego. Na maturze z matematyki też można mieć kalkulator. A do „weekendówki” po prostu każdy zasiada, jak mu czas i chęci pozwolą.

A teraz już o dzisiejszej krzyżówce. Niedawno, w środę 5 października, przypadła 60. rocznica premiery „Doktora No” – pierwszego filmu z najsłynniejszym agentem świata, Jamesem Bondem. Oczywiście nie mogliśmy tego przegapić. Pomocną dłoń wyciągnął do nas Jacek Szczerba, wieloletni dziennikarz „Wyborczej”, filmoznawca, krytyk, a prywatnie fan 007. Tuszę, że takich fanów jest więcej, a zatem – do dzieła, ku chwale Moneypenny! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 20 z 1.10:

Poziomo: 2) słonka 8) kszczyk 10) derkacze 11) rybitwa 12) zięba 13) gągoł 14) wabiki 16) dziewczę 18) raniuszek 20) perkoz 22) łyska 24) kania 26) rudzik 28) drozd 29) bekwarek 30) żuraw 31) piórka 32) nandu 34) sowa 35) wrona 36) papuga 38) bąkojad 39) gajówka 40) ornitolodzy 41) ibis.

Pionowo: 1) dzięcioły 3) łabędzie 4) kawka 5) pelikan 6) pajak 7) dzwonec 8) kozodój 9) krakwa 15) burzyk 17) kurka wodna 19) kraska 20) pardwa 21) krzyżówka 23) skowronek 25) nury 27) mewa 28) dierzba 29) bananojad 33) bogatki 34) szpaki 36) paw 37) Ptaki 39) gil.

Hasło: **KACZKA DZIENNIKARSKA**

BOND

Hasła Jacka Szczerby oznaczono inicjałami (JS). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rządami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) pistolet, którym zwykle posługuje się 007
5) „... są wieczne”
7) Timothy z filmów „W obliczu śmierci”, „Licencja na zabijanie”
9) oscarowa piosenka Adele
11) imię kompozytora muzyki do „Nie czas umierać”
12) Roger, siedmiokrotnie w roli Bonda

13) Léa, francuska aktorka, odtwórczyni roli Madeleine Swann
14) Aston ..., auto Bonda m.in. w filmie „Goldfinger”
15) ... Marceau, zagrała Elektry w 28 poziomo
18) ... Barry, skomponował muzykę do jedenastu „Bondów”
21) „Bond”, w którym zagrała Izabella Scorupco
22) imię odtwórcy roli Bonda w filmie „Żyje się tylko dwa razy”
24) nazwisko odtwórcy roli Bonda, którego żona zagrała oszukańczą, acz sympatyczną hrabinę w „Tylko dla Twoich oczu” (JS)
26) kraj, w którym znajdowała się posiadłość Skyfall

27) ... pościgu, obowiązkowa w każdej części przygód 007
28) rodowe zawołanie Bondów (JS)
32) wyszła z oceanu na plażę małej wysepki w „Doktorze No” (JS)
33) imię agenta 007
34) ... Seymour, teraz pomstuje na to, że zagrała w „Żyć i pozwolić umrzeć” (JS)
Pionowo:
1) brytyjski pisarz, twórca postaci agenta 007
2) MI6, czyli Secret Intelligence Service, czyli brytyjski ...
3) ... Berry, dziewczyna Bonda w „Śmierć nadejdzie jutro”
4) ... Moneypenny, sekretarka M

5) bondowski Zły z początku serii, miał serce po prawe stronie klatki piersiowej (JS)
6) Billie, wykonawczyni piosenki „No Time to Die”
8) „... Royale”, dwudziesty pierwszy „Bond”
10) ... Dench, zagrała M między innymi w „007 Quantum of Solace”
11) Naomie, w roli Moneypenny w trzech ostatnich „Bondach”
16) „... Piorun”, film z 1965 roku
17) imię Moneypenny
18) „... nie umiera nigdy” (James Bond kontra magnat medialny)
19) Glen – John..., najpierw „Bondy” montował, potem wyreżyserował pięć

z nich, m.in. „Ośmiorniczkę” (JS)
20) ... kosmiczny kłatki piersiowej (JS)
23) wartka i pełna napięcia
25) dwudziesty czwarty „Bond” (a także organizacja terrorystyczna, na której czele stoi Blofeld)
26) potocznie: film skazany na sukces, zawsze przychylnie przyjmowany przez widzów
29) Christopher, zagrał antagonistę Bonda w filmie 25 pionowo
30) ... Turner, wykonawczyni piosenki do filmu 21 poziomo
31) ważne zadania powierzane agentowi 007

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo!**

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY